

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13





OPOWIEŚCI HISTORYCZNE

---

*No. 1182*

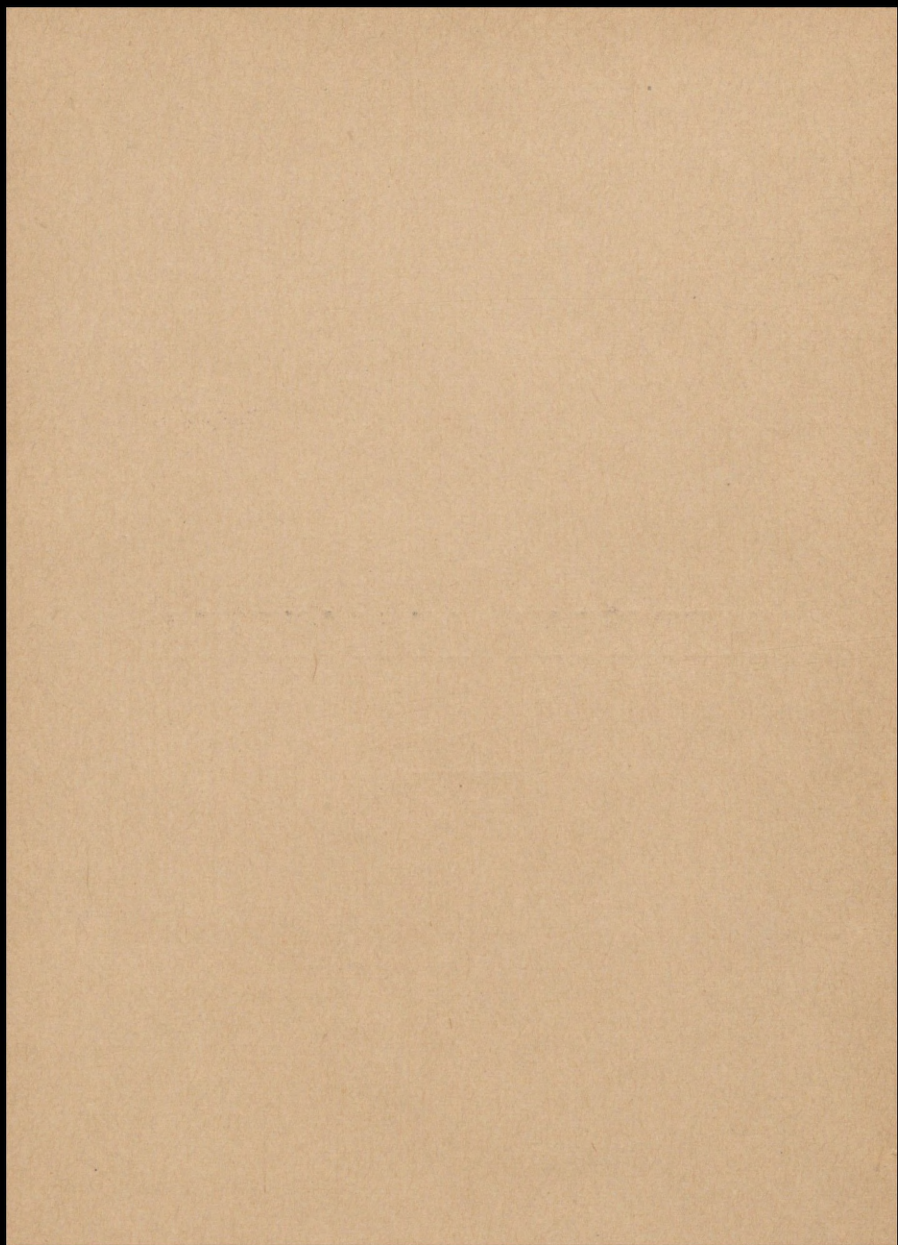
19364



I.

PIERWSZY LEGIONISTA







Przypadająca w roku 1897, setna rocznica powstania legionów na ziemi włoskiej przypomniła naszemu społeczeństwu szereg bohaterskich postaci, znanych polskiemu ogółowi raczej z tradycyi, aniżeli z dziejów, opromienionych aureolą poezyi, żołnierzy obcej sprawy, którzy w dobie najsroźszego upadku ojczyzny roznieśli szeroko po świecie sławę sarmackiego oręża. Obok naczelnego wodza legionów istniał wszakże spory zastęp żołnierzy dzielnych, działaczyw niez mordowanych, którzy mieczem, żywym słowem, piśmami, wspierali jego usiłowania, mające na celu podniesienie narodu z śmiertelnego uspienia. Jakkolwiek więc bolesny zawód, nie ostatni niestety w dziejach naszych porobiorowych, stał się udziałem legionistów, to jednak cześć oddać należy szlachetnym ich porywom oraz czynom, bohaterskim wysiłkom i poświęceniom.

W gronie starszynyw legionowej jedną z najważniejszych osobistości, zwłaszcza w pierwszej chwili formacyi tych oddziałów, był Antoni Kosiński, znany ogólnie pod imieniem Amilkara, przybranem podczas pobytu we Włoszech, a zaszczycony przez towarzyszyw broni mianem pierwszego legionisty.

Kosiński urodził się na Litwie w roku 1769 i pochodził z starszylacheckiej rodziny, od wieków w ziemi drochickiej osiadłej, lecz wcale niezamożnej. Musiał więc od młodych lat szukać krescytywy na dworach możnych koligatów, ja-

kimi byli w jego rodzinnych stronach panowie Bernowicze, Oskierkowie i Prozorowie, a dzięki wrodzonym zdolnościom pełnił już w dwudziestym piątym roku życia obowiązki adjutanta przy boku zacnego oboźnego Karola Prozora.

Pan oboźny stał, jak wiadomo, na czele szeroko rozgałęzionego po całej Litwie spisku, przygotowującego powstanie Kościuszkowskie, więc też w rezydencji jego, w Chojnikach, w miasteczku opodal od Mozyra położonem, odbywały się najważniejsze układy konspiracyjne między Koroną i Litwą. W robotach tych czynny brał udział Kosiński, którego współczesne pamiętniki zwą człowiekiem pracowitym i roztropnym. Przy Prozorze, który mimo piastowanej godności oboźnego nie znał się na wojskowości, pełnił on niejako obowiązki ajenta związkowych dla spraw militarnych. Niebawem sieć konspiracyjna objęła cały ten zakątek Litwy, uważany obecnie za kraj zapadły. Kosiński nieustannie objeżdżał okolicę bliższą i dalszą, na południe oraz na północ od Chojnik, badał usposobienie umysłów wśród tamtejszego ziemiaństwa, budził zapał dla sprawy powstania, zjednywał świeżych związkowych. Termin insurekcji, oznaczony pierwotnie na koniec czerwca 1793 roku, bardzo prędko został odroczoney do jesieni tegoż roku, lecz niespodziewany, drugi zabór kraju przez carat czynił niepodobnem ukrywanie się dłużej z całą robotą spiskową. Aneksya, dokonywana z wszystkimi ceremoniami homagialnemi, przepełniła czarę niedoli i rozpaczy. Ruch konspiracyjny ożywił się znacznie. Na onufrejskim jarmarku w Berdyczowie rozprawiano niemal głośno o powstaniu, a w pierwszych dniach sierpnia naczelnicy spisku zjechali się w Chojnikach na wspólną naradę. Uczestniczyli w niej, prócz gospodarza domu: starosta Bohusz, szef Działyński, Tadeusz Niemirycz, Proskura, opat Ochocki i znany z czasów Koliszczyzny sędzia Dubrawski, że wyliczymy tylko najznakomitszych gości prozorowskiego dworu. Ztamtąd też wywiózł Działyński znaczną na owe czasy sumę dwudziestu pięciu tysięcy dukatów, przeznaczonych na cele przyszłego

ruchu. Wśród gorączkowych przygotowań do wybuchu nadszedł wreszcie listopad, lecz Kościuszko, który zbliżył się pod jesień w Krakowskie, uznał dotychczasową robotę jako niedostateczną i spowodował odroczenie terminu powstania na czas nieograniczony. Postanowienie to niedość szybko doszło do wiadomości ogółu związkowych i Kosiński, nie wiedząc co dalej czynić, udał się w połowie listopada do Barbarowa, gdzie przebywał poważny obywatel i gorliwy patriota, pan strażnik Oskierko, po świeże wiadomości. Rozważny strażnik radził czekać dalszych rozkazów. Czekano więc, lecz nie przerywano przygotowań, tem bardziej, iż wojskowi uczestnicy związku, zagrożeni bliskim rozbrojeniem, naglili siłą mocą o przyspieszenie chwili walki. Wobec wahania się Kościuszki, przeciwnego natychmiastowemu powstaniu, noszono się nawet z zamiarem powierzenia naczelnego dowództwa Madalińskiemu, to znów Wodzickiemu lub Prozorowi, lecz żaden z nich zaofiarowanej dyktatury nie przyjął. Przeciwnie, obożny uzyskawszy z trudnością paszport zagraniczny, pośpieszył co rychlej do przebywającego w Dreźnie Kościuszki, gdzie zdołał go nakłonić do przyjęcia naczelnej władzy. Zamianowany przez naczelnika głównodowodzącym sił zbrojnych na Ukrainie, powracał Prozor co rychlej na Litwę, a tymczasem Kosiński, uzyskawszy od Kościuszki patent na szefa sztabu przy obożnym, porozumiewał się z spiskowcami wileńskimi, oraz objeżdżał poszczególne oddziały wojsk polskich, rozrzuconych na Ukrainie, by przekonać się o postępie agitacji rewolucyjnej wśród żołnierzy. W Trojanowie, u Działyńskiego, odszukał go goniec, przywożący z Warszawy wiadomość, iż Ilgestrom wszedłszy na trop związku, kazał arestować kilku tamtejszych spiskowych, a zarazem wydał polecenie chwywania Działyńskiego. Z tą wieścią wpadł Kosiński do Chojnik, sądząc, że tam już zostanie rozkaz do rozpoczęcia walki. Atoli polecenie spodziewane nie przychodziło, mimo, że dzień dwudziesty czwarty marca, oznaczony jako termin powstania, oddawna minął. Prozor wraz z Kosińskim

biegli, pełni niepokoju, ku Warszawie. Wymijając zdążające na zachód w pospiesznym marszu kolumny rosyjskie, przedostali się do Brześcia, gdzie pozostał oboźny, zaś Kosiński wyruszył na zwiady do Warszawy. W stolicy rewolucją czuć było w powietrzu. Wiedzano już tam o Raclawicach, więc też mimo licznych aresztowań, zarządzonych z rozkazu płaśa carowej, czekano tylko hasła do walki. Spiskowcy późną nocą odbywali narady w napół opustoszałym skrzydle Saskiego pałacu. Tam też wręczono Kosińskiemu papiery, przysłane przez Naczelnika dla ukraińskich powstańców, które porwawszy, leci dniem i nocą do Brześcia, z kąd z Prozorem powracają do Chojnik. Dla omylenia pogoni wracają wodą i stanąwszy w domu, na dzień dziewiętnasty kwietnia, w samą Wielką Sobotę oznaczyli okolicznym związkowym termin do wyruszenia w pole. Punktem zbornym miały być Jurewicze, tworzące niejako port główny na Prypeci. Tymczasem niespodziana choroba Kosińskiego opóźniła wyjazd o całą dobę. To ocaliło związkowych, gdyż w Jurewiczach czekał już oddział żołnierzy rosyjskich, mający pojmać przybyłych. Naza jutrz wyjechali Prozor wraz z Kosińskim do Babie, gdzie mieli spotkać Oskierkę. I tym razem uratowało ich ostrzeżenie pana strażnika, który jadących zdołał wczas jeszcze uprzedzić przez posłańca, iż w Babiech zasadzili się na nich Moskale. Tę uczynność przepłacił zacy Oskierko uwięzieniem i wywiezieniem na Sybir, zaś majątek jego, zagrabiony przez rząd rosyjski, dostał się w udziale jenerałowi Siwersowi. Teraz dopiero zoczyli nasi spiskowcy, że nie pora już myśleć o jakichkolwiek działaniach powstańczych, lecz czas najwyższy radzić o własnem ocaleniu. Prozor rozesłał na wszystkie strony posłańców, chcąc się dowiedzieć o ruchach rosyjskich oddziałów i znów dwie doby minęły w oczekiwaniu jakichkolwiek wieści. Dopiero we wtorek po świętach, (dnia 22. kwietnia), powrócili około południa wysłańcy, donosząc, iż Rosyanie z dwóch stron ciągną na Chojniki. Nie było chwili czasu do stracenia. Oboźny wraz z Kosińskim dopadli koni

i w lasach szukali ocalenia. Przepadli w ostępach puszczy bez śladu. Wysłana za nimi pogoń z niezem powróciła do Chojnik, a tymczasem ścigani, ukryci na niedostępnych trzęsawiskach, zamierzali przeprowić się przez szeroko rozlaną Prypeć i przedostać się do najbliższej rozłożonej brygady Kopia. Przeprowę mieli im ułatwić dnia następnego zaufani przewodnicy, chłopci miejscowi, którzy poprzysięgli Prozorowi zachowanie tajemnicy. Jakoż dochowali jej święcie, jakkolwiek kozactwo schwytawszy konie zbiegów, nie szczędziło pletni ani też hojnych obietnic pilnującym je wieśniakom, byle tylko wskazali schronisko dziedzica oraz jego towarzysza. Chłopci milczeli, gdyby grób. Ani srogie razy, ani też porządek judaszowych srebrników, nie zdołały ich skłonić do zdradzenia zaprzysiężonej tajemnicy, skutkiem czego kozacy musieli ostatecznie uwierzyć ich zapewnieniom, iż Prozor wraz z Kosińskim przeprowili się w czółnie na drugi brzeg Prypeci. — »Miara naszego nieszczęścia smutnym tym przypadkiem jeszcze dopełnioną nie była« — pisze Kosiński w dniu 15. marca 1820 roku do towarzysza broni, generała Paszkowskiego, autora życiorysu Kościuszki — »było ono nawet poprzednikiem najokropniejszego ciosu, jaki nam zadała nadeszła wkrótce wiadomość o rozbrojeniu i rozproszeniu pułków polskich na Ukrainie, przez co powstanie utraciło ważną tę prowincją i posiłki, których nie nagrodzić ani zastąpić nie mogło. Obarczani smutnym tego wypadku obrazem, odosobnieni od społeczeństwa ludzi, jak dzikie zwierzęta ścigani obławami po głuchych ostępach i topieliskach, po sześciu tygodniach najędźniejszego tułactwa i bezustannej trwogi, cudem prawie uszliśmy rąk nieprzyjacielskich.« W lasach nad Prypecią rozstali się obaj tułacze, każdy z nich z osobna szukając na własną rękę sposobu ocalenia. Kosiński z okolic Mozyra, przez Pińszczyznę, przybył w Brzeskie do Siechnowicz, z kąd z pomocą miejscowego dzierżawcy, podczaszego Zienkowieza, dostał się pod narodowe znaki. Zaciągnąwszy się w stopniu kapitana do batalionu strzelców Węgierskiego

i ranny podczas walki pod okopami Warszawy, podążył Kosiński za ustępującą z stolicy armią powstańczą, lecz kapitulacja Radoszycka kres położyła na razie dalszej jego służbie wojskowej. Po kilkumiesięcznym spoczynku, zostawiwszy żonę wraz z dwojgiem dzieci na Litwie, spieszy Kosiński do Lwowa, gdzie dzięki łagodnemu traktowaniu przez władze austriackie gromadzili się licznie oficerowie kościuszkowscy. Huczne życie, jakie wrzało podówczas w Lwimgrodzie, nie nęciło wszakże żadnego czynów żołnierza, który zasłyszawszy o walce, toczonej przez wojska republiki francuskiej we Włoszech, udał się wraz z majorem Strzałkowskim do Wenecji. Alieści za zbliżeniem się do teatru wojny, spotkał Kosińskiego przykry zawód, gdyż głównodowodzący armią włoską, jenerał Scherer, nie przyjął jego usług z powodu wyraźnego postanowienia konstytucyi rzeczypospolitej, wzbraniającej przyjmowania cudzoziemców w szeregi armii. Wziąwszy przeto jako ochotnicy udział w bitwie pod Logano, (dnia 25. listopada 1795 r.), wstąpili obaj przybysze w Nizy do służby na korsarskim statku wojennym, zwanym »La Pierre« i w nagrodę za poniesione w ciągu pięciomiesięcznej kampanii trudy, otrzymali tyle pożądaną naturalizacją. W świadectwie służbowem, wydanem Kosińskiemu przez komendanta statku, Sibille'a, czytamy, co następuje: »Jest on godzien szacunku i poparcia braterskiego wszystkich wolnych ludzi skutkiem roztropnego postępowania i patryotyzmu. Oświadczamy również, iż złożył pośród nas wszystkich przysięgę nienawidzenia tyranów i królów a wierności dla rzeczypospolitej...«

Na podstawie tego świadectwa, którego charakterystyczne brzmienie zasłużyło na wzmiankę, przyjęty został Kosiński w stopniu kapitana do kwatermistrzostwa armii republikańskiej i w jej szeregach odbył pod rozkazami Bonapartego pierwszą kampanią włoską w r. 1796. W maju tego roku bił się pod Lodi i pod Vallegio, w lipcu pod Brescią, w sierpniu pod Lonato, Castiglione i Peschierą, z kąd odko-

menderowany do Brescy, pełnił obowiązki adjutanta-majora przy szefie brygady Girod, komendancie miasta, a wysłany w połowie listopada do głównej kwatery, był też w ogniu pod Arcole. Jakkolwiek w armii republikańskiej otwierała się Kosińskiemu świetna przyszłość, mimo to na pierwszą wieść o przybyciu Dąbrowskiego do Medyolanu, podaje się do dy-misyi, by z całą usilnością poprzeć zabiegi jenerała w sprawie formacyi legionu. Zrazu projekt ów napotykał na znaczne trudności i mimo polecającego pisma ze strony dyrek-toryatu, przyjęcie, jakiego doznał Dąbrowski w głównej kwa-terze, nie było wcale zachęcające a nawet zdawało się zle wróżyć o powodzeniu sprawy legionów. Bonaparte, który niechętnie przyjmował jakiegokolwiek polecenia od władzy naczelnej, udzielił w dniu czwartym grudnia 1796 r. przybywa-jącemu posłuchania w sposób obojętny i niezbyt grzeczny. Odebrawszy z rąk Dąbrowskiego list dyrektoratu wykonaw-czego, nadmienił chłodno, że nie wątpi wprawdzie o walecz-ności Polaków, lecz nie ma żadnej pewności, czy szeregowcy, zbiegli z armii austryackiej — a z takich składać się miały w pierwszej chwili zaciągi legionu — zdołają stawić czoło dawnym towarzyszom broni.

Kazałem na próbę uformować batalion z Polaków — dodał w końcu Bonaparte, mający na myśli świeżo utworzony na żołdzie rzeczypospolitej transpadańskiej batalion Strzałkow-skiego. — Panowie możecie w nim być umieszczeni jako ofi-cerowie.

Zimna ta odpowiedź uraziła Dąbrowskiego oraz towa-rzyszących mu jenerała Wojczyńskiego i Eliasza Tremona, którzy nie pojmując sprzeciwienia się ze strony naczelnego wodza poleceniom dyrektoratu, przypisywali je tajnym in-strukcyom rządu francuskiego, chcącego się w ten sposób pozbyć Polaków. Zamierzał już Dąbrowski porzucić dwór medyolański — jak żołnierze armii włoskiej zwali kwaterę swego wodza — i powrócić do Paryża, gdy traf szczęśliwy zetknął go z Kosińskim.

Kosiński posiadał rozliczne stosunki w Medyolanie, a zwłaszcza pozostawał w ścisłej zażyłości z Gazarim, jeneralnym sekretarzem prowizorycznego rządu lombardzkiego. Szybko zorientowawszy się w sytuacji, odwiedził zniechęconego jenerała od zamiaru opuszczenia głównej kwatery, a równocześnie przez Gazarego trafił do członka rządu, Viscontiego, któremu przedstawił konieczność zwiększenia korpusu armii krajowej, jakoby w stanowej chwili mógł skutecznie posiłkować wojska francuskie. Kraj wasz — prawił upojonym świeżo odzyskaną niepodległością Włochom — lubo stojący na wysokim stopniu oświaty, sztuk i nauk, nie odznacza się duchem wojennym, tyle potrzebnym obecnie do szczęścia waszego. Teraz nastęcza się sposobność najpomysłniejsza zastąpienia tego przymiotu, tak dla was ważnego, przez przyjęcie na wasz koszt korpusu polskiego pod nazwą legionów posiłkowych Lombardyi, co łatwo nastąpić może, jeżeli plan utworzenia takiego korpusu administracya główna kraju przedłoży jako projekt własny Bonapartemu... Słowa te trafiły do przekonania sfer rządzących Lombardya, a szef sztabu Napoleona oraz najzaufańszy powiernik jego planów, Berthier, zaliczający się podobno do przyjaciół domu Viscontich, wyrobił w pierwszych dniach stycznia 1797 r. ponowne posłuchanie Dąbrowskiemu. Tym razem doznał nasz jenerał jak najlepszego przyjęcia i w dniu dziewiątym t. m. przyszła do skutku umowa, w myśl której administracya jeneralna Lombardyi przyjmowała usługi Polaków, tworzących posiłkowe legiony polskie. Mundury, oznaki i organizacya tego korpusu miały być zbliżone, o ile możności, do organizacyi dawnego wojska polskiego. Na epoletach legionistów, o barwie narodowej, lombardzkiej, widniały słowa: *Gli uomini liberi sono fratelli*, («Wolni ludzie są braćmi»), a nadto oficerowie i szeregowcy legionu nosili kokardę francuską, jako odznakę republiki, spieszącej z pomocą ludziom wolnym. Żołd i utrzymanie tudzież świadectwa służbowe otrzymywali legionści na równi z wojskiem narodowym, zaś stanowisko korpusu wobec rządu warował osobny, najważniejszy bez

wątpienia artykuł umowy. — »Lud lombardzki oświadcza« — czytano w szóstym artykule konwencji — »że uważać będzie Polaków, uzbrojonych na obronę wolności, jako prawdziwych braci, nie zaś jako zaciąg cudzoziemski. Stosownie też do tego przyznaje im administracja jeneralna Lombardyi wszystkie prawa, służące rzeczywistym obywatelom kraju. To jednak nie przeszkodzi im udać się do rodzinnych ognisk, jeżeli tego wymagać będą wypadki i jeżeli wolna Lombardya nie będzie potrzebowała bronić swej niepodległości.«

Redakcyja tej umowy, podobnie jak ułożenie znanych odezw Dąbrowskiego, wydawanych w owym czasie, były, według pułkownika Wierzbickiego, dziełem Kosińskiego, którego dokładna znajomość języków francuskiego i włoskiego w słowie i w piśmie, nieocenione sprawie formujących się legionów oddała usługi. Zamianowany w dniu siódmym stycznia t. r. szefem drugiego batalionu strzelców, (w randze podpułkownika), zdał Kosiński faktyczne dowództwo tego oddziału dopieroco wspomnianemu Wierzbickiemu, dawnemu chorążemu pułku Działyńskich, sam zaś znosił się nieustannie w sprawach legionu to z główną kwaterą, to znów z dowodzącym w Lombardyi jenerałem Cilmaine i z administracją krajową. Nie poprzestawał wszakże na zajęciach kancelaryjnych, lecz z chwilą, gdy w pierwszych dniach marca batalion jego gotowym był do wymarszu, wyruszył wraz z nim na linią bojową. Po krótkim pobycie w Mantui przypadło Kosińskiemu w udziale trudne zadanie uśmierzenia rozruchów, powstałych w Romanii. Jakoż z danego polecenia wywiązał się ku ogólnemu zadowoleniu, gdyż nie tylko przywrócił spokój w zakłóconej powstaniem okolicy, lecz nadto otrzymał zasłużone pochwały od municypalności w Rimini i w Cesenie, w których to miejscowościach przez czas dłuższy przebywał. Władze municypalne tych miast uznały za stosowne wyrazić piśmienne uznanie legionistom, pozostającym pod komendą Kosińskiego, za ich zachowanie, nacechowane »uczciwością, umiarkowaniem i karnością, godnemi republikańskiego żoł-

nierza«, nie szczędząc również należnych pochwał dla komendanta batalionu, oraz dla podwładnych oficerów, »którzy okazali się nader ludzkimi oraz pełnymi najpożądańszej grzeczności i uprzejmości«. Wobec gwałtów, jakich dopuszczali się dowódcy armii republikańskiej we Włoszech, rządząc się w swych stacyach, jakby w kraju podbitym, wyrazy wdzięczności, jakimi żegnano podążających za głównem wojskiem legionistów, nabierały tem więcej wagi i znaczenia.

Wieść o podpisaniu układów pokojowych w Leoben zastała Kosińskiego, ciągnącego celem połączenia się z legią pod Palmanuova, poczem uczestniczył on w krótkiej kampanii weneckiej i w dniu 23. maja tego roku postąpił na szefa brygady, która to ranga odpowiadała stopniowi pułkownika. Zarazem poruczono mu czynności generała-adjutanta czyli szefa sztabu legii. Obowiązek ten spełniał Kosiński później w drugim legionie, o ile nie dowodził nim zastępczo w nieobecności Rymkiewicza i Wielohorskiego. Używano go też do samodzielnych komend. I tak przez czas fakiś był on dowódcą garnizonu w Kremonie, a później w Ferrarze, na których to stanowiskach nie tylko nie zawiódł pokładanego w nim zaufania zwierzchników, lecz nadto pozostawił po sobie wśród mieszkańców nader życzliwe wspomnienie. Jako komendant miejsc warownych nie podlegał Kosiński naczelnikowi legionów, a nawet chwilowo porzucił był służbę w legii pod wpływem nieporozumień, jakie w owym czasie powstały między nim a Dąbrowskim. Powodem tego przykrego zajścia był szef artylerji, Wincenty Aksamitowski, smutnie zapisany w kronikach legionowych podczas ostatnich lat ich istnienia, jako oskarżyciel własnych kolegów wobec Murata. Otóż Aksamitowski, załogując w Kremonie, aresztował w sposób bezwzględny i brutalny jednego ze swych oficerów, a skarcony przez Kosińskiego, oskarżył go wobec Dąbrowskiego, zarzucając mu osobistą niechęć i zemstę, wywartą na jego osobie. Dąbrowski, porywczy z usposobienia, wystosował list, pełen ciężkich zarzutów, do Kosińskiego, który nie omieszkał przy-

pomnieć generałowi, że jako komendant fortecy podlega tylko rozkazom ministra wojny, a zarazem odwołał się do opinii kolegów, podając do ich wiadomości otrzymane od Dąbrowskiego pismo i swoją na nie odpowiedź, kończącą się następującymi słowy: ...»Jeżeli cnota do serca twego tak łatwy ma przystęp, jak do ust, otwartość moja obrażać cię, jenerale, nie powinna. Postępuj zemną z podobną szczerością i miasto zaliczania mię do nieprzyjaciół, zamiast zabiegów, które twój, obywatelu, krzywdzą charakter, powiedz, jak mam postąpić dla zaspokojenia twej nieubłaganej nienawiści? Jeżeli szkodzi ci moje imię w szeregach legionu, wystarczy mi to powiedzieć. Ta jedna jeszcze pozostaje mi ofiara, którą ponieść mogę dla odzyskania spokoju. Poświęcę mój jedyny sposób utrzymania, wzgardzę nędzą dla ocalenia honoru wobec złośliwych' potwarzy oraz dla zachowania szacunku współrodaków, miłszego mi nad życie«...

Tak więc intryga oraz zła wola jednego człowieka zakłóciły dotychczasową, tyle pożądaną harmonią między Dąbrowskim a Kosińskim, z czego skorzystało otoczenie jenerała, by zniewolić Kosińskiego do usunięcia się z legionu. Podobno i Wielohorski nie był obcym owym knowaniom, gdyż urażony przez Gazarego, bratanek wspomnianego poprzednio sekretarza rządu lombardzkiego, umieszczonego za instancją Kosińskiego w randze kwatermistrza przy trzecim batalionie legionu, domagał się usilnie wydalenia ze służby tego oficera. Jakkolwiek jedyną winą Gazarego była odpowiedź: non capisco, dana na polskie pytanie Wielohorskiego, mimo to obwiniony wydalony został ze służby. Otrzymawszy wszakże za staraniem stryja stopień wyższy w wojsku cyzalpiniem, nie omieszkał Gazari odpłacić swym przesładowcom pięknem za nadobne i wystosował do Dąbrowskiego list, w którym zawiadomił jenerała, że w zamian za służbę legionową otrzymał stopień z mundurem narodu istniejącego, zrzuciwszy uniform, mogący figurować jedynie na scenie, jako należący do narodu, wymazanego z politycznej karty

Europy... Zajście z Gazarim, ubliżające honorowi Polaków, a dotykające w pierwszym rzędzie Kosińskiego, jako tego, który młodzieńca nakłonił do służby w legionie, dopełniło miary zniechęcenia ze strony pierwszego legionisty. Zostawiwszy więc wolne pole faworytom, otaczającym generała, pełnił w dalszym ciągu służbę na żołdzie cyzalıpińskim jako komendant Ferrary, lecz mimo chwilowego nieporozumienia z Dąbrowskim, nie przestawał się o nim wyrażać z jak najwyższym szacunkiem.

Niebawem też przyszło mu powrócić pod sztandar legionu. W połowie czerwca 1798 r. przybył do Włoch z Sztambułu szanowny powszechnie generał Rymkiewicz, przyjaciel Kosińskiego z lat dawnych. Na wieść o mianowaniu Rymkiewicza szefem drugiej legii, zapomniał Kosiński o urazie i zdawszy dowództwo Ferrary swemu następcy, objął szefostwo tejże legii *en second*. Do końca roku legia druga pozostała bezczynna, pełniąc jedynie służbę forpocztową nad Adygą oraz tworząc garnizony w Ferrarze, w Kremonie i w Mantui. Natomiast w marcu roku następnego ruszyła w pole nad Mincio, gdzie głównodowodzący generał Scherer niezbyt pomyślnie potykał się z armią sprzymierzonych. W bitwie pod Legnago, (dnia 26. marca), Kosiński, pełniący służbę sztabowego oficera przy boku generała Richepeance, objął po zranieniu tegoż dowództwo brygady. Pochwyciwszy sztandar w swe dłonie, wiódł ją do ataku na nieprzyjaciela i w ten sposób przyczynił się do ocalenia znacznej części wojsk francuskich, pierzchających po klęsce z pola walki.

Podobną usługę oddał też armii republikańskiej po przegranej pod Weroną a idąc ciągle w tylnej straży, znalazł się wraz z innymi oddziałami drugiej legii w osaczonej przez nieprzyjaciela Mantui. Spór o starszeństwo, powstały między Kosińskim a Dembowskim po śmierci Rymkiewicza, zgasłego w Medyolanie skutkiem ran odniesionych, załatwił komendant Mantui, generał Foissac-Latour w ten sposób, iż oddając bezpośrednio komendę legii Dembowskiemu, polecił Kosińskiemu

objęcie pełnionych przez niego funkcji generała-adjutanta. Lubo pokrzywdzony tem rozporządzeniem, wykonywał Kosiński swe obowiązki z niezmienną gorliwością, a widząc pewne braki w sposobie obrony twierdzy, przedłożył bezmiennie swe spostrzeżenia, poczynione w tej mierze, dowódcemu generałowi. Foissac-Latour nie uraził się bynajmniej przesłanemi mu uwagami. Przeciwnie, uznając trafność udzielonych mu wskazówek, kazał je umieścić w rozkazie dziennym wraz z pochwałą dla autora, tudzież z żądaniem, by tenże zrzucił maskę bezmienności. Stosownie do tego żądania, Kosiński dał się poznać komendantowi, który go wezwał do siebie celem omówienia podanych przez niego projektów, lecz o obronie do upadłego nie myślał wcale Foissac-Latour, mimo, iż jako ostateczny punkt oparcia służyć mu mogła wznosząca się w śródmieścia cytadela, zaopatrzona w żywność i w amunicję na czas dłuższy. Jakoż za jego wpływem rada wojenna, pomnożona umyślnie przyzwaniem podkomendnych oficerów, chętniejszych do poddania się, bo nieodpowiedzialnych za powodzenie sprawy, uznała za stosowne kapitulować, mimo oporu ze strony dzielnego Berthona, komendanta artylerji, który utrzymywał, że Mantua jeszcze przez przez miesiąc bronić się może. Uczestniczący wszakże w radzie wojennej Polacy oświadczyli stanowczo przez usta Kosińskiego, że w razie, gdyby przy spisywaniu warunków kapitulacji zapomniano o legjonie, to legioniści raczej wysadzą się w powietrze, aniżeli zdadzą się na łaskę i niełaskę Austryaków. Oświadczenie rzeczone przyjął komendant do wiadomości i bezwzględnie rozpoczął układy o poddanie twierdzy, żądając z razu tych samych warunków kapitulacji, na jakie w roku dziewięćdziesiątym siódmym zgodził się Bonaparte, odbierając Mantuę od Wurmsera. Domagał się przeto odesłania całej załogi wyznaczonymi z góry etapami do armii włoskiej, stojącej pod Genuą. Ale Kray i słyszeć nie chciał o czemś podobnem, upierając się przy żądaniu, by załoga twierdzy po złożeniu broni poszła w niewolę, w której pozostanie.

stałaby do czasu, kiedy nastąpi między stronami walczącemi ogólna wymiana jeńców. Odpowiedź powyższa wywołała silne oburzenie wśród oblężonych warunków. Atoli Foissac-Latour, dążący z dziwną skwapliwością do kapitulacyi, przedstawił wówczas radzie wojennej nowy projekt, w myśl którego cały korpus oficerski miałby się oddać nieprzyjacielowi w niewolę, w zakład za żołnierzy, odesłanych do Francyi, z warunkiem niebrania udziału w walce aż do chwili ukończenia kampanii. Rada zgodziła się na wniosek komendanta z dodatkiem, iż w razie nieprzyjęcia tej propozycyi przez naczelnie dowodzącego armią cesarską, generała Kraya, twierdza ma się bronić do upadłego. Energiczną ową deklaracją podpisało trzydziestu ośmiu członków rady z Kosińskim na czele.

Inaczej wszakże postąpił chwiejny i tchórzliwy — jak się w stanowczej chwili okazało — Foissac-Latour, który wobec odmownej odpowiedzi Kraya przyjął na własną rękę akt kapitulacyi w dniu dwudziestym ósmym lipca. Według niej, wszyscy oficerowie z komendantem na czele mieli się udać jako jeńcy wojenni na trzy miesiące do krajów dziedzicznych monarchii austryackiej, poczem wolno im było powrócić do ojczyzny za złożeniem słowa honoru, że nie podniosą oręża przeciw Austryi, dopóki nie nastąpi wymiana jeńców. Natomiast szeregowcy po złożeniu broni mieli być odesłani do Francyi najkrótszą drogą z obowiązkiem powstrzymania się do walki. Niemniej ważnym był drugi artykuł konwencyi, orzekający, że wojska cyzalpińskie, szwajcarskie, polskie i piemonckie będą uważane i traktowane pod każdym względem na równi z wojskami Rzeczypospolitej francuskiej. W ponurem milczeniu przyjął ogół oficerów do wiadomości treść rzeczzonego aktu i w dniu trzydziestym lipca, z uderzeniem godziny dwunastej w południe, załoga Mantui wyszła z bram fortecy. Pochód otwierało sześć dział polowych, poczem kroczyły oddziały żołnierzy francuskich, włoskich i szwajcarskich, które, minąwszy rozciągnięty po obu stronach drogi szpaler wojsk austryackich, składały broń swą

na wałach twierdzy i ruszały w dalszą drogę rozbrojone. Dopiero po dopełnieniu tej czynności kazał Foissac-Latour wystąpić legionistom, na których widok żołnierz austriacki ścisnął swe szeregi i kolbami jął rozdzielać oficerów od żołnierzy, popychając ich wśród obelg i gwałtów ku pobliskim domostwom. Widząc Kosiński, co się dzieje, podbiega w najwyższym uniesieniu do stojących opodal Kraya i Latoura, wzywając ich interwencji. W tej chwili major Królikiewicz chwytając za cugle rumaka wodza austriackiego, zapytując groźnym głosem generała, co znaczy postępowanie jego żołnierzy? I wtedy dopiero okazał Kray zdumionym komendantom artykuł dodatkowy konwencji, opiewający, jak następuje: »Zbiegowie austriaccy będą oddani każdy z osobna pułkowi i batalionowi, do którego należą. Naczelnie dowodzący armią cesarską zabezpiecza im życie.« Tym więc króciuchnym dodatkiem, utrzymywanym w najściślejszej tajemnicy wobec członków rady wojennej, poświęcił niegodny komendant najdzielniejszych obrońców Mantui zemście nieprzyjaciela, gdyż przeważna część szeregowców drugiego legionu składała się ze zbiegów z armii austriackiej. Obrzucony przekleństwami i zasłużoną okryty hańbą, usunął się Foissac-Latour z oczu swych podkomendnych, Kray zaś na przedstawienia oficerów polskich, polecił zaniechać dalszych gwałtów, a nawet wydał porwanych już szeregowców, niepochoźdzących z zaboru austriackiego. Natomiast oficerowie, którzy z sierżantów w armii austriackiej dosłużyli się w legione szlif oficerskich, zdegradowani zostali za karę w cesarskim wojsku na szeregowców. Cięższa jeszcze odpowiedzialność czekała biednych żołnierzy z pułków galicyjskich, którzy w szeregach legionu spodziewali się znaleźć ocalenie wobec srogiego znęcania się starszyny, jakiego doznawali w armii cesarskiej. Nie ukarano ich — stosownie do zapewnienia Kraya — śmiercią, ale zbiegom wymierzono różgi i zakuty w kajdany odsyłano do ciężkich robót fortecznych, albo też do tak zwanych oddziałów karnych, gdzie czekała

ich długoletnia służba bez możności uzyskania wyższego stopnia.

Kosiński wraz z całą starszyzną drugiego legionu musiał pójść w niewolę austryacką. Jeńców internowano w opuszczonym klasztorze w Leoben i dopiero po zwycięstwie Bonapartego, odniesionem pod Marengo, mogli oni powrócić do czynnej służby. W czerwcu 1800 r. widzimy Kosińskiego, pełniącego obowiązki szefa legii, reorganizowanej w Medyolanie, poczem w listopadzie t. r. wysłany został na czele czterystu żołnierzy na załogę do Kremony. Zawiedzione skutkiem traktatu lunewilskiego nadzieje legionistów i liczne dymisy, jakich za przykładem Kniaziewicza domagała się ściągnięta do Włoch starszyzna legii naddunajskiej, spowodowały też Kosińskiego do zażądania dłuższego urlopu, tem bardziej, że wypadki polityczne zdawały się wskazywać na dłuższe trwanie pokoju. Z wiosną 1801 roku udał się przeto do Paryża, gdzie spodziewał się zasięgnąć bliższych wiadomości o przyszłym przeznaczeniu legionów, a zarazem miał czynić starania o wypłatę zaległego żołdu, który poprzedniego roku bardzo nieregularnie dochodził do rąk legionistów. Przybywszy do Paryża w pierwszych dniach maja, dowiedział się Kosiński ku niemałemu zdumieniu, iż część prasy tamtejszej, nieprzyjaźnie dla Polaków usposobiona, skorzystała z licznych podań o dymisy, wniesionych przez starszyznę legionową, by wystąpić z oszczercem przeciwko niej oskarżeniem, jakoby oficerowie polscy opuszczali służbę Rzeczypospolitej z powodu korzystniejszych warunków, zzaofiarowanych im przez inne mocarstwa. Uwłaczające te honorowi narodowemu wieści sprawiły, iż Kosiński ogłosił w dniu trzynastym maja t. r. pamiętny list otwarty do redaktora »Klucza gabinetu władców«, (*La Clef du Cabinet des Souverains*). Pismo to, w swoim czasie zasłużonem cieszące się rozgłosem, opiewało, jak następuje: »Wiadomość, podana wczoraj w piśmie Twojem, obywatelu Redaktorze i powtórzona przez inne dzienniki pod napisem: »z Florencyi«, zniewala mnie do uprasza-

nia, byś zechciał na temże samem miejscu ogłosić list załączony. Prawdą jest, że oficerowie polscy podali się lub mają zamiar podania się o uwolnienie służby, lecz mylnem jest twierdzenie, jakoby żądali dymisyi z powodu, iż chcą porzucić służbę francuską dla przejścia w służbę wielkiego księcia Toskanii. W rzeczy samej krążą już od niejakiego czasu wieści, iż rząd francuski przeznacza legiony polskie do przejścia w służbę swych sprzymierzeńców, lecz Polacy dalekimi są od dania wiary owym pogłoskom, a to z następujących powodów: Polacy, kupiąc się pod sztandarami Francyi, mieli jedyny cel na oku, to jest słuzenie sprawie nieszczęśliwej ojczyzny, co jest zresztą rzeczą powszechnie wiadomą w całej Europie. Francya, jako rzeczpospolita, postąpiła w podobny sposób wobec tułacznych republikanów polskich, jak niegdyś zachowywała się Francya monarchiczna wobec królów, pozbawionych tronu. Kierując się względami wspianiałości, właściwej wielkiemu narodowi, jakoteż racją stanu, udzielił rząd francuski Polakom schronienia, a zarazem nieposkąpił potrzebnych środków, celem zapewnienia ich wojskowej oraz narodowej organizacyi, nie narzucając im w zamian żadnych warunków, niczego od nich nie wymagając i niczem też nie zobowiązując się z swej strony wobec nich. Nie istniała przeto żadna formalna umowa między obiema stronami; ale któż nie dojrzy w tym stosunku umowy milczącej, dyktowanej prawem odwiecznej sprawiedliwości a poręczonej prawością silniejszego wobec słabszego? Traktatu owego nie komunikował Polakom gabinet dyplomatyczny. Oni odczuwali takowy w szczerem postępowaniu rządu i w duszy każdego Francuza. Oto treść owego układu: Nieprzyjaciele Francyi są także wrogami waszymi. Wysyłamy niezwyciężone nasze zastępy celem zapewnienia korzyści wszystkich dotychczasowych zwycięstw. Polacy! Oto broń, której żądacie. Ujmijcie ją i łączcie się z bohaterami, dążącymi przez Mincjo, Adygę tudzież wąwozy Hohenlinden, by ponieść uwieńczone zwycięstwem sztandary pod Wiedeń. Po-

lacy! Ta sama droga wiedzie ku brzegom Wisły. Idźcie walczyć z wspólnym przeciwnikiem, zanim przyszłość rozstrzygnie o losie waszego kraju! Oto, jakie są zobowiązania wobec rządu francuskiego. Usłuchali Polacy jego wezwania, walczyli wraz z Francuzami, służąc sprawie swej ojczyzny. Po tak szczerem porozumieniu, które trafiło do przekonania każdego Polaka, czyż można wyobrazić sobie, by obawa przed zniewoleniem do wstąpienia w obcą służbę skłoniła polskich oficerów do podawania się o dymisyą? Nie, ta obawa nie zatrwożyła nigdy ich myśli. Po pierwsze, nie zapredali nigdy Polacy swej wolności osobistej; powtóre, pozostają oni pod opieką rządu francuskiego, który jest przeciwny wszelkiej przemocy; po trzecie, nie ma potęgi, zdolnej do złamania siły moralnej umysłu, zdecydowanego na utrzymanie za jakąkolwiek cenę szlachetności swego charakteru oraz godności narodowej. Być może, że milczenie o traktacie w Luneville zawartym, o artykule dotyczącym amnestyi i bezpieczeństwa osobistego Polaków, zachęci poszczególne indywidua do szukania przytułku w obcych krajach. Atoli ich święty obowiązek, ten węzeł gordyjski, łączący Polaków obecnie, zostanie natychmiast zerwany, skoro los złowrogi wyrzecze, iż Polska już nie istnieje. Już niektórzy z Polaków zdają się słyszeć ten okropny wyrok i ze łzami w oczach składają swą broń przed zawartymi podwojami świątyni Janusa. Inni wahają się dotychczas z powzięciem ostatecznego postanowienia i ośmielają się jeszcze łudzić nadzieją. Oto przyczyny ich postępowania, godne związku, trwającego od lat pięciu, a przedstawiającego ostatni, być może, czyn historyczny nieszczęśliwej Sarmacyi.

Energiczny ten protest, odpierający niegodne zarzuty dziennikarzy paryskich, miotane przeciwko legionistom, zjednał Kosińskiemu zasłużony poklask wśród swoich i obcych, acz nie zdołał zmienić utajonych planów pierwszego konsula, dążącego zwolna, lecz konsekwentnie do zniweczenia pierwotnej organizacyi legionistów. O zamiarach tych wiedzieć nie

mógł nasz legionista, który pragnął przynajmniej odebrać żołd zaległy dla swych towarzyszy, ale kasy republikańskie, wyścieńczone przewlekłą wojną, świeciły pustkami, tak, iż wszystkie zabiegi i starania, czynione w tej mierze przez Kosińskiego, nie odniosły żadnego skutku. — »Znasz mnie zapewne dosyć, żebyś się mógł dziwić memu niedostatkowi« — pisał Kosiński już po powrocie z stolicy do swego przyjaciela, Godebskiego — »Do niesplamionego myślą nawet łupiestw sumienia, wszystkie się zbiegły okoliczności do zrujnowania całkowitego moich finansów. Strata ekwipażu w kampanii siódmego roku, (1799), zabór przez nieprzyjaciela mych ruchomości, pozostawionych w Ferrarze, jedenastomiesięczna niewola były zapewne dość mocne do zniszczenia oficera, nie znającego innych dochodów, nad swoją gażę, której część znaczna zaległa w skarbie rządowym, lecz na dobitek tego wszystkiego dałem się uwieść pokusom nadziei odzyskania tej zaległości. Niebaczny rozumiałem, iż moja własność, ceną własnego jestestwa nabyta, będzie świętą w oczach tego rządu, który nie świętego ani w niebie, ani na ziemi, prócz swych zamiarów nie widział. W tym celu sprzedałem powóz i konie na podróż do Paryża, gdzie łudzony przez kilka miesięcy obietnicami, zadłużony, ledwo nie piechotą powrócić do Włoch musiałem i dotąd zostaję w służbie dla uiszczenia się moim kredytorem.«

We wrześniu 1801 r. stanął Kosiński z powrotem w Medyolanie, gdzie też pozostał wraz z kancelaryą sztabową, jakkolwiek główna kwatery Dąbrowskiego znajdowała się wówczas w Modenie. Z zachowanych szczęśliwie listów generała, pisanych w tym czasie do Kosińskiego, zdawałoby się wynikać, że wróciła już dawna harmonia między nimi. Wskazują na to i ton serdeczny, w jakim generał przemawia do swego szefa sztabu i poufne zwierzenia, z jakimi się wywnętrzał w obec doświadczonego przyjaciela. Tym też okolicznościom przypisać zapewne należy, iż Kosiński pozostał na zajmowanym stanowisku, mimo nakazanej w grudniu t. r. reorganizacji, dzielącej legiony na trzy półbrygady. Jako szef sztabu dywizyi

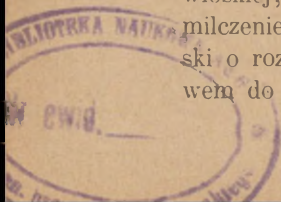
przebywał w Medyolanie, prowadząc po za służbą życie niemal odludne, zajęty spisywaniem osobistych wspomnień, oraz rozpraw wojskowych i studyowaniem klasycznych dzieł wojennych. Zatrudnienia te wszakże nie przeszkodziły Kosińskiemu w zwracaniu pilnej uwagi na wypadki współczesne, a w szcze-



AMILKAR KOSIŃSKI

podług miniatury współczesnej.

gólności na losy żołnierza polskiego, który zaliczony do półbrygad cudzoziemskich, zdany został na łaskę i niełaskę pierwszego konsula. Powolny jego rozkazom Murat, wódz naczelny armii włoskiej, zachowywał w obec starszyny legionów tajemnicze milczenie o przyszłym ich przeznaczeniu, skutkiem czego pogłoski o rozdrobnieniu dawnych legii i o wcieleniu ich cząstkowo do rozmaitych oddziałów wojsk cyrzałpińskich, tudzież



armii świeżo powstałego królestwa Etruryi coraz to większego nabierały prawdopodobieństwa. I wówczas to Kosiński wspólnie z Fiszerem powzięli śmiały projekt zbrojnego oparcia się ewentualnemu rozdziałowi Polaków między wojska włoskie. Postanowili zginąć z bronią w ręku, lub zdobyć dla legionów korzystniejsze warunki bytu na przyszłość. W tym celu rozłożona w Toskanii dawna legia naddunajska miała się złączyć pospiesznym marszem z dywizją generała Dąbrowskiego, której batalion, załogujący w Mantui, otworzyłby bramy warowni nadeciągającym ziomkom. Równocześnie pułk jazdy polskiej ubiegłby Peschierę, a zajmąwszy w ten sposób linię obronną Mincjonu, mogliby Polacy wyjednać od rządu rzeczypospolitej spełnienie swych żądań słusznych. Myśl ta, mimo hazardu, jakim się odznaczała, znalazła zaraz w pierwszej chwili nadspodziewanie licznych zwolenników wśród grona polskich oficerów, lecz spełnieniu jej sprzeciwił się stanowczo Dąbrowski, który wtajemniczony w zamiary spiskowych, zdołał zażegnać burzę, przedstawivszy im od siebie plan przeniesienia legionów na wyspy jońskie, gdzie pod protektoratem tureckim mogliby Polacy zachować organizacją wojskową i doczekać się odpowiedniej chwili do dalszego działania. Wykonanie projektu, przedłożonego przez Dąbrowskiego, nie przedstawiało znaczniejszych trudności, gdyż opanowanie stojących pod Otranto statków handlowych nie było i w setnej części tak niebezpieczne jak zajęcie Mantui oraz Peschier. Nadto legioniści żywili nadzieję, że rząd francuski zgodzi się na ich wyprawę do Grecyi i bez dłuższego wahania przystąpili do wniosku Dąbrowskiego. Że generał również podzielał owe złudzenia — świadczy najwymowniej korespondencya jego z Kosińskim w tej sprawie przeprowadzona. — »Mówiłem bardzo wiele z samym Bonapartem na audyencyi osobnej« — donosi Dąbrowski naszemu legioniście z Lyonu w dniu 23 stycznia 1802 roku — »zawsze mi pomyślnie odpowiadał a nakoniec żądał, żebym mu na piśmie wszystko podał, co uskuteczniłem dnia czternastego stycznia, składając mu do rąk, ale dotąd

żadnej rezolucyi nie mam. Też samą notę dałem ministrowi spraw zagranicznych, Taylerand-Perigord, który ją najlepiej przyjął i wszystko deklarował. Mówiłem z nim o wiadomym projekcie, lecz z odpowiedzi czynionych spostrzegłem wyraźnie, że więcej myślą o pokoju i o spokojności niż o naszym coup d'état«...

Jakkolwiek nietęgi polityk, odgadł tym razem Dąbrowski intencye sterowników nawy rzeczypospolitej, dążących wszystkimi środkami do zjednania sobie względów mocarstw sprzymierzonych, w obec czego o podniesieniu kwestyi polskiej nie mogło być i mowy.

Tymczasem wśród legionistów, bezczynnych z powodu zawarcia pokoju, poczęły wrzeć waśnie, wiązać się intrygi, których duszą miał być znany już Aksamitowski, człowiek usposobienia nader giętkiego i powolny sługa każdej władzy, by nie użyć dosadniejszych dla określenia jego charakteru wyrażeń, jakich nie brak w społecznych pamiętnikach... Dość powiedzieć, że ów Aksamitowski zapomniał się do tego stopnia, iż wykrywszy w gronie podwładnych oficerów istnienie loży wolnomularskiej, która to organizacya była nader rozpowszechnioną w garnizonach włoskich, nie wahał się oskarżyć ich przed Muratem o knowania przeciw rządowi francuskiemu. Oczywiście, iż zarządzone z polecenia naczelnego wodza śledztwo wykryło brak winy, zarzuconej podejrzanym, lecz już sam fakt aresztowania obwinionych o spiski, oraz prowadzone z nimi w Ferrarze indagacye podkopały stanowisko Aksamitowskiego, nie cieszącego się przedtem zbyt wielką życzliwością w gronie kolegów. Widząc przeto, co się święci, a lekając się, by mu nie odebrano intratnego stanowiska szefa półbrygady, udał Aksamitowski w głównej kwaterze ofiarę lojalności, okazywanej przez niego dla Francyi, i wskazał Kosińskiego jako tego, który w chęci posiadania jego stopnia zorganizował spisek oficerów przeciw niemu wymierzony. Murat z gołosłownej denuncyacji żadnego nie zrobił użytku, ale wieść o niewłaściwym postępku Aksamitowskiego doszła nie-

bawem do uszu legionistów i Kosiński, doprowadzony do ostateczności ową krecią robotą, wyzwiał na pojedynek denuncyanta. Aksamitowski wszakże, tęższy w języku aniżeli w szabli, wymówił się interesem służbowym, wymagającym jego bezwzględnej bytności we Francyi i na placu nie stanął... Tymczasem smutna rzeczywistość nie pozostawiała już żadnych wątpliwości co do przyszłego losu legionistów, którzy, wcieleni do armii francuskiej, musieli ten zaszczyt okupić wyprawą na Santo-Domingo. Teraz już i najwytrwalszym opadły ręce. Kto mógł, opuszczał służbę i powracał do kraju. W ślad za Książewiczem ustąpili też Wielohorski, Strzałkowski, Fiszer, a w marcu 1083 r. podał się również Kosiński do dymisji. Rząd włoski, przychylając się do jego żądania, zamianował go generałem brygady, Dąbrowski zaś, noszący w owym czasie urzędowy tytuł jeneralnego inspektora wojsk polskich, pożegnał wiernego druha serdecznym listem.

Powróciwszy w roku 1800 do kraju, przebywał Kosiński przez czas jakiś w Poznaniu, poczem przeniósł się do Warszawy. Ale gród syreni przeobraziwszy się w prowincjonalną stolicę Prus Południowych, nie sprawił korzystnego wrażenia na jenerale. — »Nie przyjacielu, Warszawa nie jest dla mnie miastem Polaków, kiedy jej mieszkańcom Polakami być nie wolno« — pisał jeszcze z Medyolanu do Cypryana Godebskiego — »Góry w mych oczach są schronieniem człowieka i jeżeli kiedy będę szczęśliwym, Bex mojem siedliskiem i moim będzie grobem«... Inaczej wszakże zrządziły losy, każąc strudzonemu walką legioniście szukać wytchnienia wśród piasków Mazowsza, nie zaś w zacisznem ustroniu Sabaudyi. Bawiąc chwilowo w Warszawie, z której częste czynił wycieczki do bliskiego Czarnolesia, gdzie przemieszkiwał brat jego, Aleksy, wziął się Kosiński do pióra i przełożył z włoskiego popularne w owym czasie dziełko p. t.: *Rzymianie w Grecyi*, zaś miejscowe Towarzystwo Przyjaciół Nauk zamianowało go swym członkiem honorowym. — »Ustawy uczone Warszawy« — zauważył on w swej korespondencyi

z Godebskim — »dwojakie we mnie wzbudzają uczucia. Jako człowiek wielbię gorliwość ludzi, którzy pracują nad pomnożeniem masy światła w narodzie. Jako Polak boleję, że te same talenty nie mogły się zgromadzić do zapalenia pochodni oświecenia, przy której zapewne tyle byłaby spostrzeżoną szlachetność niepodległości, ile teraz da się uczuć podłość niewoli. Lecz wina rządu przeszłego nie może zmniejszyć szacunku i wdzięczności, którą każdy człowiek winien twórcom tak chwalebnej ustawy«!... Troska o chleb powszedni przerwała wkrótce prace literackie jenerała, który przeniósłszy się w Poznańskie, wziął w dzierżawę dobra Gołańczę, by z całą energią i systematycznością żołnierską zabrać się do gospodarki. Wstawał o świcie i pracował niezmiernie, a choć szczupły na pozór i nikłego wzrostu, posiadał zdrowie żelazne, wytrzymałość, trudną do pojęcia, na wszelkie trudy i niewygody, a życie niemal ascetyczne, rzadka wstrzemięźliwość w jadłach i w napoju, zahartowały go do najwyższego stopnia. I słusznie przyjaciel Godebski przeznaczał wiejskiej sadybie Kosińskiego napis następujący:

Tu mieszka rycerz, który w każdej dobie  
Bardziej o kraju myślał, niż o sobie.  
Choć był w Kolchidzie, lecz się nie wzbogacił;  
Zyskał w szacunku, co w fortunie stracił!

Zawierucha wojenna 1806 roku oderwała Kosińskiego od roli. Na wezwanie Dąbrowskiego, tworzącego w Wielkopolsce wojsko narodowe, stanął dawny żołnierz do szeregu, a objąwszy powierzoną mu komendę brygady, szedł na jej czele od Bydgoszczy aż pod Gdańsk, zawsze w przedniej straży i w ciągłych z nieprzyjacielem potyczkach. Po kapitulacji Gdańska wrócił Kosiński do głównej armii, był w ogniu pod Frydlandem i po skończonej kampanii, ozdobiony kawalerskim krzyżem *virtuti militari*, usunął się co rychlej w wiejskie zacisze. Nie długo mógł wszakże zażywać dobrze zasłużonego spoczynku. Wypadki 1809 roku powołały go po-

nownie do czynnej służby. Walczył więc początkowo przy boku Dąbrowskiego w Wielkopolsce, pełnił czasowo obowiązki komendanta Warszawy, a wygraną bitwą pod Żarnowcem przyczynił się wielce do ustąpienia wojsk nieprzyjacielskich z Krakowa. Pokój wiedeński zwiastował znów chwilę wytchnienia dzielnemu legionście, którego usługi wynagrodził rząd Królestwa Warszawskiego, nadając mu Starołękę pod Poznaniem. I tym razem nie było mu dane dłużej korzystać z spoczynku, gdyż powołany do służby w roku 1811 i zamianowany generałem dywizji, otrzymał w czasie kampanii rosyjskiej dowództwo korpusu rezerwowego, strzegącego granicy Księstwa nad Bugiem. Oddział Kosińskiego, złożony z świeżo zaciężnego rekruta, wymagał wyjątkowej czujności ze strony komendanta, który, nie spuszczając się na podwładnych oficerów, noc w noc prawie objeżdżał przednie czaty swego korpusu, lecz zniechęcony przykrymi stosunkami służbowymi, a oraz przewidując nieuchronną katastrofę, opuścił już pod koniec 1812 roku szeregi. Odznaczony krzyżem komandorskim *virtuti militari*, powrócił na wieś i osiadł w Targowej Górcie, którą mu druga małżonka wniosła w posagu.

Pod wiejską strzechę Kosińskiego dolatywały wieści o pogromie Napoleona, w którego dobre chęci dla Polski przestał już wierzyć generał, lecz wiadomość o postanowieniach kongresu wiedeńskiego, warującego Polakom prawa narodowe, zdołała raz jeszcze zachęcić strudzonego walką szermierza do wystąpienia na widowni politycznej. Ster rządu pruskiego spoczywał podówczas w ręku wytrawnych mężów stanu o przekonaniach liberalnych, jakimi byli Hardenberg, Knesebeck, Boyen i inni, dalej patrzący w przeszłość politycy, którzy rzetelnie pragnęli nadać W. Księstwu Poznańskiemu organizacją narodową.

Pierwszym krokiem w tym kierunku uczynionym było mianowanie namiestnikiem w Poznaniu księcia Antoniego Radziwiłła, któremu zalecono porozumienie się bliższe z Kosińskim w sprawie projektowanej formacji narodowej siły zbroj-

nej w Księstwie. Po Dąbrowskim, mianowanym w owym czasie generałem broni i senatorem-wojewodą Królestwa Kongresowego, był Kosiński najstarszym rangą wojskowym dawnej służby. Na niego więc padł wybór rządu berlińskiego jako na przyszłego wodza siły zbrojnej w Wielkopolsce, w której kierownicy ówczesni pruskiej polityki upatrywali najdzielniejszą siłę odporną na wypadek wojny z Rosją. Kosiński nie łądził się, jak już wspomniano, obietnicami napoleońskimi i nie zaliczał się też do entuzjastycznych wielbicieli cara Aleksandra I., »wskrzesiciela Polski«, jakich u nas po kongresie wiedeńskim nie brakło. Trzeźwy jego umysł liczył się z faktem dokonany. Królestwo Kongresowe nie było dla niego przedstawicielem całej Polski, lecz korzystając z sprzyjających chwilowo warunków, pragnął przyczynić się, w miarę sił i możliwości, do wytworzenia pod zaborem pruskim jak najsilniejszej podstawy dla rozwoju żywiołu polskiego. I z tego powodu przyjął Kosiński służbę w armii pruskiej ku niemałemu oburzeniu tych wszystkich, którzy w bezwzględnej opozycji przeciw rządowi upatrywali jedyny dowód patriotyzmu. — Jedność, całość i niepodległość, dla których najdroższych od 1794 r. do 1814 r. nie skąpiliśmy ofiar« — pisze Kosiński w dniu trzecim lutego 1817 r. do przebywającego w Warszawie Dąbrowskiego — »w ostatnim rozbiórce kraju tę nam tylko przyniosły korzyść, że w uroczystych sojuszach, rozdzielające naród polski mocarstwa w Wiedniu za godło dawnej świetności, zaręczyły Polakom narodowość. Im mniej narodowość w Królestwie poniosła uszczerbku, tem dotkliwiej w odłączonych prowincjach czuć się dawał upadek narodowości. Z jednej strony żalono się na niedotrzymanie uroczystych obietnic, z drugiej obwiniano o niedołążny upór, który oznaczał dzielnicę wzajemnych niechęci między rządcami i rządzonymi. Ta walka moralna umysłów nie mogła ująć baczności troskliwego o dobro ludów, berłu jego poddanych, króla pruskiego. Szlachetnem jego jest usiłowaniami osłodzić przy-  
mus wypadków politycznych a w uszczęśliwieniu powszechnem

wskazać cel właściwy społeczeństwu. Pod tem hasłem jenerale opuszczam domową spokojność i poświęcam dobru współrodaków ostatek sił, dobro nawet osobiste«...

Zamianowany w styczniu siedemnastego roku jenerałem-porucznikiem w armii pruskiej, nie pełnił Kosiński czynnej służby, gdyż nie władając językiem niemieckim, mógł wykonywać swe obowiązki jedynie w wojsku, zorganizowanem na zasadzie narodowej. Z tego też powodu odmówił przyjęcia przywiązanej do stopnia jenerała-porucznika płacy, poprzestając na emeryturze, wysłużonej za czasów Księstwa Warszawskiego. Tymczasem mijały dni i miesiące, a formacja siły zbrojnej, narodowej, nie przychodziła do skutku, mimo ciągłych przypominań ze strony naszego legionisty, który wypracował plan odnośnej organizacji. Liberalne opinie gabinetu berlińskiego nie uzyskały niestety zatwierdzenia ze strony Fryderyka Wilhelma III., który związany osobiście z polityką rosyjską, nie chciał dać najłżejszego powodu do niezadowolenia potężnemu swemu sprzymierzeńcowi. W końcu — jak zwykle bywa w takich razach — zwyciężyła reakcyjna polityka kamarylli, która wszelkie konstytucyjne aspiracje zaliczała do sfery nieuchwytnych mrzonek. Wobec tego Kosiński uznał za stosowne zerwać stanowczo z rządem pruskim i mimo przedstawień ze strony Radziwiłła, zażądał uwolnienia od służby, które po dłuższem zwlekaniu otrzymał dopiero w roku dwudziestym, nie przyjąwszy ani ofiarowanej mu posady gubernatora w jednej z fortec nadodrzańskich, ani też urzędu pierwszego komendanta miastn Poznania oraz godności tajnego rady.

Odtąd zajął się wyłącznie gospodarstwem rolnem a jakkolwiek przeważną część życia przepędził w obozie, gospodarzył nie tylko z powodzeniem, lecz zaliczał się do najbardziej postępowych agronomów w Poznańskim. Jeden z pierwszych oczynszował u siebie włościan na długi czas przed uregulowaniem stosunków pańszczyźnianych przez rząd i sprawie tej służył nie tylko czynem, lecz i piórem, ogłaszając w Pozna-

niu, w roku 1814, swe »Uwagi nad myślami do zamiaru polepszenia bytu włościan polskich«, a wśród zajęć gospodarskich interesował się żywo współczesnym ruchem literackim, dostarczając »*Mrówce poznańskiej*« artykułów swego pióra. Surowy i wymagający wobec samego siebie, był też takim dla innych. Wygórowane poczucie honoru, otwartość prawdziwie żołnierska i niepodległość charakteru, jeżeli nie pomogły mu do zajęcia pierwszorzędnego stanowiska wśród generałów wielkiej armii, to w każdym razie zapewniły Kosińskiemu cześć i miłość wszystkich ludzi uczciwych. Z Dąbrowskim, osiadłym pod koniec życia w pobliskiej Winnejgórze, utrzymywał stosunki zażyłej przyjaźni i zmarł nagle w Targowej Górze, w dniu dziesiątym marca 1823 r.

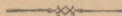
Tak żył, działał i skończył pierwszy legionista, którego marsową postać godziło się odtworzyć z luźnych wzmianek pamiętnikarskich, z dokumentów, i z listów, przekazanych potomności przez jego syna, tyle zasłużonego patriotę, Władysława Kosińskiego. To, co dla ojców naszych było jeszcze żywą kartą, na której przodków spisywano czyny — dla dzisiejszego pokolenia staje się czemś obcem, nieznanem wobec zanikania ustnej tradycyi, która z biegiem lat przeobraża się w mityczną legendę albo też, co gorsza, przepada bez śladu. Wielkie zdarzenie dziejowe uwieczniają roczniki historyi, ale czynniki, które je wywołały, charaktery ludzi w nich uczestniczących, zacierają się na olbrzymim obrazie dziejowym, choć wysnuć z nich można niejedną naukę i wskazówkę postępowania na przyszłość, gdyż słusznie powiedział poeta:

Mylą się pokolenia w dróg swoich wyborze.  
Jednak cel postawiony mylnym być nie może!

---

II.

NIEZŁOMNY.







W dziejowej dobie legionów obok postaci twórcy i naczelnego wodza tych bohaterskich zastępów imię Kniaziewicza najżywszym jaśnieje blaskiem. Podobnie jak Dąbrowski, wyrósł zwycięzca z pod Hohenlinden nie z soli i nie z roli, ale z tego, co boli, zawdzięczając wszystko własnej waleczności i zasłudze. Wychowaniec szkoły kadetów, żołnierz kościuszkowski, dowódzca naddunajskiej legii, generał wielkiej armii, przeszedł Kniaziewicz wzdłuż i wszerz całą niemal Europę, zawsze pełen hartu niezłomnego, nigdy nie wchodzący w kompromisy z rządami najeźdźczymi. Zaliczał się Kniaziewicz do rzadkich w owym czasie wyjątków, gdyż najwcześniej przejrzał samolubne zamiary pierwszego konzula i skruszył swą szpadę w chwili, gdy stracił nadzieję wywalczenia z jej pomocą lepszej doli dla ojczyzny. To samo też nie uległ pokusom cara Aleksandra, usiłującego użyć jego popularności w kraju dla celów rosyjskiej polityki i skromny, cichy, usunął się w wiejską ustron, by ją znów rzucić na odgłos trąbki bojowej, zwiastującej początek nowych zapasów o wolność Polski. Ocalał wśród śniegów rosyjskich i topielisk Berezyny, a powróciwszy do kraju, musiał go wnet opuścić i udać się na dobrowolne wygnanie, gdyż jeden z pierwszych śmiało stawić czoło samowoli wielkiego księcia Konstantego. Ale i zdala od kraju, nie przestał dzielić jego jasne i ciemne chwile, służyć mu doświadczeniem i radą w potrzebie. I po ostatecznym upadku rewo-

lucyi listopadowej nie opuścił rąk beczynnie sędziwy starzec, krążając się około stworzenia wśród polskiego wychodźstwa nad Sekwaną instytucyi narodowych. Słusznie więc twierdzić można, iż długi żywot Kniaziewiczza, cały był poświęcony ojczyźnie, tworząc pasmo różnobarwne, w której wplotły się kolejną wszystkie nadzieje i ofiary, cała chwała i niedola naszego narodu. Wskrzeszenie tej postaci rycerza niezłomnego, przypomnienie jej rodakom, jest przeto obowiązkiem narodowym, od którego nie wolno się uchylać pisarzowi, usiłującemu odtworzyć ową epokę tytanicznych walk i wzniosłych porывów, smutnym zakończonych rozdźwiękiem.

Kniaziewiczowie, pieczętujący się Murdelionem, osiedli z dawien na dawna na Litwie, w Mińskiem województwie, z kąd później przenieśli się do Kurlandyi. Tak więc Otton Karol Kniaziewicz ujrzał światło dzienne we wsi dziedzicznej rodziców, Ansviten, położonej w pobliżu Libawy, w dniu czwartym maja 1762 roku. Ojciec jego, Jan Kazimierz, wychowanek uniwersytetów niemieckich, zaliczał się do najświetlejszych obywateli kurlandzkich, zaś matka Karola, Konstancya, pochodziła z możnego rodu Korffów i była prote stanckiego wyznania. Stosownie do familijnego układu, wychowano Karola w wyznaniu macierzyńskiem, a język niemiecki był pierwszym, jakiego chłopak w domu używał. Niedługo Kniaziewiczowa opiekowała się dziećmi, gdyż już w piątym roku życia odumarła męża wraz z dwoma synami, z których Karol był młodszym. W ślad za nieszczęściem rodzinnem przyszła ruina majątkowa. Kniaziewicz, wciągnięty w nieszczęśliwą spekulacyę, opłacił jej niefortunny wynik stratą całego mienia i oddawszy dobra swe na zaspokojenie wierzycieli, poszedł w służbę, jako rządca majątków krajczego Potockiego a następnie Brühla. Protekcya wleznaczącego generała artylleryi zapewniła krescytywę Karolowi, który za wpływem Brühla przyjęty został w dwunastym roku

życia do warszawskiego korpusu kadetów, czyli do szkoły rycerskiej Jego Królewskiej Mości — jak opiewała urzędowa nazwa tego zakładu.

Szkoła ta dostarczyła krajowi wielu znakomych mężów. Obok Kościuszki zasiadali na jej ławach Niemcewicz, Sapieha Kazimierz, Jasiński Jakób, Rembieniński, Sokolnicki, Ostrowski, Woyczyński, Lanckoroński, Ostrogorowie i wielu innych, którzy z korpusu kadetów wynieśli niezachwianą przeciwnościami miłość dla ojczyzny, oraz gotowość każdej chwili poświęcenia się dla niej. Pobyt w szkole wywarł też wpływ znaczny na Kniaziewicza, który dopiero w gronie rówieśników zdołał się pozbyć skażonej niemczyzną wymowy oraz powrócił na łono kościoła katolickiego. Z Katechizmu kadeckiego, którego autorem był — jak wiadomo — książę generał ziem podolskich, nauczył się przysły wojownik, iż »kadet winien mieć miłość Boga, przywiązanie do religii, powinien ojczyznę swą kochać i jej dobro nadewszystko«. Hymn Krasickiego, (*Święta miłości kochanej Ojczyzny...*), wryty złotemi zgłoskami na ścianie w wielkiej sali pałacu Kazimierzowskiego, utkwiał znać głęboko w sercu i w pamięci wychowanków zakładu, którzy niebawem krwią serdeczną stwierdzić mieli, że ziarno patriotycznego, prawdziwie postępowego posiewu, ciśnione przez światłych przewodników szkoły w serca młodzieży, nie padło na opokę, lecz bujne wydało plony. Jak wysoko wśród kadetów rozwinięte było poczucie honoru, dowodziło najwymowniej zdarzenie, o którym Kniaziewicz już w późnej starości lubił wspominać. Oto w pierwszych zaraz latach istnienia szkoły, wojewoda podlaski, Godzki, na zabawie tanecznej, uraził jednego z kadetów, biorąc krok przed nim. Za obrażonym ujęli się wszyscy kadeci, a nieznalazwszy u swych przełożonych poparcia, postanowili zbrojną ręką najechać pałac wojewodziński. Na czele wzburzonej młodzieży stanął podobno Kościuszko. Król dowiedział się o znowie i wezwał go do wytłómaczenia się, które wypowiedziane zostało w sposób do tego stopnia przekonujący, iż Godzki musiał kadetów

przeprosić. Przykre to zajście nabrało ogromnego rozgłosu w stolicy, otaczającej szczególniejszą sympatją wychowanków szkoły rycerskiej. Zresztą kadeci, nawet młodszy wiekiem, nader pożądanymi byli gośćmi w salonach warszawskich, choćby tylko dla samego uczestniczenia w modnych podówczas menuetach i kontredansach, jako uczniowie słynnego tancerzta Martina. W domach arystokratycznych weszło w zwyczaj sprowadzanie na bal jakiego tuzina lub przynajmniej połowy tuzina kadetów i w tym celu posyłano po nich do koszar karety. Jeżeli jednak zapomniano to uczynić, młodzi goście dostawali się w stroju balowym na salony przy pomocy szeregowców gwardyi litewskiej, którzy ich za dobrem wynagrodzeniem przynosili — jak to mówią — na barana. Natomiast z powrotem już nigdy nie brakło karety celem odstawienia do domu ochoczych tancerzy... Grywali też kadeci u siebie przedstawienia amatorskie, budzące w stolicy wielkie zajęcie. Uczestniczył w tych reprezentacjach także Kniaziewicz zaś przyjaciel jego od serca, Niemcewicz, grywał zazwyczaj w owym gronie rolę kobiece.

Nie długo wszakże mógł korzystać Kniaziewicz z nauk, udzielanych w korpusie kadeckim. Opłata roczna w sumie stu dukatów, jaką rodzice każdego ucznia zniewoleni byli uiszczać zarządowi szkoły, przewyższała możność jego ojca, który już po upływie trzech lat musiał odebrać Karola z instytutu, by go oddać do szkoły artylleryi, pozostającej pod zwierzchnictwem Brühla. Piętnastoletni kadet zyskał w krótkim czasie podoficerskie galonki a podczas popisu szkoły, odbywanego w Młocinach wobec Stanisława Augusta, zdołał całnością strzałów zwrócić uwagę króla, który obdarzył młodzieńca ładunkiem, zawierającym dwadzieścia dukatów. Pieniężna nagroda, rozżaliła aż do łez dzielnego ogniomistrza — ten stopień piastował w szkole Kniaziewicz — i pobudziła go do tem większej pracy celem zdania oficerskiego egzaminu. Atoli intryga, czy też protekcyja stały się powodem, iż awans, zasłużony przy egzaminie, ominął Kniaziewicza. Stopień ofi-

cerski przyznano niejakiemu Magierowi. Wówczas ambitny młodzieniec tak żywo wziął do serca doznaną krzywdę, iż uniesiony gniewem rzucił pod nogi swemu kapitanowi odznaki sierżanta.. Zaraz go też wzięto pod straż, zakuto w łańcuszki i kto wie, jaki los czekał Kniaziewicza, gdyby nie wdanie się Brühla, który sprawę załagodził i kupiwszy swemu pupilowi rangę porucznikowską, umieścił go w pułku fizylierskim własnego szefostwa. Służba w cudzoziemskim automramencie, do którego zaliczali się fizylierzy, pozostawiała młodemu oficerowi bardzo wiele wolnego czasu. Korpus oficerski, stosunkowo liczny wobec zredukowanej do śmiesznie małych rozmiarów stopy wojska, podzielonego na drobniuchne komendy, rozrzucone na całym obszarze ziem Rzeczypospolitej, próżnował w najlepsze, bawiąc się miłostkami, grą, hulanką. Pojedynki kwitnęły; o byle co rąbano się do upadłego. Zrazu też Kniaziewicz nie zdołał się oprzeć powszechnemu zepsuciu wśród wojskowej młodzieży. Przyznać się powinienem, — opowiada generał w wspomnieniach z lat młodzieńczych, — żem był krnąbrny, uparty, poryweczy, a łatwość, z jaką pojmowałem nauki, napawała mię wielkiem o sobie rozumieniem. Zrazu przeto nie byłem lubiany od współtowarzyszów moich i co ze wstrętem wyjawiałem, pojedynkowałem się potrzykróć z własnej przyczyny. Dzięki Opatrzności, nikt przynajmniej nie przypłacił życiem popędliwości mojej; nie ściga mię cień niewinnej ofiary. Ale muszę dla przestrogi młodszych przykrejsze jeszcze zrobić wyznanie. Nieszczęśliwa skłonność do kart nie tylko przywiodła mię do utraty w krótkim czasie macierzystego majątku, ale co gorsza, do przegrania kilku tysięcy pułkowych pieniędzy! Z rozpaczcy i wstydu postanowiłem sobie życie odebrać. Już nabity był pistolet i rozpiąłem listy do współtowarzyszów moich, gdy przez osobliwsze szczęście odegrałem pułkowy pieniądz. Na uwielbienie Opatrzności za ten widoczny dowód opieki, postanowiłem nigdy więcej nie grać i świącie dochowałem tej przysięgi. Odtąd wzięłem się serdecznie do poprawy, do nauki, do unikania złego społeczeństwa...

Co prawda, niewiele mógł się nauczyć podporucznik cudzoziemskiego autoramentu, wyprawiany przez starszszynę na werbunek, przy czem trzeba było często użyć wybiegu, podstępu a nawet gwałtu, albo też jeżdżąc od dworu do dworu za delatą. Był to wielce pierwotny sposób wybierania od ziemian poborów wojskowych oraz zaległych podatków a nie potrzeba, zdaje się, dodawać, jak częstemi przy takich wyprawach stawały się różnorodne nadużycia, nie wspominając już o demoralizacji żołnierza, przyzwyczajanego do włóczęgi, swawoli i do żywienia się cudzym kosztem. W braku władzy wykonawczej, używano też niejednokrotnie luźnych komend do egzekucyi sądowych wyroków, skutkiem czego wypadło i Kniaziewiczowi spełniać funkcyę karzącej sprawiedliwości. Raz nawet — działo się to w roku 1782 na Podlasiu — kazano mu szturmem dobywać okopanego w obronnym dworze palestranta, Karpia, który prawnego dziedzica najechał i przemocą wyrzucił z jego posiadłości. Wyprawa powiodła się w połowie tylko, gdyż zuchwały kauzyperda widząc, że Kniaziewicz nie na żarty szturmuje, umknął przez bagna, rozciągające się za dworskim ogrodem, zostawiwszy plac boju zwycięzcy i dopiero w jakiś czas później został schwytany.

Kompania, w której służył Kniaziewicz, garnizonowała kolejno w Warszawie, w Siedlcach i w Białymstoku, która to rezydencya siostry królewskiej, pani krakowskiej, nosiła zasłużenie miano polskiego Wersalu. Dwór Branickich nie ustępował pod względem wystawności oraz przepychu stolicy. W Białymstoku odbywały się częste zjazdy okolicznego obywatelstwa; obcych gości podejmowano wspaniale. Uczty, bale, przedstawienia teatralne, następowały jedne po drugich. Kniaziewicz wraz z innymi oficerami bywał zapraszany na te festyny, grywał w reprezentacyach amatorskich a chcąc się przysłużyć dostojnej gospodyni, malował też miniatury, w czem, lubo samouczek, do pewnej doprowadził doskonałości. Skorzystała z tego pani hetmanowa i podczas pobytu Segura, bawiącego w przejeździe w jej domu, uprosiła Kniaziewicza,

by przypatrzył się dobrze posłowi i sporządził na prędcę jego podobiznę. Stało się jak chciała i po upływie kilku dni miniatura Segura zdobiła tabakierkę hetmanowej, umieszczoną rozmyślnie na stoliku karcianym, przy którym znakomity gość zajął miejsce.

— Tabakierka pani — rzekł Segur przyjrzawszy się malowidłu — jest zwierciadłem. Poznaję w niej najdokładniej moje rysy...

— Tę miłą pamiątkę — odparła hetmanowa — winna jestem talentowi jednego z naszych młodych oficerów i wskazała posłowi Kniaziewicza, który w rogu sali, oparty o ścianę, przypatrywał się tańczącym. Grzeczny francuz chciał osobiście podziękować artyście i pospieszył do niego z komplimentem. Nie pozostał mu też dłużnym w odpowiedzi Kniaziewicz, lecz zbyt ślizka posadzka, czy też zmieszanie, wywołane pochwałą dygnitarza, były powodem, iż nieśmiały porucznik, potknąwszy się, runął jak długi, przywalając całym swym ciężarem przerażonego tym wypadkiem dyplomatę. Zanim Segura podniesiono, wymknął się Kniaziewicz chyłkiem z salonu, gdzie też nie rychło się pokazał.

Dworakiem nie był też nigdy młody oficer, który gorliwie pracował nad swem wykształceniem, dzieląc z kolegami nabytą wiedzę. W kwaterze jego schodziło się grono oficerów na zaimprovizowane przez Kniaziewicza wykłady o teorii sztuki wojennej a nie rzadko też i który z przełożonych zaglądnął do mieszkania uczonego porucznika, by przysłuchać się zawodowym rozprawom młodzieży. Przeniesiony następnie do Warszawy, używany był Kniaziewicz w smutnej sprawie buntów chłopskich do eskortowania więźniów, dostawianych z Wołynia do Warszawy, gdzie ich indagowała komisya wojskowa. Jeden z obwinionych, niejaki Kuryło, przyznał się podczas podróży Kniaziewiczowi, iż chodził po wsiach i namawiał wieśniaków do rzezi szlachty, rozdając im pieniądze, otrzymane »od wielkich panów«, którzy jemu podobnym tłumaczyć mieli, że to wyjdzie na korzyść ojczyzny...

Był również Kniaziewicz obecny podczas uroczystego obchodu rocznicy konstytucji Trzeciego Maja i widocznie już wówczas, mimo podrzędnego stanowiska, charakterem i rozważą zwrócić musiał na siebie uwagę władzy, gdy powierzono mu tak ważne posłannictwo, jakim było doręczenie listów królewskich, zawierających rozkaz powrotu do kraju, Szczęsnemu Potockiemu i Sewerynowi Rzewuskiemu, bawiącym pod osłoną wojsk imperatorowej w Jassach. Dano wysłańcowi instrukcję, by dłużej nad trzy dni nie czekał na odpowiedź, ale Polskie Brutusy — jak się owe królewężta chętnie mianowały — dały mu odprawę bezzwłoczną a Szczęsny z wielkopolską fantazją zaofiarował Kniaziewiczowi pretensję w sumie sześciu tysięcy złotych, jaką z tytułu szefa fizylierów żywił do skarbu Rzeczypospolitej. Ubogi porucznik nie przyjął wszakże tego daru i z czystemi rękoma powrócił do kraju, by co rychlej połączyć się z swym pułkiem, przydzielonym do dywizji Wielohorskiego.

Już bowiem z stepowych kurhanów powstało spłodzone nad Nową widmo Targowicy a w ślad za garstką zaślepieńców, czy zaprzędźców, zbliżały się ku granicom Rzeczypospolitej żądne krwi i łupu carskie zastępy. W czterech kolumnach posuwała się najeźdnicza armia pod naczelnem dowództwem Kachowskiego, by w żelaznym uścisku zdławić słaby stosunkowo korpus ukraiński, na którego czele stał młody i niedoświadczony jeszcze w bojowym rzemiośle książę Józef Poniatowski. Pod Tywrowem, Tuleczynem, Braclawiem i Niemirowem rozłożyły się nasze pułki i jak gdyby nie przezuwając smutnego a tak bliskiego końca kampanii, wrzały życiem wesołem, nieopatrzmem, właściwem młodości. Książę Józef, wychowany w zasadach taktyki austriackiej, każącej ściśle zastosowywać ruchy wojska do poruszeń nieprzyjacielskich, podzielił szczupłe swe siły na cztery części, zalecając im odrębne działanie. W myśl wydanych rozkazów, wyruszył Kościuszko pod Chwastów, Wielohorski na Olhopol. Grochowski pod Mohilew, podczas gdy sam książę stanął pod

Braclawiem. Zaraz wszakże przy pierwszym spotkaniu z Moskwą okazały się fatalne skutki planu naczelnego wodza, gdyż partę przeważną mocą przeciwnika, musiały się cofać na całej linii drobne korpusiki polskie. Po pierwszych utarczkach pod Czerniejowcami i pod Krasnem, w których nasza jazda złożyła świetne męztwa dowody, znalazła się z końcem maja 1792 r. cała armia ukraińska pod Ułanowem, z kąd cofała się w kierunku Połonnego, gdzie znajdowały się magazyny, kasy i lazarety. Osłaniał ten ruch wsteczny Kościucuszko, zręcznie manewrując przeciw nieprzyjacielowi. Nie mógł on wszakże przeszkodzić fatalnemu starciu na Boruszkowieckiej grobli, (w dniu czternastym czerwca), gdzie straż przednia Kachowskiego natknęła na ciągnące za dywizją Wielohorskiego furgony. Woznice, przerażeni napadem Moskwy, w szalonym pędzie wpadli na przechodzące przez groblę wojsko. Powstało zamieszane okropne, zwiększone jeszcze zawaleniem się mostu. Tylko determinacyi kilku batalionów piechoty oraz części artyleryi, które wytrzymały uderzenie czterotysięcznej kolumny rosyjskiej, zawdzięczał Wielohorski ocalenie swej dywizyi. Tam to leżał bohaterską śmiercią najstarszy rycerz z ukraińskich kresów, dzielny Mohort, wiodąc szarżę jazdy na działa nieprzyjacielskie. Piechota Grochowskiego, odcięta skutkiem zniszczenia mostu od reszty naszych wojsk, biła się wściekle z tą szaloną rozpaczą, która zwykła cechować straceńców. Przyparta wreszcie do stawu, rzuciła się wpław, wśród gradu kul nieprzyjacielskich, przenosząc śmierć nad niewolę.

Pod Boruszkowcami Kniaziewicz, zamianowany na krótko przedtem majorem w świeżo zaciężnym batalionie strzelców Krasińskiego, otrzymał chrzest ogniowy, ale też z komendy jego uszło z życiem zaledwo kilkunastu żołnierzy. Musiał więc w dawnym stopniu powrócić do fizylerskiego pułku, z którym bił się pod Zieleńcami i pod Włodzimierzem a w dniu siedmym lipca znalazł się w okopach Kościuszki pod Dubienką. Siedm zaledwo tysięcy żołnierza i dziesięć

armat liczył pod swymi rozkazami przyszedł Naczelnik, broniący przeprawy przez Bug trzykroć silniejszemu przeciwnikowi. Postanowił jednak trzymać się do ostatka. O godzinie trzeciej z południa rozpoczęła się kanonada rosyjska zaś w dwie godziny później nastąpił szturm na środkowe szańce, ku którym strzelcy i grenadyrzy nieprzyjacielscy darli się przez błota.

Trzy razy uderza żołdactwo na okopy i za każdym razem powraca, zaścielając gęstym trupem grząskie zarośla u stóp wałów. Walka wre na broń białą, na kolby i bagnety a huk dział, grających z stron obu, przygłusza okrzyki dzikie pędzonego do ataku żołnierstwa, łoskot bębnow i przeciągłe trąb odgłosy, jęki rannych i konających.

Gdy po raz trzeci rozstąpiła się gęsta opona dymu i kurzawy, zakrywająca szańce Kościuszki przed okiem nieprzyjacielskiego wodza, gdy ujrzał stopy trupów i rannych, ległych w bezowocnym szturmie, daje Kachowski szwoleżerom swym rozkaz do uderzenia na prawe skrzydło okopów. Szalony ten atak przepłacił życiem dowódca jazdy rosyjskiej, pułkownik Palenbach a szwoleżerów w chwili, gdy przez szańce zdołali się przedostać na rozciągającą się opodal równinę, roznosi na szablach brygada kawaleryi narodowej Wielohorskiego.

Do godziny dziewiątej z wieczora szczęście zdaje się statecznie przyjąć orężowi naszemu.

Niespodzianie, od lewego skrzydła, wśród zapadającego już nocnego mroku, podnoszą się krzyki niesforne, widać uciekających w nieładzie żołnierzy. Słychać coraz to wyraźniej: Moskwa odcina nam odwrót! Całe oddziały ciskają broń, szerząc popłoch i zamieszanie wśród okopów. Brygada Biernackiego, oparta o granicę cesarską, pierwsza umyka na widok kozaków Orłowa, którzy od strony Galicyi uderzają na jej tyły. Strach paniczny zdejmuje naiwaleczniejszych. Gnani przez kozactwo, opuszczają stanowiska i rzucają się w las. Na nieszczęście brakło w tej chwili Kościu-

szki, który, spokojny o los lewego skrzydła, zabezpieczonego dostatecznie neutralną — jak sądził — granicą, kierował osobiście obroną Uchańki. Tylko przytomność Kniaziewicza, oraz cienie nocne zapobiegły zniesieniu całego korpusu. Kniaziewicz pod Dubienką złożył dowody nietylko odwagi ale i wyższych zdolności wojskowych. Znalazłszy się w tylnej straży, sformował corychlej swój oddział w czworobok, wzmocniony dwoma działami i ustępując zwolna, krok za krokiem, wstrzymywał pościg nieprzyjacielski do późnej nocy. Krzyż więc *virtuti militari*, jakim ozdobiono jego pierś, był dobrze zasłużoną nagrodą dla dzielnego oficera, któremu po akcesie Stanisława Augusta do Targowicy przyszło podzielać smutne losy wojska, skazanego wołą imperatorowej na redukcję.

Wybuch insurekcji kościuszkowskiej zastał Kniaziewicza w Siedlcach, skąd podążył bezzwłocznie z swą kompanią do Lublina, a przysłany tamże przez Naczelnika Zajączek powierzył mu ważne obowiązki naczelnika sztabu przy swym boku. Był więc Kniaziewicz w ogniu pod Chełmem i Gołkowem, z kąd otoczony z trzech stron, wycofał się szczęśliwie i bez straty choćby jednego działą do obozu pod Wolą. Kościuszeko zamianował go pułkownikiem z pozostawieniem przy korpusie Zajączka, zajmującego podczas oblężenia stolicy stanowisko między Czystem a Wolą. Zajączek, podówczas żarliwy jakóbin, okazywał jawną niechęć wobec księcia Józefa, broniącego Marymontu. Zwał go ksiąźkątkiem i nieustannie z dawnym przełożonym wszczynał spory z niemałym dla sprawy narodowej uszczerbkiem. I oto zdarzyło się dnia pewnego, iż Prusacy zaatakowali pozycję księcia z tak przeważnemi siłami, iż bez otrzymania posiłków Poniatowski był zgubiony. Zoczył to Kniaziewicz i spieszy do Zajączka z prośbą, by mu pozwolił udać się z pomocą w zagrożone miejsce.

Nie, — odparł z zimną krwią Zajączek. — Dobrze, że dyabeł porwie ksiąźkątko...

Jenerale! Co mówisz? — zakrzyknął porywczo Kniaziewicz. — Dziś dyabli wezmą książątko, jutro nas, a pojutrze Warszawę i koniec z Polską będącie!

Na taką argumentację nie znalazł odpowiedzi przyjaciel księdza podkanclerzego i zgodził się na danie odsieczy Marymontowi. W niemniej trudnem położeniu znalazł się niebawem Kniaziewicz, otrzymawszy wiadomość, że Stanisław August zamierza przybyć na Wolę. Odwiedziny królewskie tem mniej były pożądane, ileż w wojsku utrzymywało się podejrzanie, iż Stanisław August chce umknąć do obozu pruskiego. Krótkość czasu nie dozwoliła Kniaziewiczowi na porozumienie się z Kościuszką, więc też, na własną rękę rozpoczął gwałtowną kanonadę przeciw pruskim bateriom. Nieprzyjacielskie działa rozpoczęły odpowiadać i trwożliwy król za przybyciem na Wolę, kazał co rychlej nawracać do zamku... W czasie oblężenia odznaczył się Kniaziewicz niejednokrotnie, urządzając wraz z kosynierami wycieczki nocne przeciw Prusakom i po odstąpieniu sprzymierzonych z pod Warszawy zamianowany jenerałem, wysłany został w dniu piętnastym września na czele pułku Działyńskich i oddziału ochotników brzeskich w pomoc zagrożonemu przez Suwarowa Sierakowskiemu. Przybył niestety zapóźno. Sierakowski był już rozbity, więc połączywszy się z resztkami jego korpusu w Łosicach, cofał się wraz z niemi ku Okrzei, gdzie też w dniu szóstym października stanął Kościuszko. W cztery dni później nastąpiła pamiętna bitwa Maciejowicka, w której Kniaziewicz dowodził lewem skrzydłem, złożonem z brygady Kopcia, z oddziałów strzeleckich Działyńskiego, oraz Dembowskiego, tudzież z garści artylleryi. Ogółem komenda Kniaziewicza, oparta o wieś Oronne, liczyła małego więcej nad tysiąc dwieście ludzi, podczas gdy Denisów, wyprawiony już w przeddzień batalii celem obejścia naszego lewego skrzydła, wiódł z sobą pięć tysięcy jazdy i piechoty z dziesięcioma działami. Walka rozpoczęła się na lewem skrzydle, zaatakowanem zaraz o świcie przez Denisowa, którego dwukrotnie

odparto. Ale Rosyanom przybywały nieustannie świeże posiłki, podczas gdy nasi, znużeni pochodem i całonocnym czuwaniem, stawiać musieli czoło dwa razy liczniejszemu przeciwnikowi. Już wódz carski złamał środek polskich szyków, już rzeź straszliwa srożyła się w dziedzińcu zamkowym, gdy Kniaziewicz dawał jeszcze rozpaczliwy opór na czele swej garstki. W końcu dzielny Kopeć, ranny trzykrotnie, dostał się do niewoli, działa zamilkły, wystrzelawszy ostatki amunicji, piechotę wykuł nieprzyjaciel niemal co do nogi, a widok jazdy rosyjskiej, która przebywszy rzekę, uderzyła z tyłu na nasze zastępy, dokonał pogromu. O godzinie pierwszej z południa uciekły ostatnie strzały. W dużej sali maciejowickiego zamku, przepelnionej starszyzną rosyjską, spotkali się: Kniaziewicz, Sierakowski, Kamieński i Kopeć — jako jeńcy... Nazajutrz Fersen zaprosił ich na ucztę, od której wymówić się nie mogli. Zwycięzca pił zdrowie generałów, ale toast ten rycerski nie zabezpieczył ich od udręczeń niewoli. Jeńców wyprawiono pod eskortą Chruszczewa przez Wołyń w kierunku Kijowa a jakkolwiek Kościuszkę wieziono w osobnym powozie, to przecież na postojach i noclegach mogli generałowie choć wzrokiem porozumiewać się z ukochanym wodzem, pocieszać się myślą, że są dotychczas razem, że ich nie rozdzielono. Dopiero w połowie listopada t. r., w Zaslawiu, nastąpiło bolesne rozstanie. Kniaziewicz wraz z Sierakowskim, Kamieńskim i Kopciem odstawieni zostali do Kijowa, podczas gdy Kościuszkę, w towarzystwie Niemcewicza i Fiszera, powieziono nad Newę.

Za przybyciem do Kijowa, odzyskali generałowie wolność. Za Kniaziewicza dał porękę zamożny ziemianin Dulski, dziedzic Karpowiec, za Kamieńskiego Lubomirski, za Sierakowskiego ręczyli Sanguszkowie. Znalezieniem poręczycieli zajął się gorliwie młody podówczas Józef Drzewiecki, który ujęty pod Maciejowicami, zdołał się wcześniej z pod strażu uwolnić. Od tego też czasu datowała się przyjaźń między Drzewieckim a Kniaziewiczem, która łączyła obu tych mężów

aż do grobu. Uwolnieni musieli podpisać rewers, że nie uciekną, oraz, że zachowają się spokojnie. Zresztą rząd carski nie strzegł ich zbyt pilnie, starając się równocześnie pozyskać dla siebie ogół mieszkańców w tak zwanych Krajach Zabranych. O podatki niebardzo nalegano, oficerów dawnej służby przyjmowano jednym stopniem niżej do armii carskiej, mówiono nawet o formacyi nowych pułków pod nazwą dawnych województw. Młodzież, powracająca z pola walki, znajdowała gościnne przyjęcie w domach obywatelskich. Jeźdźono więc kulikiem, hulano, gdyby po zwycięskiej kampanii. Jednym z najpoważniejszych ziemian w Kijowskiem był generał Zakrzewski w Szepetówce, pod którego dachem wielu oficerów kościuszkowskich znalazło gościnność. Bawił też właśnie w Szepetówce Kniaziewicz, gdy zjawił się u Zakrzewskiego jeden z owych samozwańczych bohaterów, jakich u nas niestety nie brakło po każdym dziejowym przesileniu. Rzekomy ów weteran opowiadał się żołnierzem z pod Maciejowic i wzięty na spytki, wręcz obwiniał generałów o zdradę.

— A znałeś generałów? — pytał Zakrzewski.

— A jakże nie znałem? — odowiadał przybysz. — Oni mię czasem do swej rady wzywali. Nie gardził nią nawet Naczelnik, bom ja dawny wojak a doświadczenie czasem za naukę stanie...

— Mówże waś o Maciejowicach — indagował dalej gospodarz.

— Oto tak było, — rzece coraz bardziej ośmielający się włóczęga, — Oprócz Naczelnika, wszyscy już byli przekupieni. On się tylko domyślał a myśmy to dawno przewidzieli.

— Cóż tam porabiał Sierakowski?

— Wyniósł się natychmiast.

— A Kamieński?

— To samo uczynił.

— A Kniaziewicz?

— To tchórz wierutny. Już mu w łeb strzelić miałem, kiedy nas opuszczał...

Tu Kniaziewicz, nie mogąc się dłużej pohamować z gniewu, rzucił się ku kłamecy:

Kłam sobie co chcesz, ale łiesz, kiedy mnie tchórzem wystawiasz — zawołał w najwyższym uniesieniu. — Widzisz nas tu wszystkich, którzy cię do rady wzywali, a żadnego poznać nie mogłeś. Mów, kto jesteś?

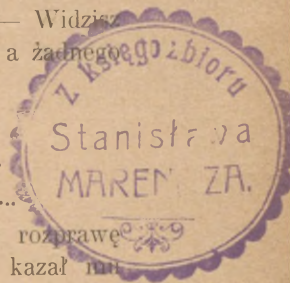
— Trębacz z pułku Karwickiego.

— Tego pułku nie było pod Maciejowicami..

— Ja to mówię, co się pod Dubienką działo...

W tem miejscu przerwał gospodarz dalszą rozprawę i wetknąwszy trębaczowi drobny datek w rękę, kazał mu omijać progi swego domu. I nie dziw, że z bredniami o zdradzie i o przekupstwie wodzów krążyli po kraju szeregowcy byłej armii, gdy człowiek światły a w dodatku sługa Boży, ksiądz Andrzej Kitowicz, tego rodzaju baśnie powtarzał w części trzeciej swych Pamiętników!..

W tym też czasie Kniaziewicz, starający się gorliwie o uzyskanie paszportu w Lubelskie, gdzie w Wojcieszkowie przebywała jego macocha, którą gdyby rodzoną matkę kochał i szanował, poznał Teklę Żurawską, córkę Macieja, chorążego żydaczowskiego i obywatela — jak mówiono wówczas — dwukrajowego, gdyż prócz dóbr na Podolu posiadał wieś w Galicyi. Panna chorążanka, o której rękę starał się w swoim czasie Kościuszko, odprawiony z niczem przez zbyt praktycznego ojca, sprzyjała podobno młodemu generałowi i rodzice jej nie odmawiali tym razem przyzwolenia na ów związek, gdy świeże wypadki polityczne powołały Kniaziewicza na widownię dalszych bojów o wolność ojczyzny. Na Wołoszczyźnie kupili się pod wodzą Ksawerego Dąbrowskiego, dzielnego, kujawskiego partyzanta, dawni żołnierze kościuszkowscy i ochotnicy z austriackiego zaboru. Odezwy Dąbrowskiego, umieszczane w gazetach hamburskich tudzież frankfurckich, a wzywające ziomków pod jego sztandary, znajdowały w całym kraju tem chętniejszy posłuch, że za-



równy w Galicyi jak w zaborze pruskim i w rosyjskim, grunt od dawna był przygotowany przez wysłanników klubów patriotycznych, zakładanych przez wychodźców tak zagranicą, jakoteż we Lwowie i w Krakowie. Ich to dziełem były karty,



KAROL KNIAZIEWICZ.

rozrzucone zrazu po wsiach i miasteczkach a rozlepiane następnie na rogach ulic Lwowa. Widniał na nich napis krótki, lecz wymowny :

*Kto kocha Ojczyznę,  
Niech spieszy na Wołoszczyznę!*

Bliskość granicy multańskiej, opieka, udzielana gromadzącym się oddziałom ze strony przedstawicieli rządu francuskiego na Wschodzie, wreszcie bałamutne wieści, rozsiewane przez demagogów o bezczynności deputacyi wychodźców, przebywającej nad Sekwaną a rokującej rzekomo bez skutku z dyrektoryatem o formacyę legionów polskich przy armiach republikańskich, walczących we Włoszech i nad Renem — wszystkie te czynniki były powodem, iż nierównie większy zastęp gorącej młodzieży podążył na mołdawskie kresy, aniżeli na zachód. W ten sposób zgromadził Dąbrowski w krótkim stosunkowo czasie przeszło dwa tysiące ochotników i powziąwszy zamiar natychmiastowego wkroczenia do Galicyi, układał się o posiłki z potężnym paszą widdyńskim, Paswanem Ogłu, oraz z posłem francuskim przy Wysokiej Porcie, generałem Aubertem du Bayet, który zdawał się pochwalać awanturnicze jego zaurosy, polegające na wywołaniu społecznej rewolucyi w austryackim zaborze. Nie podzielali wszakże terrorystycznych zachcianek Dąbrowskiego członkowie klubu patriotycznego, mającego siedzibę we Lwowie i za ich sprawą Drzewiecki sprowadził Kniaziewiczza do Leszniowic, wioski swej dziedzicznej, pod Lubieniem położonej, w zamiarze postawienia go na czele sił powstańczych w razie wybuchu rewolucyi w Galicyi. Jenerał nie bardzo wierzył w powodzenie zamierzonej ruchawki i z tego zapewne powodu nie chciał nawiązywać bliższych stosunków z klubistami lwowskimi, lecz przebywał ukryty w Leszniowicach aż do chwili, w której Francya zawarwszy z Austryą traktat w Leoben, (dnia 18. kwietnia 1797 r.), odrzuciła legionistów włoskich jako niepotrzebne już narzędzie. Ksawery Dąbrowski chciał sobie podobno życie odebrać i zachorzał obłożnie, lecz po upływie kilku tygodni, widząc ogólne rozprzeżenie wśród swych towarzyszy, udał się do Petersburga, gdzie uzyskał od cara Pawła ogólny pardon dla legionistów tudzież jeneralski stopień dla siebie. Tymczasem opuszczeni przez wodza rozbitki, popełnili czyn szalony, tłumaczący się chyba ostateczną roz-

paczą. Brygadyer Denysko wraz z dzielnym Melfortem, dawniej oficerem armii cesarskiej, przebyli w dniu 28. czerwca 1797 roku w okolicy Zaleszczyk wpław Dniestr i wkroczyli na Bukowinę. Ale rząd austriacki, przygotowany na napad, obsadził granicę oddziałem jazdy i kilkutyśieczną oblawa chłopską, która osaczyła legionistów do koła. Walka była nierówna. Denysko w kilkadziesiąt koni zdołał ujsć na Wołoszczyznę. Natomiast Melfort z szesnastoma innymi legionistami dostał się żywcem do niewoli i powieszony został na miejscu.

W myśl tradycji, utrzymującej się podziś dzień wśród okolicznego ludu, spotkanie między wojskiem cesarskim a legionistami nastąpiło w dolinie zwanej Buchenthal. Młynarz tamtejszy, Dobrowolski, zdradził garstkę zapaleńców i naprowadził na nich żołnierzy. W nagrodę za ów czyn wyniesiony został w trzy lata później, (w r. 1800), przez rząd wiedeński do stanu szlacheckiego, z przydomkiem: von Buchenthal i wkrótce zaliczał się do zamożniejszych ziemian w tamtych stronach... W metrykach kościoła zaleszczyckiego nie masz wzmianki o straconych legionistach. Prawdopodobnie pogrzebano ich we wspólnym dole na miejscu kaźni, albo też wrzucono zwłoki powieszonych do Dniestru, jak to się często w owych czasach praktykowało.

Tyle o nieszczęsnej wyprawie Denyski.

Resztki niedobitków opuściły mołdawskie kresy, powracając do domów, albo też dążąc do Włoch, gdzie już w styczniu tegoż roku Henryk Dąbrowski rozwinął sztandar legionów. Tam też postanowił udać się Kniaziewicz. Uzyskawszy za staraniem lwowskich patriotów paszport władz galicyjskich do Karlsbadu, zabrał Drzewiecki generała w charakterze służącego. Dla omylenia czujności policyjnych szpiegów musiał przyszyły bohater z pod Civita Castellana nosić na przepęczkach tłumoczeki i kufry.. Na Kraków dostali się obaj podróżni bez żadnej przeszkody do Wiednia, gdzie generał znalazł chwilowy przytułek u księcia Józefa Poniatowskiego,

zamieszkałego w owym czasie w naddunajskiej stolicy, podczas gdy jego towarzysz schronił się pod opiekę księżny Jabłonowskiej. Widząc jednak, iż policja wiedeńska bacznie śledzi ich kroki, postanowili nasi wychodźcy coprędzej ruszać do Karlsbadu. W Pradze, gdzie musieli się chwilowo zatrzymać, ciekawą przeprawę z naczelnikiem miejscowej policji miał Kniaziewicz, podróżujący jeszcze w charakterze służącego swego towarzysza. Przy podpisywaniu paszportów doświadczony policysta wdał się z nim w rozmowę, w ciągu której jał żywicie pewne wątpliwości co do lokajskiego stanowiska generała. Namyslał się dość długo z przyłożeniem urzędowej pieczęci. Ponieważ jednak w paszporcie zachowane były wszelkie wymagane formalności, więc nie zatrzymując dłużej przejezdnych, pożegnał tylko Kniaziewicza tą ironiczną uwagą:

Zdaje mi się, że nie jesteś pospolity człowiek, chyba niepospolity oszust...

Karlsbad roił się w lecie 1797 roku od Polaków, wśród których znajdowali się Ignacy Potocki i Małachowski, marszałek sejmu wielkiego. Mimo opieki tajnej policji, otaczającej owe osobistości, zdołał się z nimi Kniaziewicz porozumieć. Poradzono mu, by starał się dotrzeć do Lipska, z kąd łatwiej będzie się przedostać do linii francuskich posterunków. Brak paszportu zagranicznego utrudniał wielce dalszą podróż. Od czegoż jednak dowcip? Drzewiecki udając mocno chorego, uzyskał paszport celem dalszej kuracyi do Saksonii, więc obłożonego materacami i poduszkami przywiózł Kniaziewicz do granicznej komory. Urzędnicy czynili zrazu pewne trudności, widząc jednak, iż Kniaziewicz, udający przedziwnie wiernego sługę, pragnie im chorego pana zostawić w opiekę, przepuścili w końcu pomysłowych wędrowców. Teraz znów zmieniły się ich role. Generał występował wszędzie w roli handlarza futer, jadącego na jarmark do Frankfurtu, podczas gdy Drzewiecki, jako nieznający języka niemieckiego, udawać musiał jego posługacza.

Jadąc najętą furmanką, przybrali sobie nasi podróżni dla zmniejszenia kosztów jubilera, czecha z Pragi, który niemałego nabawił się strachu, gdy niespodziewanie usłyszał w Lauterbach francuskie: *Qui vive?* z ust stojącego przy rogatce sztyldwacha. Gościnne przyjęcie, jakiego doznał wraz z swymi towarzyszami w kwaterze generała Soulta, uspokoiło przerażonego czecha, który ruszył sam w dalszą drogę, gdy równocześnie Kniaziewicz wraz z Drzewieckim udali się do Giessen, gdzie mieściła się kwatera komendanta dywizyi, Championneta. Ten nie omieszkał zatrzymać gości przez dni kilka, by ujrzeć przegląd całej dywizyi, w którym to celu zjechał wódz naczelny Hoche. Podejmowano Kniaziewicza serdecznie i z pewnem wyróżnieniem. Podczas bankietu Hoche pierwszy toast wniósł na cześć generała, zaopatrzwszy go wraz z towarzyszem w listy polecające do wszystkich komendantów korpusów, rozłożonych po drodze, którą przejeżdżać mieli. Tem też przykrzej dotknęła ich niechęć, jaką w Grasse, przy przekroczeniu granicy francuskiej zauważyli. Ludność wręcz nieprzychylnie wyrażała się o republikańcach i odmawiała podróżnym wszelkich posług nawet za hojną zapłatę. Na Luneville, Nancy i Zurych, gdzie spotkali podążającą za mężem generałową Dąbrowską, przez górę Świętego Bernarda, nie bez trudności i przeszkód rozmaitych dostali się wreszcie Kniaziewicz z nieodstępnym Drzewieckim do Bolonii a następnie do Mestri. W tej ostatniej miejscowości znajdowała się właśnie kwatera legionu. Dąbrowski powitawszy serdecznie dawnych druhów, zawiadomił o ich przybyciu Bonapartego, przebywającego w Campo Formio, celem ostatecznych z Austryą układów i zaraz też otrzymał wiadomość, iż wódz naczelny pragnie widzieć Kniaziewicza. Główna kwatera mieściła się w Passiniano, gdzie nowoprzybyli spotkali zaraz po przyjeździe przyodzianego w zwykły surdut oficera, który zapytawszy ich, czego szukają, wskazał Kniaziewiczowi oraz jego towarzyszowi mieszkanie naczelnego wodza. Weszliśmy na piętro do obszernej sali — opowiada w swym pa-

miętniku szef Drzewiecki — mnogość generałów z korną postacią oczekiwała z nami. Przy kominie dwóch adjutantów osuszało zmokłe, podróżne odzienia. Z nich jeden, widząc nasz mundur, zapytał generała o nazwisko i oświadczył, że był pożądanym. Iż po polsku mówił, zgadliśmy, że to był Sułkowski. Dostrzeżliśmy tu i zagranicznych, bo ich nieznane wówczas we Francyi orderzy zdobiły a kilku w albańskim i w greckim stroju. Otwierają się podwoje, wchodzi Bonaparte, ten sam właśnie, który nam pokazywał przed chwilą, dokąd się udać mamy...

Pozdrowiwszy obecnych, zbliżył się wódz naczelny wprost do Kniaziewicza i stanąwszy z nim w głębokiej framudze pod oknem, przemówił do generała w te słowa:

— Wiem o ruchu w waszym kraju. Świadczy o tem licznie zgromadzona młodzież i pan, który tu przebywasz. Radbym wam szczerze dopomóc, ale żadnej reprezentacyi nie widzę, z nikim traktować nie mogę. Gdzież są Małachowski i Sapieha? Gdzie członkowie ostatniego sejmku? Radbym ich widzieć zebranych w Medyolanie...

— Nie są niestety wolni — odparł Kniaziewicz. — Małachowskiego i Potockiego widziałem pod nadzorem policyjnym w Karlsbadzie, Sapiechę we Wiedniu. Inni zapewne podobnego doznali losu.

— Wkrótce kończy się rozejm — ciągnął dalej Bonaparte. — Wkroczę do Węgier, które nas wzywają równie jak Grecya i wyspy jońskie. Widzisz tu ich posłanników. Mogę posunąć się aż po Karpaty...

— Po drugiej stronie Karpat wybuchnie niezawodnie powstanie! — zawołał Kniaziewicz.

— Dobrze. Ale skąd broń? Artyllerya? — pytał żywo Napoleon i sam sobie odpowiadając dodał: Choć może Turcy nam je przesłać dozwolą... Ale czy to się da w jednym czasie skutecznie?

— Broń dostaniem z rąk nieprzyjaciela. Imię Twoje

dopomoże do zwycięstwa! — brzmiała żołnierska odpowiedź generała.

— Posłę was w przedniej straży a generał Baraguay d'Hillers, który nią dowodzi, odprawi wasz przegląd Z tą wiadomością wracajcie do swoich! — rzekł wódz naczelny, dając tem samem do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Tu podał mu Kniaziewicz list Hoch'a. Szybko przebiegł Bonaparte oczyma treść pisma i głośno dodał:

— Na tego to liczyć można, ja go szczególniej poważam...

Za powrotem do Bolonii, dokąd po kapitulacyi Wenecyi przeznaczono legionistów, objął Kniaziewicz komendę pierwszego legionu w randze pułkownika. Wraz z innymi dzielił nadzieję rychłego boju z wojskami austriackimi, w czem utwierdziły naszą starszyznę rozkazy Bonapartego, zbliżające legion ku linii bojowej, gdy w drugiej połowie października t. r. nadbiegł kuryer z wiadomością o zawarciu z dworem wiedeńskim stanowczego traktatu w Campo Formio. Jenerałowie potracili głowy — słowa pamiętnika Drzewieckiego — puszczono krew Wielhorskiemu, zachorował Dąbrowski, Kniaziewicz połowę swej energii utracił, legię jednak poprowadził.

Odwrót nastąpił na całej linii. Poszczególne oddziały legionistów posłano do Mantui oraz do Wenecyi, zaś główne siły legionu zajęły leże zimowe w Ferrarze i w Rimini. Dla złagodzenia przykrego wrażenia, wywartego dopieroco zawartym traktatem, Bonaparte, jadący wraz z żoną do Medyolanu, odbył przegląd legionistów, podczas którego rzucił im słowa nadziei, że niebawem powrócą do ojczyzny... Józefina piórem z kapelusza mężowskiego obdzielała oficerów na pamiątkę, lecz chwilowy ten fawor naczelnego wodza nie odniósł zamierzonego efektu. Wielu starszych oficerów mówiło już głośno o rzuceniu bezcelowej służby i dopiero po wspólnej naradzie, postanowiono czekać oraz nie opuszczać szeregów przed upływem trzech lat. Wypoczynek legionistów nie trwał zbyt długo, gdyż już z początkiem grudnia t. r. zalecono Dąbrowskiemu wkroczenie w granice państwa kościelnego z po-

wodu dwuznacznej polityki watykańskiej, nie przestrzegającej zbyt ściśle zasad neutralności wobec Francji a prześladowającej republikanów na terytorium papieskiem. Wyprawa ta, dokonana niemal bez użycia broni i zakończona w lutym roku następnego, (1798), odwołaniem legionistów pod Rimini, nie nastęczyła Kniażewiczowi ważniejszej sposobności do okazania jego zdolności, podobnie jak ekspedycja rzymska, dokonana z wiosną 1798 roku pod naczelnem dowództwem Dąbrowskiego. Żołnierz polski zastąpić miał tym razem oddziały francuskie, wyprawione do Egiptu, tudzież wzmocnić dotychczasową załogę wiecznego miasta. W połowie kwietnia wyruszyli legionści z Rimini, nienagabywani przez ludność, która nauczyła się już ich odróżniać od niekarnych wojsk francuzkich i w dniu trzecim maja t. r. weszła legia do Rzymu. Najpiękniejsza pogoda towarzyszyła wejściu wiarusów. Okna przepęłniały kobiety, ciekawie spoglądające na jasnowłosych, roślących i barczystych synów północy, którzy przy odgłosie trąb i bębnow, weszli w trzech kolumnach na kapitoliańskie wzgórze. Na pomieszczenie legionistów przeznaczono klasztor Ara Coeli zaś Kniażewiczowi dla lepszego dozoru garnizonowej służby wyporządzono mieszkanie w pobliskim pałacu senatorskim. Spokojny pobyt w Rzymie zakłóciły wszakże właśnie emigracyjne, wzniecone przez walkę stronnictw, wojujących z sobą nieustannie na paryskim bruku. Bulwarowym politykom oraz dawnym wojskowym, trawiącym czas bezczynnie we Francji, sobą w oku było energiczne, pełne godności lecz ściśle samodzielne i nie liczące się z urojonymi pretensjami do wyłącznego stanowienia o sprawie narodowej, żywionymi przez wychodźców w Paryżu, postępowanie Dąbrowskiego oraz Kniażewicza. Walczono więc przeciw nim potwarzą, chciano ich usunąć od władzy i w tym celu przybyła do Rzymu gromadka malkontentów, wśród której wiedli głośny od chwili procesu Ponińskiego Wojciech Turski, występujący w Paryżu pod pompatycznym mianem Alberta Sarmaty, tudzież osobisty nieprzejaciel Dąbrowskiego,

niejaki Neyman. Wichrzyciele owi jęli nawet zbierać w Rzymie podpisy przeciw jenerałom, ale Chłopicki, podówczas major pierwszej legii, zawiadomił o wszystkim Kniaziewiczowi, który wspólnie z Dąbrowskim stłumili bunt w zawiązku. W porozumieniu z naczelnie dowodzącym armią rzymską, Championetem, wydalono z Włoch Neymana tudzież Turskiego, zaś część zdolniejszych oficerów, dla których w legii nie stało miejsca, przyjęto do armii rzeczypospolitej rzymskiej. Niedostatek dawał się srodze we znaki legionistom, których był skutkiem częstych zmian w składzie rządu cyzalińskiego nie był dostatecznie zabezpieczony ani pod względem prawnym ani też materyalnym. Widząc przeto Dąbrowski, iż przez posły oraz listy nie wiele w tej mierze wskóra, udał się w drugiej połowie lipca do Medyolanu, pozostawiając naczelne dowództwo legionu Kniaziewiczowi.

Tymczasem przeciw Francyi za sprawą Auglików, zaniepokojonych o handel, dotychczas im wyłącznie służący na morzu śródziemnem, nowa wiązała się koalicya, w której obok Austrii i Rosyi, znalazłszy się: Neapol, Toskana i Sardynia, trwożne o los własny. Tak więc szczupła, bo zaledwo szesnaście tysięcy żołnierza licząca armia rzymska, odcięta od kraju, zdawała się być z góry przeznaczona na zagładę, tam bardziej, iż w Neapolu energiczna królowa Karolina, małżonka niedołęznego Ferdynanda, siłą, mocą parła do boju, podejrzewając Francuzów o zamiar oderwania od jej korony Sycylii. Na jej to żądanie naczelne dowództwo wojsk neapolitańskich objął przysłany przez dwór wiedeński jenerał Mack, uczony teoretyk, lecz wykonawca niefortunny własnych planów. W dniu dwudziestym trzecim listopada Neapolitańczycy wkroczyli w posiadłości rzymskiej republiki, głosząc, iż przebywają celem przywrócenia państwa kościelnego. Inwazyja ich była tak nagłą, iż Championet musiał corychlej Rzym opuścić, pozostawiając szczupłą załogę w zamku Świętego Anioła. Legionistom kazano podążać pod Civita Castellana celem utworzenia lewego skrzydła wojsk francu-

skich, a Kniaziewicz, zajęty pracą w sztabie, nocą zamierzał dopędzić podkomendnych. Opuściwszy kwaterę, usłyszał generał w jednej z bocznych uliczek krzyk i jęki rozpaczliwe. Pospieszył tam corychlej i z niemałą boleścią ujrzał trzech legionistów, rozbijających kufer, obok którego leżały niezastygłe jeszcze zwłoki zamordowanej przez nich kobiety wraz z dzieckiem. Kniaziewicz kazał ująć rabusiów i w godzinę później rozstrzelać. Dobra sława legionu została ocalona.

Championet skupiwszy swe siły pod Monterose, dodał Kniaziewiczowi legię rzymską, pół brygady francuskiej, trzy szwadrony jazdy i trzy działa oddając utworzoną w ten sposób dywizję pod rozkazy Macdonalda, dowodzącego całem prawem skrzydłem. W dniu pierwszym grudnia otrzymał nasz generał rozkaz przepłynięcia się przez Tyber i zaatakowania nieprzyjaciela, okopanego w Magliano. Z zadania tego wywiązał się znakomicie i już dnia następnego ogłosił szef sztabu głównego, Berthier, następujący rozkaz dzienny... Podaje się do wiadomości wojska, iż kolumna Neapolitańczyków, złożona z pięciu tysięcy żołnierzy, atakowała wczoraj miasteczko Magliano i zdobyła takowe. Generał Macdonald rozkazał generałowi Kniaziewiczowi, aby z trzystu ludźmi, wziętymi z swej legii, odebrał Magliano. Po żwawych strzałach zmusił polski generał nieprzyjaciela do ucieczki, zabił mu lub ranił wielu, zabrał aptekę i wszystkie wojenne zapasy, wziął w niewolę oficera i wielu żołnierzy. Polacy odznaczyli się bohaterstwem. Godnem jest uwagi, iż oddział, złożony z trzystu ludzi, odparł zwycięzko pięć tysięcy Neapolitańczyków...

Niebawem przyszło Kniaziewiczowi świetniejszymi okryć się wawrzyny. W dniu trzecim grudnia bił się z przednią strażą nacierającą od strony Rzymu wojsk Macka pod Fabrica i Fallari, z kąd je ze znaczną stosunkowo stratą odparł, zaś nazajutrz, (czwartego grudnia), przyszło do walnej rozprawy z główną armią Macka, liczącą do czterdziestu tysięcy żołnierza, podczas gdy siły Francuzów wraz z legioni-

stami dochodziły zaledwo do sześciu tysięcy głów. Wódz austriacki, sądząc, że jednym zamachem zgniecie przeciwnika, uszykowanego między Brecho, Neppi i Civita Castellana, uderzył z całą siłą na centrum francuskie, które cofając się zwolna naprowadziło go na brygadę Kellermana, zajmującą pozycję pod Civita-Castellana. Gęsty ogień Francuzów zmieszał lewe skrzydło atakujących. Kniaziewicz widząc posuwający się od Fallari silny korpus hrabiego saskiego dosiadł co prędzej konia i sam pospieszył do Macdonalda z żądaniem, by go wsparł swoją artylleryą. Otrzymał odpowiedź lakoniczną, iż Kellerman własnymi siłami bije nieprzyjaciela... Zrozumiawszy przymówkę zawołał Kniaziewicz:

— Mniejsza o to. Nie potrzebuję niczyjego przykładu, abym obowiązku mego dopełnił!

I spiąwszy rumaka powrócił do swoich, by z szaloną furją uderzyć w sam środek kolumn przeciwnika, będąc pewnym, że ma do czynienia z lewym jego skrzydłem. Wśród najgorętszego ognia widzi wszakże świeże zastępy neapolitańskie, wychodzące z lasu i zagrażające jego tyłom. Wysła więc przeciw nadchodzącym Białowiejskiego z częścią legii, sam zaś z resztą swego oddziału, poprzedzonego tyralierami, atakuje coraz to silniej nieprzyjaciela. Żołnierz neapolitański, tchórzliwy z natury i nieostrzelany w boju, nie może się rozwinąć pod ogniem naszych. Napróżno hrabia saski usiłuje nawrócić uciekających na linię bojową. Kula legionisty zwała go z konia, co widząc nieprzyjaciel jeszcze bardziej się mięsza, a ognista szarża jednego szwadronu jazdy, wykonana pod osobistem dowództwem Kniaziewicza, dopełniła dzieła pogromu Neapolitańczyków, którzy zaledwie pod osłoną licznej kawalerii zdolali ocalić część swych dział oraz zbitą w bezładnych kupach piechotę. Hrabia saski, ciężko ranny, tylko osobistej odwadze zawdzięczał ujście przed niewolą, a gdyby Białowiejskiego nie powstrzymały w pochodzie niedostępne drogi, byłby Kniaziewicz w puch rozgromił całe centrum Macka. W każdym razie chwała dnia tego jemu

przypadła w udziale. Trzy tysiące niewolnika, dział szesnastce, liczne sztandary i tabory wpadły w ręce zwycięzców, którzy ścigali Neapolitańczyków do późnej nocy.

Jeszcze podczas bitwy przysłał Macdonald do Kniaziewicza adjutanta z uwiadomieniem, iż mu część artylerji w pomoc posyła, ale generał, pewny już zwycięstwa, odparł posłańcowi, iż żadnego sukursu nie potrzebuje i po zakończeniu walki zawiadomił krótko swego zwierzchnika o odniesionej przewadze. W odpowiedzi na swój raport otrzymał od Macdonalda kartkę, na której znajdowały się te tylko słowa: ...Rozkazuje się dowódcy pierwszej legji polskiej, aby jutro, punkt o godzinie piątej rano, stawił się w głównej kwaterze... Lakoniczny ten rozkaz zadziwił a potroszę i obruszył Kniaziewicza, lecz służba nie drużba, polecenie spełnić należało. Przed świtem dnia następnego zameldował się generał u Macdonalda, który otoczony sztabem przyjął przybywającego następującą przemową:

— Nie jestem z generała zadowolony. Wolno Polakowi mierzyć się z Francuzem w mężtwie, wolno go nawet przewyżzyć pod tym względem, ale ty generale odpowiedź, daną memu adjutantowi, chciałeś nas przewyżzyć i w fanfaronadzie. Za karę musisz zaraz wejść do tego pokoju...

Tu rozwarły się drzwi do sąsiedniej sali, gdzie przy suto zastawionem śniadaniu rycerski Macdonald pierwszy wniósł toast na cześć Kniaziewicza. Na długie biesiady nie stało wszakże czasu, gdyż należało wyzyskać owoce wczorajszego zwycięstwa. Neapolitańczycy zamierzali odciąć brygadę generała Mathieu od głównej armii. Kniaziewicz pospieszył zagrożonemu w pomoc i w dniu dziewiątym grudnia przyszło do starcia pod Calvi. Podczas gdy Kniaziewicz osaczył okoliczne wąwozy, Mathieu zabrał nieprzyjacielowi wszystkie działa i z dominującej pozycji zepchnął co do Calvi. Otoczeni ze wszech stron poddali się Neapolitańczycy, jakkolwiek liczebna przewaga była po ich stronie. Dwaj generałowie, dwudziestu wyższych oficerów i cztery tysiące żołnierza ka-

pitulowali pod Calvi, za który to sukces Kniaziewicz otrzymał stopień generała brygady. Ponieważ jednak Dąbrowski z Medyolanu powrócił, przeto dowództwo legionu przeszło ponownie w jego ręce. Ale i na drugorzędnym stanowisku znalazł Kniaziewicz dość sposobności do odznaczenia się w pościgu Neapolitańczyków, którzy po przegranej pod Civita Castellana, zwanej też przez niektórych dziejopisarzy bitwą pod Nepi, opuścili co rychlej Rzym, cofając się ku południowi. W ślad za nimi kroczył Kniaziewicz, kartaczami oczyszczając drogę aż ku Terracinie a sforsowawszy przejście przez wąwozy, rozciągające się między tą ostatnią miejscowością a Fondi, zapuścił się na czele kilku szwadronów jazdy pod Gaetę, na której wałach sto dział groziło atakującym. O zdobyciu fortecy nie podobna było i myśleć przy pomocy dwu armat, jakie wiodł postępujący za Kniaziewiczem generał Rey. Mimo to, korzystając z popłochu, wznieconego wśród załogi gaetańskiej samym widokiem zbliżających się Francuzów, wysłał Kniaziewicz do twierdzy adjutanta Kosseckiego z wezwaniem do poddania się, na co po kilkogodzinnym namyśle zgodził się komendant fortecy, szwajcar z pochodzenia. Tego samego dnia wieczorem, (d. 31. grudnia 1798 r.), wojska francuskie wraz z legionistami weszły do Gaety. — Czytelniku — pisze o tem zdarzeniu Kniaziewicz w swej autobiografii — niechciej ważnego tego dzieła przypisywać wielkim moim przymiotom wojskowym, nadzwyczajnej odwadze. Po prostu nie spostrzegłem się, żem tak blisko dotarł do warowni. Gdyby nieprzyjaciel nieco tylko był ostrożniejszy, odciałyby mię od korpusu. W tem chybił, że cofając się w lewo, nie miał bacności na poruszenia moje przy rozchodzących się drogach. Mnie zaś, gdym zapędził się pod warownię, nie pozostało jak nadrobić miną...

Zaraz pierwszej nocy po zajęciu Gaety wszczął się w mieście rozruch, wywołany rabunkiem żołnierzy. Komen-danci, chcąc przywrócić ład, kazali uderzyć w bębny i niebawem na placu zboru stanęły szeregi. Francuzi przybyli

z szelnie zapiętymi tornistrami, z płaszczami, lekko tylko wydętymi, więc też dowódcy ich wręcz obwiniali legionistów o wyłączenie dopuszczenie się grabieży. Oparł się takiemu sąszeniu Kniaziewicz i zażądał szczegółowej rewizji szeregowców, na co znów nie chcieli się zgodzić generałowie francuscy, uważając ją jako ubliżającą dla swych żołnierzy. Z targ między starszyzną przybierał co raz to ostrzejszy charakter i dopiero przybycie Dąbrowskiego, jako najstarszego rangą generała, kres położyło zwadzie komendantów. Z jego polecenia zaczęto rewizyę od szeregowców francuzkich i zaraz u pierwszego z brzegu znaleziono kielich z patyną, u drugiego monstrancję, u trzeciego kieszę złota. Słowem każdy obłowił się sownicę. Gdy przyszła kolej na naszych wiarusów, wystąpiły na jaw jedynie półcie słoniny, buty i kołdry, pochwytnane w koszarach, wśród alarmowego rozruchu. Tymczasem zbiegli się na plac zboru także poszkodowani mieszkańcy, którzy jednozgodnie przyznali, że przy łupieniu kościołów i domostw prywatnych czynni byli tylko Francuzi, rabujący pod przewodem neapolitańskiej załogi. Tak więc dzięki Kniaziewiczowi oczyszczony został legion z zarzutu rabunku i zostawiwszy jeden batalion na załodze w Gaecie, wyruszył w dalszy pościg za umykającą armią króla Ferdynanda.

Już nazajutrz, w sam dzień Nowego Roku 1799, zdobył Kniaziewicz Traettę a idąc nieustannie w przedniej straży, zagarnął pozostawioną w Mandragone stadninę królewską. Zdobyta ta w połączeniu z końmi pozostałymi po kawaleryi, rozbrojonej w Gaecie, spowodowała wodzów legionu do formacyi pułku jazdy, którego dowództwo poruczono Karwowskiemu. Organizacya tego oddziału odbywała się podczas blokady Kapui a jakkolwiek Championet przyjął zaofiarowany mu przez Macka w dniu jedenastym stycznia rozejm, to mimo to nie ustawały działania wojenne, gdyż na tyłach armii francuskiej szerzyło się powstanie, posiłkowane przez maroderów oraz rozbitków z oddziałów neapolitańskich. Kniaziewicz wraz z Dąbrowskim ucierali się nieustannie z powstańcami,

niszczącymi mosty, przecinającymi dowozy żywności, a tem szkodliwsiymi, ileże w partyzanckich szeregach nie brakło doświadczonych bandytów i przemytników, obeznanych wybornie z miejscowością. Z niemałym przeto trudem udało się naszym generałom przywrócić komunikację między Kapuą a Rzymem, podczas gdy armia Championeta po zerwaniu rozejmu przez rząd neapolitański, posuwała się naprzód, nie znajdując nigdzie poważniejszego oporu. W dniu dwudziestym trzecim stycznia otwarł Francuzom bramy Neapol, którego nie zdołały obronić bezładne tłumy lazarónów, nie mające wyobrażenia o walce prawidłowej, zaś Championet w zdobytym królestwie ogłosił Rzeczpospolitą Partenopy.

Ważne usługi, jakie w tej wyprawie oddał legion armii, która obecnie przybrała nazwę neapolitańskiej, spowodowały jej wodza, iż Polakom przyznał zaszczyt odwiezienia do Paryża zdobytych sztandarów. Wybór jego padł na Kniaziewicza, któremu w dniu szóstym lutego oznajmiono zaszczytne to posłannictwo. Dobrawszy przeto dla asystencyi młodzieźnego Jana Dąbrowskiego, syna generała, oraz Drzewieckiego i swego adjutanta. Kosseckiego, wybierał się Kniaziewicz w podróż do Francyi, lecz jeszcze przed wyjazdem doręczono mu pismo ministra wojny, (z daty 31. grudnia 1798 roku), oddające najwyższe pochwały dla waleczności legionu a zarazem oznajmujące generałowi, iż Rzeczpospolita postanowiła go uczcić darem honorowym broni, wyrabianej umyślnie w tym celu w fabryce rządowej, wersalskiej. Razem z piśmie ministeryalnem nadeszła do głównej kwatery odezwa dyrektoryatu wykonawczego, wystosowana w dniu dwudziestym stycznia t. r. do Kniaziewicza a opiewająca jak następuje:

»Dyrektoryat wykonawczy czytał z przyjemnością, obywatelu, opis walecznych czynów, dokazanych przez Ciebie i Twą dzielną legię przy szturmie Gaety, która armia francuska zabrała królowi neapolitańskiemu. Okazaliście się godnymi sprawy, którąście sobie przyswoili. Dobrze zasłużyliście się ludziom wolnym. Dyrektoryat pochwalił generała

Championeta za sprawiedliwość, jaką Ci wymierzył, mianując Cię generałem brygady i dowiedział się z przyjemością, że dyrektoryat rzezypospolitej cyzalspińskiej zatwierdził to wyniesienie...

Odezwa rzeczona, ogłoszona w rozkazie dziennym legii, nie mogła nie wyrzeć jak najkorzystniejszego wrażenia wśród legionistów, dumnych z tego, że jednemu z ich wodzów przypadło w udziale odznaczenie wręczenia trofeów wojennych władzy naczelnej. W Rzymie zatrzymał się chwilowo Kniaziewicz wraz z towarzyszącymi mu oficerami. Przykre uczucie musiało ich ogarnąć na widok zniszczenia, dokonanego w Watykanie przez wojska neapolitańskie, podczas ich krótkotrwałego w wiecznym mieście pobytu. Wspaniałe sale papieskiej rezydencji obrócono wówczas na pomieszczenie żołnierza, który rozkładał ogniska na marmurowych posadzkach, niszczył wspaniałe freski, zdierał kosztowne obicia, nie przepuszczając nawet bogatej oprawy bibliotecznych książek. — Francuzi przenosili arcydzieła — mówili strażnicy watykańskich skarbów — Neapolitańczycy niszczyli je jak barbarzyńcy...

Opuszczając Rzym, musieli Kniaziewicz wraz z towarzyszami podróży zgolić wąsy i przywdziać cywilne szaty, gdyż ludność wiejska, podburzona przeciw Francuzom, nie oszczędzała nikogo z noszących uniform republikańskiej armii. W Viterbo naszym podróżnym śmierć zajrzała w oczy. Już na kawał drogi przed miastem zatrzymał ich pojazd człowiek w odzieniu kościelnego sługi i opowiedziawszy się posłańcem miejscowego biskupa, uprzedził generała, by wobec powstańców, przepełniających Viterbo, udawał posła hiszpańskiego, przybywającego z Rzymu. Jakoż usiadłszy na kozle obok wóźnicy, organista ów, czy też zakrystyan, torował drogę wśród uzbrojonego motłochu, snującego się po ulicach, powtarzając co chwila: Posła hiszpański jedzie z Rzymu do biskupa!.. Tłum zaglądał wprawdzie przez drzwiczki powozu, ale przepuścił podróżnych aż do pałacu biskupiego. Przybyli przed-

stawili się bezwzględnie biskupowi, który wzięwszy na stronę Kniaziewicza, w te do niego ozwał się słowa:

»Jenerale! Obaj znajdujemy się w fałszywym płożeniu. Co ciebie dziś, to mnie jutro czekać może. Ratujmy się wzajemnie. Ja się o wasze bezpieczeństwo postaram, jeżeli podpisiecie świadectwo, żeście mnie jedynie winni życie. Sądzę, że gubić mnie jenerale nie zechcesz, rozgłaszając, żeśm cię ocalił, lecz poufnie tylko o tem naczelnie dowodzącego uwiadomisz...«

Oczywiście Kniaziewicz podpisał żądany cyrograf a podczas gdy świeże konie zaprzęgano do pocztowej karety, zdarzył się wcale komiczny epizod, gdyż w młodzieuchnym i wątplym Kosseckim domyślał się biskup przebranej dziewczyny. Kazał więc przynieść mu cukierków i radził zdziwionemu tym podarkiem kapitanowi, by napił się wody i nie lękał się niczego, bo mu się nic złego nie stanie... Dalsza droga obyła się bez żadnych przeszkód. Na Siennę i Florencję przybył Kniaziewicz do Bolonii, gdzie zetknął się z jenerałem Moreau, inspektorem armii włoskiej. Zdumiały naszych podróźnych znakomita pamięć i dar oryentowania się tego wodza, który jak najdokładniej zdawał się być poinformowany o szczegółach kampanii neapolitańskiej, tak, iż powracającym z pola walki nie wiele do opowiedzenia pozostało. Mówił im również Moreau o sytuacji politycznej w Paryżu, o walce stronnictw oraz o zazdrości, jaką w sferach wojskowych wzbudziły sukcesy Championeta.

Za przyjazdem do Paryża, załatwiwszy się co rychlej z służbowymi raportami, pospieszył Kniaziewicz do Kościuszczi, zamieszkałego w domu Barsa. Naczelnik, który od chwili pamiętnego rozstania w Zastawiu nie oglądał jenerała, przyjął legionistów nader serdecznie. — Był to dzień dla nas uroczysty — pisze w swym pamiętniku Drzewiecki — był moment połączenia odłamów, które opinie różne, lub miłość własna rozdzieliły. Wszyscyśmy, wezwani na skromną

uczę, która nam stół dawnego Naczelnika przypomniała, łamali chleb radośnie, sami tylko będąc ze swymi...

Uroczystość wręczenia dyrektorowi zdobytych w Neapolu sztandarów, odbyła się w dniu ósmym marca t. r. z nadzwyczajną okazałością w pałacu luksemburskim. O godzinie drugiej z południa zasiedli dyrektorowie w otoczeniu ministrów, wśród których honorowe miejsce wyznaczono Kościuszcze, na wysoko wzniesionej trybunie. Minister wojny, Dubois-Crancé wprowadził do sali Kniaziewicza oraz towarzyszących mu oficerów, których strój niezwykle, czapki ozdobione trójbarwną kitą, ładownice błyszczące i srebrne szarfy zwróciły uwagę całego zgromadzenia. Pierwszy zabrał głos Dubois-Crancé i wskazawszy obecnym trzydzieści pięć zdobytych sztandarów, w te słowa ozwał się do legionistów: ...Jenerał naczelnie dowodzący i ja za jego przykładem wyliczę z przyjemnością nazwiska odważnych Polaków, walczących pod naszymi sztandarami. Ich postępowanie świadczy, że nie brakło im odwagi w celu utrzymania niepodległości, oraz, że zasłużyli, by wśród nas znaleźli ojczyznę i wolność. Pod chorągwią, towarzyszącą naszemu zwycięztwu, widzicie obywatela dyrektorowie jenerała Kniaziewicza. Zaszczyt przedstawienia wam tych trofeów jest nagrodą za jego zdolności, męstwo i zasługi. Ten dzielny wojownik i jego towarzysze broni ujrzeli światło dzienne pod tem samem niebem, gdzie żyje pewien władca, ciemiężca Polaków i nasz zawzięty nieprzyjaciel, który z namowy Anglii oraz kilku zdrajców wysłał swych żołnierzy, by w obcych szeregach znaleźli niesławę, choroby i zgubę. Tak więc z północy Europy pochodzą nasi nieprzyjaciele i obrońcy. Oby wszyscy nieprzyjaźni nam władcy brali naukę z tyłu przykładów. Pokój jest ich zbawieniem. Nasze wojska walczyły w celu uzyskania pokoju, lecz jeśliby ośmielili się go zakłócić, niech drżą wobec nowych zwycięstw! Pierwszy okrzyk zwycięztwa rozległ się od jednego krańca Włoch aż po szczyty alpejskie i brzegi Renu a dnia pewnego rozbrzmieć może to echo aż do wnętrza Niemiec i nad Tamizą!

Zaledwo skończył swą przemowę minister wojny, gdy Kniaziewicz, którego wyniosła postać iście marcyalne sprawiała wrażenie, następującą wygłosił odpowiedź: Obywatele-dyrektorowie! Mam zaszczyt złożyć w wasze ręce sztandary, zdobyte przez armię rzymską na Neapolitańczykach. Armia ta obaliła potęgę krzywoprzysiężnego władcy. Wojownicy, składający te sztandary, otworzyli zapaśnikom republiki rzymskiej oraz cyzalińskiej szerokie pole chwały i uczynili ich zdolnymi do wykazania całemu światu, że żołnierz, walczący za wolność, staje się niezwykłym. Jest to zaszczytem dla Polaków, którym pozwoliliście obywatele połączyć ich usiłowania z usiłowaniami republikanów francuzkich, gdy widzą jednego ze swych współbraci, upoważnionego do ofiarowania wam zdobytych przez nich trofeów. W tym więc czynie armii rzymskiej widzicie obywatele-dyrektorowie dowód szczytnej bezinteresowności, która nie pozwala jej cieszyć się zasłużonym tryumfem, nie uczyniwszy tegoż uczestnikami wszystkich, przyczyniających się do tego dzieła. Ziomkowie moi, przejęci wdzięcznością i ufni w przychylność wielkiego narodu, poprzysięgli w głębi duszy, że sprawa republiki francuzkiej, pozostanie dla nich na zawsze świętością, gdyż uważają ją za nierozłączną od własnej. Niech żyje rzeczpospolita!

W imieniu dyrektorjatu zamknął uroczystość Barras, który zaledwo w końcowym ustępie mowy wspomniał o Polakach. Wróćmy obywatele — mówił Barras — do zwycięzców z pod Kapuy i Neapolu. Patrzenie na tych mężnych Polaków, którzy przełożyli wygnanie nad niewolę. Rzeczpospolita przyjęła ich za własnych synów i Francya stała się dla nich drugą ojczyzną. Spójrzcie na szeregi tych bohaterów rzeczpospolitej, towarzyszy i świadków waszych zwycięstw, podzielnicy z nimi szacunek ojczyzny i życzenia pomyślności ze strony dyrektorjatu. Powiedźcie legionom rzymskim i cyzalińskim, iż dowiodły swą odwagą, że zasłużyły na wolność!

Ogólnikowa ta odpowiedź przykre wśród Polaków sprawiała wrażenie. To też starano się je zatrzeć, urządzając na

cześć przybyłych szereg okazałych przyjęć, zaś Kniaziewiczowi doręczono przyrzeczoną mu już poprzednio broń honorową, mianowicie pałasz z odpowiednim napisem, tudzież szkatułkę z pistoletami, wyrabianymi ozdobnie. Na uczczenie tego dnia wydał znów Kościuszko obiad ku czci generała i obdarzył go szablą, otrzymaną dawniej od króla szwedzkiego. Skromna ta uczta miłszą była zapewne Kniaziewiczowi od urzędowych bankietów, w ciągu których zachwycono się na zimno męstwem Polaków, lecz kazano im uzbrajać się w cierpliwość i wyczekiwać bliżej nieokreślonych wypadków.

Co prawda, nie szczędzono Kniaziewiczowi różnorodnych obietnic, chcąc go dłużej zatrzymać nad Sekwaną. To upoważniano go do traktowania z rzesząpospolitą helwecką o formację dywizji polskiej, złożonej z piechoty, z jazdy i z artylleryi, to znów rokowano w tejsze sprawie z rzesząpospolitą bawarską, nie chcąc wiecznie pustego skarbu Francyi obarczać kosztami zawiązywania świeżych legii. Wśród ciągłej niepewności mijały wiosna i lato 1799 roku a znużony bezczynnością oraz bezowocnem wyczekiwaniem Kniaziewicz pisał z Paryża, (w dniu 21. sierpnia), do Wybickiego:

Nadzieje nasze co do formacyi legionów tak częstej podlegają odmianie, iż przy samem już onych dojściu, jeszcze Cię zapewniać nie będę. Dnia wczorajszego komisya, do której nasz projekt odesłany został, przyniosła Radzie Pięciuset swoją decyzję do formowania pięciu tysięcy Polaków nad Renem. Kazano ją rozdrukować. Za trzy dni jużby ona powinna być prawem i jak tylko udecydowaną zostanie, donieść natychmiast nie zaniedbam...

Jakoż sytuacya o tyle okazała się dla Polaków pomyślniejszą, iż w miarę grożącego rzeszypospolitej od strony Renu niebezpieczeństwa, dyrektoryat okazywał się pochopniejszym do stworzenia własnym kosztem legii polskich na niemieckim teatrze wojny. Walczyły tam w cesarskich szeregach pułku galicyjskie, więc liczono na liczną z tychże dezercję pod narodowe znaki. Zabiegi Kniaziewicza, czynione

w tej mierze, popierali życzliwie świeżo przybyły do Paryża Championet, tudzież Joubert i Bernadotte, dzierzący chwilowo tekę ministra wojny. Mówiono również o powierzeniu naczelnego dowództwa nad wszystkimi Polakami Kościuszcze, lecz wszystkie te pogłoski pozbawione były faktycznej podstawy tak długo, dopóki w dniu ósmym września t. r. projekt formacji legii, tak zwanej naddunajskiej, nie uzyskał sankcyi ze strony Rady Pięciuset. — Polacy walczący w legii włoskiej — czytano w projekcie owej ustawy — szli torem bohaterów i stali się godnymi ojczyzny. Jeżeli przeznaczenie nie da im odzyskać własnej ojczyzny, niech przynajmniej jej obraz znajdą w naszych obozach i niech na gościnnej ziemi kosztują wolności, którą napróżno u siebie odzyskać pragnęli...

Tak więc polecono Kniaziewiczowi formację nowego legionu, złożonego z czterech batalionów piechoty, (każdy w sile 1.200 ludzi), z pułku jazdy oraz z dwóch kompanii artylleryi. Oficerów do utworzenia kadrów nie brakło. Prócz Drzewieckiego i Koseckiego, pełniących obowiązki adjutantów przy boku generała, przebywali w Paryżu: Sokolnicki, oddający się z szczególniejszym zamiłowaniem studjom matematycznym, podpułkownik Gawroński oraz Fiszer, wечно zagrzebany w książkach, lecz nie mniej zdolny organizator, zwłaszcza piechoty. Jeżeli jednak formacja legii postępowała w pierwszych tygodniach z pewnym oporem, to przyczynami opóźnienia były: po części opozycya, stworzona przez pseudopatryotów, bulwarowych krzykaczów, którym nie podobały się i nazwa legionu i odrębna tegoż od legii włoskiej organizacya a po części też brak funduszków, potrzebnych na ubranie oraz na uzbrojenie legionistów, zgłaszających się wcale licznie z pośród jeńców wojennych, zgromadzonych w Metz, w Nancy i w Luneville. Napoleon, powracający z Egiptu, świeżą promienioną sławą, zdawał się początkowo niewiele przywiązywać wagi do losu legionów naddunajskich. Zapraszano wprawdzie Kniaziewicza wraz z Kościuszką na urzędowe przyjęcia, urządzone ku czci Bonapartego przez dyrektorjat, ale

wśród tych festynów oraz gotowanego za kulisami zamachu stanu, nie było czasu, ni możliwości przypomnienia Napoleonowi sprawy polskiej. Co gorsza, Bonaparte, osiągnąwszy w listopadzie t. r. godność pierwszego konsula, zamierzał korzystać z nieporozumień, istniejących między carem Pawłem a sprzymierzonymi i pragnąc zbliżyć się do Rosyi, usiłował też wmówić w naszych wychodźców wiarę w szczerotę intencji carskich dla dobra Polski. Rzecz oczywista, że bawiący w Paryżu Polacy i słyszeć nie chcieli o polityce ugodowej z caratem a wystąpienie senatora Garrata, który podczas obiadu u Barsa, starał się w jak najprzychylniejszem świetle przedstawić rosyjską politykę pierwszego konsula, wywołało w ostatecznym rezultacie przykre zajście między Kościuszką a Kniaziewiczem. Gdy bowiem Naczelnik z miejsca potępił myśl Bonapartego, sprzeciwił się mu Kniaziewicz, mówiąc:

— Jenerale, nie sam jesteś narodem, pozwól nam o tem pomyśleć i własne także mieć zdanie...

Oczywiście, że po tym proteście urwała się dalsza rozmowa na temat polityczny i Garrat w milczeniu pożegnał zgromadzonych a chwilowe nieporozumienie między Kościuszką a Kniaziewiczem załagodziło się już po upływie dni kilku, dzięki przyjaźni, łączącej oddawna obu tych mężów.

Pod zimę formacja legii naddunajskiej bardziej rączyjm jęła postępować krokiem. W Falcburgu zajęli się Fiszer wraz Drzewieckim organizacją zebranych już legionistów, podzieliwszy między siebie sprawy administracyjne tudzież dozór koszar i ćwiczenia bronią dla nowozaciężnych. Nadto uczono legionistów regulaminu i służby polowej według zasad, przyjętychw armii francuskiej. Musztra wypełniała dzień cały, wieczory poświęcano wykładom teorii. Położenie Falcburga, niezbyt odległe od granic niemieckich. było powodem, iż oprócz jeńców z pułków galicyjskich, głównego zastępu legionistów dostarczyła zaraz w pierwszych tygodniach formacji Wielkopolska. Wśród zgłaszających się ochotników nie brakło też zamożniejszej i wykształconej młodzieży zaś

Kniaziewicz, pozostały jeszcze w Paryżu celem załatwienia rozmaitych formalności, pisał w pierwszych dniach stycznia 1800 roku do Wybickiego z prośbą, by przybywał do Falcburga. — Zaklinam Cię na miłość tej sprawy, dla której wszystko poświęciłeś, — pisał generał — żebyś z nami chciał dzielić kłopoty, nieoddzielne od pierwiastkowej formacji korpusu. Twoje światłe rady w momentach, kiedy bieda najczęściej dokucza, staną się balsamem dla niemających doświadczenia i stałości, Tobie zaś samemu skutek tę rozkosz przyniesie, którą człowiek czuje, kiedy dobry czynami dzień zakończył..

Jakoż zacny Wybicki nie odmówił prośbie Kniaziewicza i niebawem zjawił się w Falcburgu, gdzie żywym słowem, przykładem i patryotycznymi swymi pismami przyczynił się niepomiernie do podniesienia ducha narodowego i poziomu moralności wśród legionistów. Zwano go też ogólnie ojcem młodzieży.

Sporego zastępu ochotników dostarczyło legionowi zwycięstwo Masseny, odniesione w dniach 26. i 27. września pod Zurychem nad połączonymi siłami austro-rosyjskimi. Jeńcy małorosyjscy z korpusu Korsakowa podążyli gromadnie do zakładu w Falcburgu, podobnie jak liczni zbiegi z armii austriackiej arcyksięcia Karola, działającej w Palatynacie. Nie brakło więc ochotników, obznajmionych już z wojennem rzemiosłem; legia liczyła około dwa tysiące żołnierza, ale nie stało dla nowocieżnych mundurów, bielizny i obuwia. Niedostatek odzieży był tak dotkliwy, iż niektórzy legionści chcą wyjść z koszar, otulali się od zimna kołdrami a choroby skórne szerzyły się gwałtownie między szeregowcami. Poczciwi mieszkańcy Falcburga starali się, o ile możliwości, zapobiedz panującej między legionistami nędzy, ale dorywcze ich ofiary nie były w możności zaradzenia i części potrzeb. — Wyrobiłem sobie wygodniejszą konsystencję dla naszych, biednych żołnierzy w mieście Metz, gdzie dziesięć tysięcy wygodnie umieścić można — donosi generał Wybickiemu w wspo-

mnianym dopieroco liście. — Życie tam tanie, mieszkańcy ludzcy i przyjacielscy...

Z tem wszystkim przemarsz do Metz, wśród styczniowych mrozów przedstawiał poważne trudności dla półnagich i bosych legionistów. Nadesłano im wprawdzie z Paryża lekkie kurteczki, płócienne pantalony i nieco trzewików, ale zapas ten nie wystarczył dla całego oddziału. Na domiar złego, w dniu wymarszu, mróz chwycił siarczysty i gdy szef Drzewiecki stanął przed frontem, by dać hasło do ruszenia w pochód, ozwały się z szeregów głosy: My bos! a zziębnięci do szpiku kości biedacy, jeśli pokazywać komendantowi obrzękłe z mrozu stopy, pozbawione wszelkiego okrycia. Nie namyślając się długo, wywołuje dzielny szef pierwszego z rzędu, bosego legionistę, oddaje mu własne buty i sam boso, po grudzie straszliwej, otwiera pochód wśród odgłosu muzyki, sformowanej na pędzie z grających na rozmaitych instrumentach ochotników. Za przykładem dowódcy podążyła wiara i nie uroniwszy ani jednego żołnierza po drodze, przybył legion po kilkunastodniowym marszu na miejsce nowego przeznaczenia.

W Metz otrzymali legionieści broń z fabryk wersalskich z takim upragnieniem wyczekiwaną a szeregi ich pomnożyło przybycie oficerów dawnej służby, przywożących z sobą mniej lub więcej znaczne sumy, zebrane wśród ziomeków w kraju na potrzeby legionu. Dzięki tym zasiłkom można było pomyśleć o sprawieniu zapasowego obuwia i bielizny dla całego oddziału, którego ekwipowanie zostało ukończone w ostatnich dniach marca 1800 r. Mundur legionu, granatowy z karmazynowymi wypustkami, przypominał w zupełności uniformy legionistów włoskich i dawnego wojska narodowego. Złote szlify i guziki stanowiły odznakę oficerską.

Nie czekając na formację jazdy, która organizowała się w Strassburgu, powiódł Kniaziewicz gotowe już, piesze bataliony na linię bojową. Obowiązki szefa sztabu pełnił przy nim Gawroński, funkcyę szefa brygady powierzono Sokolni-

kiemu zaś poszczególnymi batalionami dowodzili: Drzewiecki, Fiszer, Kralewski i Wasilewski. Komenda artylleryi spoczywała w doświadczonej dłoni kapitana Redla, który już w legionach włoskich, podczas oblężenia Mantui, złożył dowody meztwa i znajomości tej broni.

Zaliczona do korpusu jenerała Saint-Souzanne'a, tworzącego lewe skrzydło armii nadreńskiej, zajęła legia stanowisko w okopach Koehlu, gdzie użyto jej do robót fortecznych. Zajęcie to nie przypadło do smaku legionistom, nie wdrożonym jeszcze w zasady wojskowej karności. Poczęli się burzyć i zagrozili oficerom tłumnem opuszczeniem szaniców, w pobliżu których krążyły cesarskie oddziały partyzanckie. Kniaziewicz, przebywający chwilowo w Strassburgu, pospieszył na wiadomość o rokoszu co rychlej do Koehl i przeprawiając się przez Ren, rozkazał francuzkiej baterji, ustawionej na brzegu rzeki, by dała ognia kartaczami w to miejsce, które on, powiewając białą chustą, wskaże.

— Jakto jenerale? — zapytał zdziwiony komendant baterji — każesz strzelać do samego siebie?

— Tak jest — brzmiała stanowcza odpowiedź Kniaziewicza. Rozkazuję wam w imieniu prawa. Macie być posłuszni!

Jenerał spiąwszy konia, dopadł niebawem do Koehlu, kazał wystąpić zmieszanej jego niespodzianem przybyciem załodze i oznajmiwszy jej rozkaz, dopieroco na brzegu wydany, już podnosił w górę chustkę, by dać umówiony sygnał, gdy winni jęli go błagać o przebaczenie i poprzysięgać dochowanie przyrzeczonej sztandarom wierności. Tak więc zarzewie buntu stłumione zostało w samym zarodzie i honor legionu ocalał. Na razie, prócz obrony Koehlu, zalecono Kniaziewiczowi ucieranie się z austryackimi podjazdami, niepokojącymi Francuzów od strony Philipsburga. Jednym z najdzielniejszych partyzantów armii cesarskiej był Adam hr. Mier, polak z pochodzenia, odznaczający się nietylko szaloną odwagą oraz ruchliwością, lecz przezornością zarazem i talentem omylenia czujności przeciwnika. Na czele oddziału lek-

kiej jazdy wieształ się Mier nieustannie na bokach lub tyłach Francuzów, urywał im bagaże i transporty żywności, znosił pomniejsze oddziały armii republikańskiej, lecz bitwy stanowczej nie przyjmował, znikając za pojawieniem się znacznie-szych sił przeciwnika, by po kilku dniach pojawić się znów w miejscu, w którym się go najmniej spodziewano. Przeciw temu to partyzantowi wyruszył w czerwcu t. r. Fiszer na czele pięciu kompanii legionistów oraz szwadronu jazdy francuzkiej, która świeżo przybywszy na linię bojową, miała się po raz pierwszy zmierzyć z przeciwnikiem. Wyszedłszy z Koehlu, posuwał się Fiszer za ustępującym w kierunku Altenburga oddziałem Miera, który wszakże znalazł dość czasu, by zawiadomić rozłożone przy drodze siły austriackie o pochodzie wyprawy francuzkiej. Tak więc w połowie drogi legionieści ujrzeni się osaczeni ze wszech stron przez cesarskich, zaś Mier usiłował im odciąć drogę odwrotu do Koehlu. Fiszer postanowił się przebić i sformowawszy czworobok z piechoty, począł cofać się ku swoim, ale zaraz przy pierwszym starciu z nieprzyjacielem, dodana mu dla osłony jazda umknęła z pola, przynosząc do Koehlu wiadomość o doszczętnem zniesieniu legionistów. Wiść ta okazała się fałszywą, gdyż cały oddział ocalał, utorowawszy sobie bagnetem drogę, ale mężny Fiszer, ranny, dostał się do niewoli. Napróżno usiłowali legionieści odbić pojmanego szefa, którego cesarscy corychlej uprowadzili do swoich stanowisk, podczas gdy inne ich kolumny ucierały się z legionem.

Strata dzielnego szefa, który jako instruktor piechoty przedstawiał siłę, nie dającą się zastąpić, była tem dotkliwszą, ileż dała powód intrygantom, oraz wicherzycielom, niechętnym Kniaziewiczowi, do obwinienia jenerała, iż Fiszera, pod wpływem utajonej przeciw niemu zawiści, rozmyślnie naraził na zgubę, wysyłając go na tak ważną wyprawę ze zbyt małemi siłami. Oszczercy zdołali swemi oskarżeniami wprowadzić w błąd nawet Kościuszkę, który podejrzliwy na stare lata, dał posłuch ich bajkom i wystosował do

Kniaziewicza list, pełen wyrzutów. Jenerał usprawiedliwił się wobec dawnego Naczelnika, a równocześnie wyprawił w dniu czternastym czerwca z Strassburga pismo następującej treści do Wybickiego:

»Podkomorzyna Latyczewska miewała dość bajeczne wiadomości od wielebnego księdza Gaudentego, kwestarza, lecz tamtego wiadomości są niczem w porównaniu z temi, które Kościuszko od swego korespondenta ztąd odbierać musi, kiedy mnie mógł napisać, że wzięcie w niewolę Fiszera stało się z przyczyny nieroztropności i nieznamomości służby tego, co go wysłał. Komplement ten, mnie zatem dedykowany, bo się zdaje, że go nikt inny wysłać nie mógł. Rzecz jednak istotnie tak się ma: że Fiszer pomimo mojej woli wyrobił sobie u jenerała Kleina komendę nad pięciu kompaniami, naprzód wysłanemi, gdzie na oddzielnej komendzie będąc, z niższego rozkazu patrol ten zrobił, gdzie korpusowi swą zbytnią odwagą największą szkodę wyrządził, gdyż ja najwięcej na tem cierpię...«

Mimo żartobliwego ustępu tego listu, zarzut Kościuszki boleśnie znać dotknął jenerała, gdyż już w dwa dni później, (16 czerwca), wyprawił do Wybickiego drugie pismo w owej przykłej sprawie. — Chciej z łaski swojej prosić Naczelnika — pisał Kniaziewicz — ażeby mnie list Fiszera napowrót odesłał. Żyjąc między ludźmi, którzy z nałogu drugich honor szarpać lubią, (a mianowicie swych przełożonych), roztropność każe, żeby mieć dokumenty na dorędziu na odparcie ich kalumnii. Z korespondencyi paryskiej między naszymi wieść się rozeszła, że mnie Naczelnik dobrze za Fiszera wyłajał. Wypada zatem, że mnie winnym znaleźć musiał. Ja pochwały i nagany równie obojętnie przyjmuję, kiedy te bez fundamentu odbieram, lecz u podkomendnych, którzy wszystkie szczegóły wiedzieć nie mogą, przywiązują się do tego, co intrzyganci rozsiewają i tracą do komenderującego zaufanie. Jakie to za sobą skutki ciągnie — nieraz w Polsce i tu widzieliśmy, kiedy się do wojskowości babiarstwo przyłączy. Z żalem

przeto przyjacielowi donoszę, że się tu wszystko tak dzieje, jak dawniej w tamtych legionach. Te same osoby, co tam zgodę i pokój truły, tu zręcznie swój warsztat zakładają. Zazdrość rang, przesady stanu i urodzenia — wszystko tu się widzieć daje...»

Nie spoczywał więc na różach nasz generał, który wśród licznych starań to przynajmniej miał zadowolenie, iż Kościuszko bardzo rychło uznał niesłuszność podniesionych przeciw niemu zarzutów i bronił go od tej pory gorąco na każdym kroku. Tymczasem lewe skrzydło armii nadreńskiej, którego częścią składową była legia naddunajska, otrzymało rozkaz pochodu na Frankfurt nad Menem. Wbrew złowieszczym prognostykom, iż legioniści bić się nie zechcą, wyprawa ta uwieńczona została jaknajpomyślniejszym rezultatem. Pozostawiając w Strassburgu formujące się powolnie szwadrony jazdy, wyparł Kniaziewicz przy pomocy brygady francuskiej kawaleryi przeciwnika z Hatterschein i z Hühst, gdzie cesarscy usiłowali go zaskoczyć od tyłu, lecz odparci z znacznemi stratami, musieli się cofnąć. Nierównej tej walce przypatrywali się obojętnie komendanci posuwających się tuż opodal korpusów francuskich. Atoli Kniaziewicz nie odpłacił im pięknem za nadobne, gdyż w kilka dni później widząc Francuzów, zaatakowanych zniemacka przez nieprzyjaciela, corychlej pospieszył im na pomoc. Pomyślny przebieg kampanii dodawał generałowi otuchy. Spodziewał się, że już w najbliższej przyszłości wkroczy na czele legionistów w ojczyście strony. — Nie mogę się dość nachwalić oficerów i żołnierzy odwagi — pisze Kniaziewicz w ostatnich dniach czerwca do Wybickiego. — Sami Francuzi w tym punkcie Polakom pierwszeństwo przyznają a tak krótka ta kampania legii naddunajskiej listek dębowy dała. Lecz czas zawieszenia broni i traktowanie o pokój ludziom światłym i konsyderowanym u rządu francuskiego pięknie otwierają pole, ażeby o restauracyi Polski pomyśleć. Jeżeli ten moment zaniedbamy, to się drugi nie prędko zdarzy. Zdaje się, że Bonaparte narodem

granice przepisz. My mając blisko niego Kościuszkę, spodziewać się powinniśmy, że Bonaparte i na północy na czele wolnego narodu, równie jemu wielkiego człowieka postawić zechce. I tak śpiewając: *Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę...* aż do Warszawy dojdziemy, gdzie ja już nie wchodząc w to, czy pięciu dyrektorów, czyli też trzech konsulów mieć mamy, sobie tylko urząd buńczuczny waruję!... Jeżeli przypadkiem ten sen, tak piękny, nie ziści się i jeżeli przy pokoju o nas zapomną, to pałasz za piecem zawiesiwszy, do lemiesz się biorę, bo mnie już życie żołnierskie znudziło. Drzewiecki daje mi włokę pola, fundusz aż nadto dla mnie dostateczny...

Sielankowe to marzenia nie przeszkodziły wszakże dzielnemu wodzowi w odnoszeniu dalszych nad nieprzyjacielem przewag. Bił się szczęśliwie z Austryakami pod Berghen, zaraz potem zniósł ich w Bornheim i wyparł z Offenbach. Kapitulacya francuzka była powodem, iż korpus Kniaziewicza przeznaczono na obserwacyę twierdzy Filipsburga, podczas gdy armia austryacka cofała się na całej linii i nie oparła się aż w warownym obozie pod Ulmem, straciwszy w odwrocie niemal połowę żołnierza. Moreau nie ścigał zbyt natarczywie cesarskich, gdyż zależało mu przedewszystkiem na utrzymaniu łączności z armią włoską, a zresztą odparcie nieprzyjaciela ku brzegom Dnnaju było głównym celem podjętej przez niego wyprawy. W ostatnich dniach czerwca armia republikańska stanęła w Monachium, zaś zawieszenie broni, umówione w Parsdorfie, (dnia 15 lipca), spowodowało dłuższą przerwę w działaniach wojennych. Na podstawie rozejmu zajęli legionści Filipsburg a następnie wyznaczono im leże w okolicy Braunau, gdzie Kniaziewicz, świeżą okryty chwałą, otrzymał od naczelnego wodza poufną wskazówkę, by korzystając z chwili wolnej, udał się do Strassburga celem uśmierzania rokowań niechętnych mu podkomendnych.

Pozostał — jak wiadomo w tem mieście — zakład dla formacyi kawalerji legionu, w którym wiele niespokojnych duchów znalazło punkt oparcia. »Dyszac nienawiścią« prze-

ciw królom i arystokratom, jak na prawdziwych demagogów przystało, warchoły owi nieustannie wywodzili żale przeciw Kniaziewiczowi, zarzucając mu odłączenie się od Dąbrowskiego to znów nieposłuszeństwo wobec Kościuszki. Oburzał ich nawet brak tytułu wojska posiłkowego, którego to miana nie zdołał generał wykołatać dla legii naddunajskiej u władz naczelnych. Rej wśród krzykliwych malkotentów wiódł szef szwadronu, Aleksander Roźniecki, tak smutnie zapisany później w dziejach armii królestwa kongresowego. On to obwiniał Kniaziewicza o rozmyślne opóźnianie formacji legionu i na złożonej w tym duchu skardze zgromadził podpisy niezadowolonych oficerów, by ohydny ten dokument przedstawić naczelnie dowodzącemu wojskami republikańskimi w Niemczech generałowi Moreau. Ten ostatni skargę wraz z ostrzeżeniem o potajemnych knowaniach odesłał Kniaziewiczowi, dając mu równocześnie upoważnienie do ukarania winnych. Za przyjazdem na miejsce, zawezwał generał swych oskarżycieli i przeczytawszy pismo naczelnego wodza, w te do zmieszanych odezwał się słowa:

— Polecił mi wódz naczelny, abym panów ukarał. Oto to jest moje ukaranie! — Tu rozdarł dokument, na którym widniały podpisy oficerów i dodał po chwili:

Chciałbym o tem zapomnieć, lecz boleję, że między moimi oskarżycielami znalazłem imiona i takich kolegów, na których przyjaźń z ufnością liczyłem!

Taką była szlachetna zemsta generała, którą odczuł wszakże w całej pełni szef sztabu, Gawroński, związany od lat dawnych z Kniaziewiczem węzłami osobistej przyjaźni. Przekonawszy się, że padł ofiarą intrygi Roźnieckiego, nie mógł przeżyć dzielny żołnierz hańby i skończył samobójstwem rzuciwszy się w nurty Renu. Natomiast główny sprawca denuncjacyi umył w chwili stanowczej ręce od wszystkiego i zdołał się utrzymać na stanowisku szefa szwadronu jazdy.

W ostatnich dniach listopada t. r. rozpoczęły się ponownie działania wojenne nad Innem, którego brzegów broniła

armia austriacka, wzmocniona do stu trzydziestu tysięcy żołnierza. Dowodził nią naczelnie ośmnastoletni młodzian, arcyksiążę Jan. Młodzieniec ten, zachęcony szczęśliwym dla jego oręża spotkaniem pod Ampfing, (w dniu pierwszym grudnia), porzucił obronne swe pozycje i dążył pod Hohenlinden, gdzie skupiły się główne siły Francuzów. W dniu drugim grudnia część armii cesarskiej odpoczywała w lasach, okalających Hohenlinden, podczas gdy poszczególne jej korpusy ściągały się na wyznaczone stanowiska, posuwając się wolno po nieprzebytych niemal drogach oraz zarosłach, niezmiernie utrudniających pochód. Tymczasem Moreau rozwinął swe zastępy na równinach pod Hohenlinden i przekonawszy się, że wszystkie korpusy nieprzyjacielskie dążą do tej miejscowości, dał rozkaz dywizjom generałów Richepence'a i Decaen'a tudzież oddziałowi Kniaziewicza, by przedarłszy się przez lasy około Matenbott, uderzyły z tyłu na Austryaków. O świcie trzeciego grudnia Kniaziewicz, poprzedzony przez Richepence'a zapuścił się w lasy. Za nim postępował Decaen. Tymczasem rozpoczęła się batalia pod Hohenlinden. Cesarscy, nie wiedząc co się dzieje za ich plecami, rzucili się na bronioną przez Francuzów krawędź lasów a Moreau ograniczał się na odpornem działaniu, czekając chwili, w której wysłani przez niego generałowie osaczą dokładnie przeciwnika. Tak się też stało. Wprawdzie Richepence natknął po drodze na silny korpus austriacki, dowodzony przez generała Rejscha, ale nie zatrzymując się w pochodzie, rzucił przeciwko niemu jedną swą brygadę, licząc nie bez racji na to, że dążący za nim Kniaziewicz, pospieszy jej w pomoc.

I nie omylił się w swej rachubie, gdyż w chwili, gdy Francuzi zabierali się już do odwrotu, parci przeważnemi siłami cesarskich, zjawił się na pobojowisku Kniaziewicz i uderzył z taką gwałtownością na znużonego już walką Rejscha, iż korpus jego w pół godziny później poszedł w rozsypkę. Uciekających ścigała nasza jazda, biorąc jeńców bez liku i działa, porzucone przez obsługę. Ale Kniaziewicz nie za-

pomniął o głównym celu swej wyprawy i pędząc przed sobą nieprzyjaciela, dążył pospiesznie pod Matenbott, gdzie Richепence bił się równocześnie z zastępującą mu drogę węgierską piechotą. O godzinie pierwszej z południa Kniaziewicz wraz z Richепencem i Decainem spadli, gdy piorun, na tyły głównej armii austriackiej, podczas gdy Moreau przeszedł z odpornego działania w zaczepne. Austriacy, zaatakowani ze wszystkich stron, nie dotrzymani placu i jęli ustępować w stronę Wasserburga a niebawem ich odwrót przeobraził się w bezładną ucieczkę. O godzinie piątej z południa pogrom cesarskich był faktem spełnionym. Ośm tysięcy nieprzyjaciela legło na placu boju, dwanaście tysięcy wraz z całym taborem i z ośmdziesięcioma działami dostało się do niewoli. Wynik tak fortunny batalii przypisywał Moreau z uznania godną bezstronnością Kniaziewiczowi i Richепence'owi, którzy odtąd stanowili przednią straż armii republikańskiej.

Pod Mühldorf przekroczył Kniaziewicz rzekę Inn po belkach rozrzuconego mostu. Nie chcąc opóźnić pochodu, siadł generał na belkę, gdyby na konia i przedostał się szczęśliwie na drugą stronę. Za jego przykładem poszli strzelcy, choć wołali: my nie jazda! i wśród wesołego śmiechu, w ciągu niespełna godziny cała komenda Kniaziewicza znalazła się na przeciwnym brzegu rzeki. W dniu dwunastym grudnia bili się legioniści pod Salcburgiem, torując drogę Francuzom wśród przejsćcia, wykutego w skałach a bronionego przez liczną artylleryę oraz piechotę. Pośród gradu kul i pocisków działowych, legion nie odpowiadając wcale na strzały, biegł nieustraszenie ku ukrytym na załomem góry działom. Bębny były krok podwójny, a w stanowczej chwili rozległa się wśród naszych komenda: Na bagnety! W mgnieniu oka działa, ustawione na zakręcie drogi, dostały się w ręce legionistów, którzy w niepohamowanym impecie wykłuli co do nogi kanonierów oraz broniącą armat piechotę, co widząc dalsze baterye, umilkły już po jednym wystrzale i zaprzodkowawszy działa, umykały ku Salcburgowi. W ślad za uciekającymi

szedł Kniaziewicz i opanował most na rzece, zanim nieprzyjaciel zdołał pospieszyć w pomoc swoim, broniącym przeprawy. Bił się jeszcze generał pod Wels i Lincem a w dniu dwudziestym grudnia zajął Kremsmünster. W pięć dni później stanął formalny rozejm w Steyer, w myśl którego Austria oświadczała gotowość do zawarcia traktatu pokojowego bez oglądania się na swych sprzymierzeńców. Linia demarkacyjna, ciągnąca się od Würzburga po Styryę, dzieliła obie armie zaś zwycięzcy w zajętych prowincjach rządili się gdyby we własnym domu. Odznaczali się pod tym względem niektórzy generałowie armii republikańskiej, którzy zapomniawszy zbyt rychło może o swem pochodzeniu z najniższych warstw ludowych, rozwijali w kwaterach przepych istic monarszy kosztem nieszczęśliwych, zniszczonych wojną mieszkanców. Inaczej postępował Kniaziewicz, który zawsze starał się zajmować ustronną kwaterę, aby nie być przymuszonym do utrzymywania domu na stopie równych mu rangą komendantów. Zanim jednak opuścił stare opactwo w Kremsmünster, wystosował generał do swego dowódcy, generała Moreau, list następującej treści:

«Kroki wojenne ustały. Traktat pokoju postanowi o losie wielu ludów. Nie wiem, jaki będzie los mojej ojczyzny. Pozwól jenerale, abym wystawił naprzód, jak zapatruję się na stan wojskowy. Podług mnie jest to stan najszanowniejszy, jeżeli żołnierz przelewa krew swą za ojczyznę i tenże sam żołnierz staje się najemnikiem, jeżeli nim inne powodują widoki. Kiedy wszedłem w służbę rzeczypospolitej francuzkiej, Francya prowadziła wojnę z ciemieżcami mojej ojczyzny. Szkodzić im, o ile możności, było zenstą prawą dla Polaka. Miałem prócz tego nadzieję, że wojna zmieni smutne położenie kraju. Gdyby pokój powszechny nie miał zmienić losu Polski, jakież prawo miałbym szafować krwią współziomków moich w sprawie, któraby nie była sprawą ich ojczyzny? Zaiste, słuszniebym wtenczas zasłużył na miano najemnika. Jenerale, co do mnie, jużemto postanowił: Opu-

szczę najpiękniejszy zawód, pójdę uprawiać kawałek roli, szczęśliwy, że mogłem dowieść współziomkom, iż zachęcając ich do łączenia się ze mną, nie miałem żadnego osobistego widoku. Ale jakież będzie los podwładnych moich, którzy opuścili rodziny, majątki, ojczyznę? Czy będą mieli prawo wrócić na tę ziemię, gdzie z powodu ich oddalenia rodziny ich uległy prześladowaniu? Ci zaś, którzy wrócić nie zechcą, czy znajdą we Francyi drugą ojczyznę, bośmy dotychczas uważani tylko jako wojsko posiłkowe, które wnet zniknie dla braku takich, którzyby ubytki zapełniali. Obowiązek nakazuje mi zatrudnić się losem podwładnych. Chciej więc jenerale wskazać mi sposoby, mogące zapewnić ich przyszłość. Udaję się po radę i opiekę do przełożonego, który zawsze zaszczycał mnie swoją życzliwością.»

Na pismo to, noszące datę 20. grudnia 1800 roku, krótko i ogólnikowo odpowiedział Moreau, donosząc Kniaziewiczowi, iż list jego odesłał pierwszemu konsulowi. »On jeden wśród negocyacji ogólnych, jakie się mają rozpocząć« — pisał wódz armii nadreńskiej — »może mówić o sprawie waszej i ją popierać. Ludzie, za sprawę wolności tak świetnie walczący, jak mężni Twoi współziomkowie, powinni być przekonani o szczerem zajęciu się nimi rządu, któremu służyli... Czuł wszakże Moreau niedostateczność owego zapewnienia i dlatego odjeżdżając do Paryża, zabrał z sobą Kniaziewicza. W Strassburgu witała przybywających jenerałów odświętnie przybrana ludność miejscowa, a kobiety ofiarowały zwycięzcy z pod Hohenlinden wspaniałe wieniec wawrzynowy. Moreau przyjął dar, lecz z grzecznością prawdziwie francuzką nie omieszkiał dodać w tej chwili:

— Widzicie obok mnie jednego z współuczestników wyprawy. Pozwólcie, abym z nim podzielił wieniec. Niech on przyjmie część jego i podzieli się nim także z swą bracią...

Życzliwe te słowa znakomitego wodza, uważanego w swoim czasie za współzawodnika Napoleona pod względem

sztuki wojennej, były też jedyną zapłatą za krew, przelaną przez Polaków podczas ostatniej kampanii.

Jadąc do Paryża, łudził się jeszcze Kniaziewicz możliwością zerwania układów pokojowych i dalszej wojny z Austryją.

— Legia teraz jest w zupełnym komplecie — pisał do Wybickiego w dniu 26. stycznia 1801 roku z Strassburga. — Sześć tysięcy zatem walecznych Polaków, których w kaszy zjeść nie można. Co jednak z nami zrobić myślą, wkrótce się okazać musi, jeżeli pokój nastąpi. Wiele jest takich, którzy w pokój nie wierzą...

I te przewidywania zawiodły, gdyż podczas targów pokojowych, toczących się w Luneville, pierwszy konsul, marzący już o monarszej purpurze, miał przedewszystkiem na celu zbliżenie się do Rosyi oraz do Prus i zaokrąglenie granic francuskich wyłącznym kosztem świeżo pokonanej monarchii Habsburgów. O przypomnieniu kwestyi polskiej dworom rozbiorowym nie było przeto i mowy. Granice republiki stanowić miały odtąd Ren i Adyga. W przeciwnym razie groził Napoleon odnowieniem kroków wojennych i dyktowaniem warunków przyszłego pokoju we Wiedniu. Tak więc pełnomocnicy austriaccy zgodzić się w końcu musieli na ciężkie warunki zwycięzcy, któremu w traktacie lunevilskim, (dnia 9 lutego 1801 r.), odstąpiono 1.150 mil kwadratowych z ludnością, liczącą trzy i pół miliona głów. Jakkolwiek jednak Bonaparte uznał za stosowne przemilczeć o losie Polski przy układach, których wynik od jego wyłącznie zależał woli, to mimo to nie myślał o pozbyciu się legionów, których męstwo na polu bitew dostatecznie nauczył się cenić. Nie chciał ich wszakże zatrzymywać w służbie Francyi, sądząc, że krok tego rodzaju mógłby być niemile widziany w Petersburgu lub w Berlinie i z tego powodu nosił się z zamiarem pozostawienia legionistów na żoździe rzeczypospolitej cyzalpińskiej, której rządy faktycznie w jego spoczywały rękę, jakoteż nowo powstałego królestwa Etruryi, uległego wazala Francyi. Kniaziewicz, przekonawszy się w stolicy o prawdziwości krząją-

cych w kołach wojskowych pogłosek co do przyszłych losów legionu, zażądał uwolnienia od służby i mimo przedstawień ówczesnego ministra wojny, Berthiera, wytrwał w swem postanowieniu. W odpowiedzi na zachęcające wezwanie ministra, by i nadal zatrzymał komendę legii naddunajskiej, odpowiedział nasz generał ze zwykłą mu szczerością, iż straciwszy przekonanie, że służy sprawie ojczystej, czuje się niezdolnym do służby tak pod względem moralnym jak i fizycznym i z tego powodu domagać się musi dymisji. — Ponieważ pokój przez Francję z zupełnem zapomnieniem o Polsce zawarty został — pisze Kniaziewicz w swej autobiografii — osądziłem przeto, iż ani chwili dłużej w wojsku francuzkiem pozostać nie powinienem. Ponowiłem zatem prośbę o danie dymisji z oświadczeniem, iż taką jest niezmienna moja wola i dymisya udzieloną mi została...«

W dniu pierwszym maja 1801 roku złożył Kniaziewicz komendę legii naddunajskiej i opuścił szeregi armii, lecz dalekim był od zachęcania swych podkomendnych do rzucania sztandarów, pod którymi tak chlubnie walczyli. Przeciwnie, gdy Fiszer zawiadomił generała o zamiarze podania się zbiorowego do dymisji, żywionym przez znaczną część oficerów legii, odradzał im Kniaziewicz w sposób jak najbardziej stanowczy uczynienie tego kroku. — Powiesz mi może, czemu ja was w takim przypadku opuszczam — pisał generał w dniu piętnastym maja t. r. do Fiszera — lecz tu stan mój i Dąbrowskiego innego jest rodzaju. Nam, którzyśmy legie uformowali, słusznieby wymówić można, żeśmy swych rodaków uwodzili i sakryfikowali, żeby swoją egzystencję we Francji zapewnić. My się przed światem inaczej usprawiedliwić nie możemy, że nas nadzieja oszukała, jak powracając do ubóstwa. Minister wojny równie mi czynił propozycje, żebym się ze służby nie oddalił, lecz kiedy nic nie pomogło, przysłał mi abszyt i pozwolenie jechania do kraju. Na tom był mu przymuszony napisać, że nie zna mego sposobu myślenia, kiedy rozumieć może, że ja przed nieprzyjaciółmi mojej ojczyzny

upokorzyć się mogą. Od przyjeżdżających z kraju dowiaduję się, iż ministrowie francuzcy przy innych dworach już polakom paszporty do Francyi utrudniają, tych zaś, którzy z Francyi wracają, odsyłają w Paryżu do ministrów, dzielących Polskę, gdzie Lucchesini ich z urąganiem przyjmuje. Spodziewać się trzeba, że wracający będą przestrzegani od rządów jako ludzie, którzy się miłością ojczyzny otwarcie prononsują. Los zatem Polaka okropny: jurgieltnikiem, albo tułaczem być trzeba, póki się nieba nad tym narodem nie ulitują!... Ja się w malarstwie doskonałą, za rok najdalej sam sobie na chleb zarobić potrafię...

Studia artystyczne, których nieliczne zresztą ślady w postaci kilku minatur i krajobrazów istniały w swoim czasie w zbiorach Radziwiłłów w Nieborowie oraz w kolekcyi Rastawieckiego, nie długo zatrzymały Kniaziewiczza wśród obcych. W roku następnym, (1802), Drzewiecki wraz z Fiszerem wracając do kraju, odnaleźli jenerała w Strassburgu i nakłonili go, by podążył do ojczyzny. Wraz z dawnymi towarzyszami broni udał się Kniaziewicz do Warszawy a następnie na Wołyń.

\* \* \*

— Rozpamiętując w zaciszu, com dla ojczyzny uczynił — pisał jenerał w pożegnalnym piśmie do Berthiera — oczekiwać będę chwili, w której mnie kraj na nowo do służby powoła... Słowa te nie były stylistycznym frazesem, gdyż opuściwszy szeregi, udał się Kniaziewicz z powrotem do kraju, zamierzając przodków zwyczajem szablę na lemiesz zamienić. Z gotowizną stu ludorów, stanowiącą całe jego mienie, przybył nasz bohater na Wołyń, gdzie książę Eustachy Sanguszko puścił mu w dzierżawę na dogodnych warunkach wieś Zieleńce. Zaczął więc gospodarzyć dzielny legionista, choć z początku szło mu to oporem dla braku potrzebnych wkładów. Ubóstwo w domku skromnego dzierżawcy było widocznie na każdym kroku. Zwycięzca w licznych bitwach, zdobywca zasobnych taborów króla Ferdynanda, przez dłuższy czas posiadał w swym kredensie tylko dwie łyżki srebrne, a co gorsza, nie mógł się

zdobyć na zakupno potrzebnego mu przy istniejącej we wsi gorzelnii inwentarza. Gumienny, przy którego pomocy generał gospodarzył, przypominał mu wielokrotnie zakupno wołów opasowych, nieodzownych, jeżeli braha nie miała przepaść bez pożytku. W końcu Kniaziewicz, przyparty do muru przez swego doradcę ekonomicznego, wyznał mu szczerze a otwarcie, że nie posiada pieniędzy na tak znaczny wydatek. Wówczas stary gumienny, chłop miejscowy z dziada i pradziada, przyniósł mu własne, krwawicą zarobione oszczędności, ofiarując pożyczkę. Zdumiał się dawny żołnierz na ów objaw przychylności i pytał, czem na nią zasłużył:

— *My znajemo, szczo wy były z Kościuszkom* — brzmiała prosta odpowiedź wieśniaka, świadcząca aż nadto dobrze o czci, jaką otoczone było w wyobraźni ludowej imię Naczelnika w sukmanie.

Niebawem między chłopstwem zielenieckim a ubogim posesorem — jak wówczas powszechnie nazywano dzierżawców — nawiązały się stosunki prawdziwej życzliwości i wzajemnej pomocy, o których generał do ostatnich chwil życia najlepsze zachowywał wspomnienie. W miarę wzrastającego dobrobytu, począł Kniaziewicz udzielać się sąsiedztwu, w gronie którego znalazł się Józef Drzewiecki, nieodstępny jego adjutant podczas kampanii we Włoszech i nad Renem a i u ks. Sapieżyny, posiadającej dobra w pobliżu, rycerski i zawsze pełen galanterii wobec dam legionista mile widzianym był gościem. Konwenanse światowe nie przeszkodziły mu wszakże w otwartym i stanowczym wyrażaniu przekonań politycznych. Stroniąc zawsze i wszędzie od przewodników i zwolenników Targowicy, przestał generał bywać u Sapiechów, dowiedziawszy się, iż do księstwa zawitał w dłuższą gościnę powinowaty ich, Branicki, a na pytanie księżny o powód dłuższej niebytności, odpisał krótko a węzłowato:

— Boję się nieboszczyków...!

Księżna nie zrozumiała w pierwszej chwili aluzji, uczynionej z powodu wyroku śmierci, wydanego przez trybunał

rewolucyjny przeciw hetmanowi i pokazała kuzynowi otrzymaną odpowiedź.

Jenerał się myli — zauważył krótko Branicki — ja zawsze chciałem dobra ojczyzny...

Dłuższy pobyt na wsi i praca na roli zrobiły z żołnierza, przywykłego do ruchu i rygoru, zamiłowanego gospodarza, który nie poprzestając na chlebobajnym zajęciu, starał się zbliżyć do otaczającej go przyrody i zbadać jej tajniki. Z szczególniejszem upodobaniem zajmował się Kniaziewicz pszczelnictwem, chował pszczoły w szklanych ulach i odnośne spostrzeżenia zapisywał w osobnym dzienniku, który jeden z jego przyjaciół, Kołyszko, ogłosił drukiem w Berdyczowie około roku 1807 p. t. *Dwuletnie doświadczenia*. Niemniej też bacznie przypatrywał się bezzenny, mimo czwartego krzyżyka, jenerał bocianom, dla których przygotowywać kazał gniazda i zbierał troskliwie wszelkie podania, krążące o tych ptakach między ludem wiejskim.

Wówczas też prawdopodobnie powstała pierwsza i jedyna, obszerniejsza praca literacka Kniaziewicza nosząca tytuł niezwykle aktualny: *Czy Polacy mogą się wybić na wolność?* Dziełko to oczywiście wyszło bezimiennie i po rewolucyi listopadowej doczekało się licznych wydań. Wprawdzie jako miejsce i data figurują: Perekop nad Donem tudzież rok 1800, jednakowoż kształt czcionek zdaje się wskazywać na na tłoczenie książki w oficynach wrocławskich, zaś wyrażone w niej poglądy zdradzają powstanie tej publikacji już po dojściu do skutku traktatu lunewilskiego, (1801 r.). Treść właściwą broszury poprzedza przedmowa autora, uzasadniająca cel ogłoszenia tejsze. — Zdaje się, — czytamy w przedmowie — iż złożę całopalną ofiarę na ołtarzu ojczyzny, gdy myśli me otworzę względem nabycia jej niepodległości, skoro pokażę współziomkom wady, które im przeszkadzały, aby się wzniesli do tego stopnia, iżby wrażli obcym szacunek dla siebie a wewnątrz zatwierdzili szczęście; równie jak gdy oddam sprawiedliwość przymiotom, które ich do potęgi doprowadzić mogą...

W roku 1803 zamianowany został generał w uznaniu zasług wojennych we Włoszech i nad Renem położonych komandorem świeżo przez Napoleona ustanowionej legii honorowej. Odznaki tego orderu doręczono Kniaziewiczowi za pośrednictwem ambasady francuzkiej w Petersburgu właśnie w chwili, gdy wielki książę Konstanty przejeżdżał przez Wołyń. Jenerała nie ominęło oczywiście zaproszenie na jedno z oficjalnych przyjęć, zgotowanych przez okoliczne ziemiaństwo dla cesarzewicza, więc przybywszy na obiad galowy wystąpił ze wstęgą legii na piersi. Przyjaciele Kniaziewicza, wiedząc o niechęci Konstantego dla republikańskiej Francyi, starali się go nakłonić do odłożenia zaszczytnej odznaki, której widok, jak sądzili, wywoła gniew popędliwego księcia... Ale jenerał nie myślał wcale ustąpić trwożliwym perswazyom.

— Jak to? — zawołał — Ja miałbym się lękać ozdobić pierś moją krzyżem, na który krwawo w tyłu bitwach za ojczyznę zasłużyłem? Przenigdy! Zobaczymy! — i poprawiwszy purpurową wstęgę, by była jeszcze widoczniejszą, wszedł pewnym krokiem do sali, w której znajdował się już Konstanty wraz z całą świtą. Cesarzewicz zmierzył ostro wzrokiem wchodzącego, lecz zaraz się powściągnął i zbliżywszy się szybko do wchodzącego, zawołał głośno:

— Na takich piersiach, to i ten order pięknie się wy-daje! — poczem ujawszy jenerała pod rękę, posadził go przy sobie, rozmawiając z nim podczas obiadu o kampaniach włoskich i niemieckich.

Następnie trzechlecie spędził Kniaziewicz w swem wiejskiem ustroniu, do którego od czasu do czasu dolatywały wieści o świeżych sukcesach pierwszego konsula, który ogłosiwszy się cesarzem, zdawał się szczerze pragnąć wskrzeszenia Polski niepodległej, zwłaszcza gdy po uśmierzeniu Prus ujrzał konieczność wiedzenia dalszej walki i obliczył korzyści, jakie mu w boju tym oddać mogą Polacy. Wieść o wkroczeniu wojsk francuskich w jesieni 1806 roku do Polski, wiadomości o posłannictwie Dąbrowskiego i Wybickiego, którzy

z upoważnienia władcy Francuzów wzywali naród cały do broni, zniewoliła i samowładcę Rosyi do głoszenia zamiarów wskrzeszenia Polski. Chcąc czynem stwierdzić słowne obietnice a zarazem wywołać rozdwojenie wśród polskiego ogółu, podjął car Aleksander myśl stworzenia w Krajach Zabrzanych wojska narodowego. Potrzeba mu było w tym celu męża głośnego imienia, zasług niepospolitych, prawego charakteru, któryby mógł zrównoważyć wpływ Dąbrowskiego, organizującego bratnie zastępy w Poznaniu. Przypomniano carowi Kniaziewiczza i zaraz też wysłano do niego kuryera z wezwaniem, by co rychlej stawiał się w głównej kwaterze rosyjskiej. Udał się generał do Taurogów i zanim jeszcze zdołał dowiedzieć się u dworu, gdzie i kiedy ma się stawić przed carem, gdy już otrzymał posłuchanie.

— Jenerale! — rzekł car do przybyłego — twoje talenty wojskowe i patryotyzm są mi znane, lecz chciałem jeszcze osobiście Cię poznać. Chcę także poradzić się ciebie w sprawie wielkiej wagi. Podział Polski jest to czyn niesprawiedliwy a nawet niepolityczny. Życzę sobie naprawić jedno i drugie. Jestem przygotowany odbudować Polskę, żądam, aby korpus polski był organizowany i tobie jenerale powierzam nad nim dowództwo. Znasz lepiej jak ja sposób myślenia twoich rodaków a tem samem jesteś w stanie lepiej osądzić, czy mój projekt będzie przez nich tak przyjęty, jak ja sobie życzę. Wzywam cię, abys szczerze powiedział mi twoje zdanie...

Zdziwiony, zdumiony nawet treścią zadanego pytania, mileżał Kniaziewicz przez chwil kilka, by po namyśle odpowiedzieć w te słowa:

Najjaśniejszy Panie! Upoważniasz mnie do objawienia otwarcie zdania, wykonam więc Jego rozkaz. Dwa lata temu cały naród niósł dla Ciebie życzenia Najjaśniejszy Panie, bo wiadome było, że zamierzasz się przyłożyć do odbudowania Polski. Dziś, Najjaśniejszy Panie, okoliczności zupełnie się zmieniły. Naczelnik narodu francuzkiego uzbroił część narodu polskiego i przybiecał polityczną niepodległość Polski

Jakaż więc byłaby przyszłość Polaków, uzbrojonych przeciw Polakom? Armia polska, teraz uorganizowana pod wodzą Waszej Cesarskiej Mości, miałaby przeznaczenie walkę toczyć ze swoimi braćmi. Powstałaby wojna domowa. Najjaśniejszy Panie, mam przekonanie, że w mądrości Swojej znajdziesz inne środki, aby spełnić szlachetne uczucia Twojego serca i gorące życzenia narodu polskiego.

Usłyszawszy te słowa, pełne godności i szczerości zarazem, car obrzucił generała bystrem spojrzeniem i zmienił natchmiaszt przedmiot rozmowy. Przechadzając się z Kniaziem po sali, rozpytywał go o rozmaite szczegóły neapolitańskiej wyprawy, o stosunki wołyńskie. Kwestyi politycznej już nie poruszał lecz przy pożegnaniu podał odchodzącemu rękę, mówiąc:

— Szanowałem Cię generale, lecz teraz szanuję Cię tem więcej...

Gdy Kniaziewicz opuścił już salę audyencyonalną, spotkał go książę Adam Czartoryski i pytał o przebieg posłuchania. Generał powtórzył mu dosłownie treść rozmowy, poczem książę, ścisnąwszy dłoń jego, szepnął,

— Dobrześ zrobił, czas przeszedł...

W kilka dni później, wieść o bytności Kniaziewicza w głównej kwaterze carskiej doszła do Warszawy i Napoleon z całą stanowczością zapewnił otaczające go osoby, iż Kniaziewicz nie przyjmie propozycji cara Aleksandra...

Nie łudził się też doświadczony żołnierz obietnicami napoleońskimi i dlatego formacya armii księstwa warszawskiego nie zdołała go zachęcić do powrotu w szeregi. Co prawda i o paszport do Warszawy nie było łatwo mieszkańcom Wołynia, gdzie zatrzymywały generała zamiary matrymonialne. Poznał on wówczas i pokochał panią Marję z Morsztynów Stecką, wdowę po Karolu Steckim, pułkowniku wojsk polskich, a matkę słynnej z urody Aleksandry, wydanej później za księcia Michała Radziwiłła, wodza naczelnego w roku 1831. Pani Marya, była synową znanego z dostatków i z rządności

Jana Steckiego, chorążego koronnego i rodzina jej niemiłym zrazu okiem spoglądała na zaloty ubogiego dzierżawcy do zamożnej wdowy. Takby przynajmniej wnosić należało z listu Kniaziewicza, pisanego w pierwszych dniach kwietnia 1808 roku do szefa Drzewieckiego. Pismo to wyprawił generał świeżo powróciwszy z stolicy księstwa warszawskiego. — Z Warszawy prawie dezertkowałem — słowa listu — tak mię żadnym sposobem puścić nie chcieli i kto wie, czy na wiosnę tam nie powrócę, lecz pod kondycjami niepłonnymi... Moje ożenienie także między zamki na powietrzu liczę, bo to ma dopiero nastąpić po Świętym Janie, jeżeli znowu w tej porze śmierć jakiego krewnego starego temu nie przeszkodzi...

Widocznie jednak w projektowanym związku zaszyły jakieś przeszkody, gdyż z wiosną 1809 roku generał, wybierając się do Warszawy, pisze znów do przyjaciela Drzewieckiego: Posłałem ci kopie listów pani Steckiej do pani kasztelanowej. Zgadnij i domyślaj się, czego ona chce, *car c'est du grec pour moi...* Dopiero w lecie roku następnego, (1810), długo odkładane zaślubiny przysły do skutku. Nie ominieszkał o tem uwiadomić Kniaziewicz poczciwego szefa, do którego w dniu jedenastym sierpnia wyprawił z Porycka pismo następującej treści:

«Musiałem tu wstrzymać twego posłańca do tego momentu, ażeby Ci mógł dać finalną wiadomość o moim losie. Nieba wszystko szczęśliwie zrządziły i dzień dziewiąty septembra jest dniem mego ślubu, ale potrzeba, żeby mój najdroższy przyjaciel był świadkiem mego szczęścia wraz z żoną dobrodziejką, bo inaczej miałbym szczęście moje za niekompletnie doskonałe. W Porycku będzie nasze wesele, lecz tak partykularnie, że prócz Ciebie i kochanej a szanownej twojej żonki, tu nikt nie będzie, nikt nawet o dniu naszego ślubu wiedzieć nie powinien. Stecki chorąży, nietylko, że pozwolił na nasze zamęście, ale tak mnie polubił, że powiada, iż mię jak własnego syna uważa. Jutro, albo najdalej pojutrze będę w Łucku u biskupa po indult a ztamąd jadę prosto do siebie, gdzie do trzeciego septembra zabawię...»

Nieznamy odpowiedzi Drzewieckiego na owe zaprosiny. Musiał wszakże pan szef przyrzec prawdopodobnie swą bytność na weselu dawnego wodza, gdyż w kilka dni później znów jenerał szle do niego umyślnego posłańca, dziękując za obietnicę.

— Czytając list twój — pisze Kniaziewicz do przyjaciela — nie można powątpiewać, że jesteś szczęśliwy w stanie małżeńskim, bo tylko szczęśliwy tak pięknymi kolorami przyszłe moje szczęście odmalować zdolnym, jakieś go ty uczynił. Twój list biorę za szczęśliwą wróżbę dla siebie i rozumię, że my odtąd na wyścigi o naszym szczęściu mówić będziemy... Wyjeżdżam w niedzielę po ostatnie błogosławieństwo do chorążego Steckiego... piątego chcę być u nóg mej bogini. Ciebie z niecierpliwością oczekiwać będę siódmego w Porycku, ażeby poprzednio wziąć niektóre nauki i przestrogi, potrzebne do przyszłego stanu, które mnie jako kawalerowi może nie są wiadome...

Jakoż ślub odbył się w Porycku, w domu Czackich, dziesiątego września t. r. i nowożeńcy przenieśli się do dóbr jenerałowej w krakowskie. Osiedli w Czarkowie pod Wislicą a Kniaziewicz nie poprzestając na gospodarstwie rolnem, zajęł się eksploatacją miejscowych kopalni siarki i zaczął też na większe rozmiary kopać torf, który w tej bezleśnej okolicy mógł znaleźć licznych odbioreców, celem opalania gorzelnii i browarów.

Piękną rezydencję jenerałostwa opisuje w *Podróżach historycznych* Niemcewicz, który w roku 1811 odwiedzał Kniaziewiczów w Czarkowie. W marcu roku następnego bawił jenerał wraz z żoną w Warszawie. Donosi o tem Drzewieckiemu w liście, pisany w połowie marca t. r. — Warszawa — pisze jenerał — była przez czas karnawału dość wesoła, chociaż cały świat na drożyznę narzeka, przytem taka drożyzna, że skromnie żyjąc do pięciuset dukatów miesięcznie ekspensujemy. Dla wzmocnienia żony do wód się w maju wybieramy, lecz nie wiem, czy ten projekt do

skutku przyjdzie, gdyż się znowu horyzont polityczny zamurza i zgadnąć nie można, gdzie piorun uderzy...

Grom niebawem uderzył.

Napoleon rozpoczął *drugą wojnę polską* — jak ją nazywał w rozkazie dziennym do wielkiej armii wydanym i Kniżewicz, dotychczas z niedowierzaniem śledzący politykę władcy Francuzów, dał się porwać ogólnemu zapałowi. Uwierzył, że chwila wskrzeszenia Polski wybiła i rzuciwszy dopiero co założone ognisko domowe, powrócił do czynnej służby. Zamianowany w dniu 25 maja 1812 r. generałem dywizyi, pozostawał zrazu przy boku króla westfalskiego, Hieronima, dowodzącego prawem skrzydłem armii. Po przejściu Niemna, (w dniu pierwszym lipca), Kniżewicz, wysłany do ks. Schwarzenberga, komendanta posiłkowych wojsk austriackich, miał sposobność do przekonania się podczas omawiania planu wspólnej akcji o nieszczerości tych sprzymierzeńców, lecz ostrzeżenie jego nie odniosło niestety należytego skutku w głównej kwaterze. Niezrażony tem, ponawiał generał swą prestrógę wobec księcia Józefa, który objął naczelne dowództwo piątego korpusu, ale i powtórne przedstawienia księcia, projektującego posunięcie wojsk austriackich w głąb Rosyi oraz wysłanie wojsk pod jego rozkazami pozostających, celem przygotowania zapasów na Ukrainę, nie lepszego doznały przyjęcia. Napoleon groził księciu Józefowi rostrzelaniem, w razie, gdyby raz jeszcze odważył się wystąpić z podobną myślą, gdyż w gruncie rzeczy niechciał zaciągnąć wobec Polaków żadnych zobowiązań, mogących stać mu na przeszkodzie w zawarciu pokoju, jakiego nieustannie się spodziewał. Tak więc korpus polski szedł spiesznym marszem, wyprzedzając całą armię, która nieprzygotowana do tak odległego pochodu, pozbawiona magazynów, niszczonej przez ustępujące bez walki wojska nieprzyjacielskie, nie mogła rychło podążać na północ. Kniżewicz objawszy jeszcze w Grodnie po generale Kamienieckim ośmnastą dywizję, liczył pod swymi rozkazami trzy pułki piechoty, dwa jazdy, tudzież artylleryę dywizyjną

z dwunastu dział złożoną. Już atoli w Mohylewie, gdzie dywizya Kniaziewicza przez dwa tygodnie odpoczywała, zanim reszta armii stanęła na tejsze wysokości, zabrakło niemal trzeciej części żołnierzy w szeregach. Choroby niegorzej od kul nieprzyjacielskich dziesiątkowały armię. Z końcem lipca wyruszył generał wraz z resztą korpusu pod Smoleńsk, którego kazał Napoleon dobywać choć wszelkich potemu brakło przygotowań. W czasie szturm piechota Kniaziewicza dokazywała cudów waleczności, wypierając z przedmieść strzelców rosyjskich, lubo działa forteczne raziły atakujących straszliwym ogniem. Legł w dniu owym dzielny Grabowski, dowodzący brygadą piechotną w dywizyi Kniaziewicza a przeszło dwa tysiące naszych pozostało na polu chwały. Zaslaniając prawe skrzydło armii, dążyli Polacy naprzód po niedostępnych urwiskach i wąwozach, opodal od bitego gościńca. Im też wypadło pierwszym uderzyć na wielką redutę pod Borodynem, broniącą drogi na Możajsk i Moskwę a i w krwawej batalii, rozegranej w tem miejscu w dniu następnym, (siódnym września), Kniaziewicz świeże zdobył wawrzyny podczas szturm na Borowno, gdy pod straszliwym ogniem dział rosyjskich, zajmujących dominującą pozycyę, nietylko przywrócił ład w cofającej się po bezkutecznym ataku piechocie, lecz po krótkiej chwili powiódł ją powtórnie na baterye przeciwnika, który zaniepokojony tą uporeczywością ściągnął corychlej armaty swe z pozycyi i cofnął się pod osłoną zapadającej nocy.

Po zajęciu Moskwy korpus polski, liczący już niespełna trzy tysiące żołnierza pod sztandarami, zajmował stanowisko na drodze do Tweru wiodącej, więc też z chwilą, gdy wielka armia jęła skutecznie odwrót w kierunku Woroneża, Kniaziewicz znalazł się w tylnej straży i zaatakowany został z trzech stron przez nieprzyjaciela. Sądzone ogólnie, że przepadł, lecz generał sformowawszy z swej piechoty trzy czworoboki, cofnął się w porządku pod osłoną ognia działowego ku głównej armii, z którą się połączył, nie uroniwszy ani jednej armaty. Raz jeszcze pod Dąbrowną, udało się Kniaziewiczowi

powstrzymać napór Rosyan i oczyścić dalszą drogę Francuzom, poczem połączwszy się z piątym korpusem, znalazł się wraz z nim w fatalnym dniu dwudziestym siódmym listopada w borysowskim lesie. Polacy otrzymali wówczas od marszałka Ney'a rozkaz, by spieszyli w pomoc oddziałom, które przebywszy już Berezynę zaatakowane zostały przez przemożne siły rosyjskie. Bój rozpoczął się walką działową, lecz niebawem uderzono z bagnetem na rozsypanych w tyraliery jęgrów. Nieprzyjaciel, pewny zwycięstwa, nie ustępował ani kroku i wśród morderczej walki odnieśli ciężkie rany Dąbrowski oraz Zajączek, wobec czego komenda naczelna korpusu spoczęła w rękę Kniaziewicza. Ciemna noc już zapadała, milkły stopniowo strzały z ręcznej broni i tylko artylerya, ustawiona na gościńcu, pracowała bez przerwy. W tej chwili nadbiegł ordynans Ney'a, wzywający Kniaziewicza do sztabu. Jenerał, zdawszy komendę Izydorowi Krasińskiemu, ruszył pieszo w towarzystwie adjutanta, Józefa Krasińskiego, przez las, lecz w chwili, gdy przeskakując przez rów wy dostać się zamierzał na gościniec, rekoszetująca kula ugodziła go w nogę. Całym ciężarem ciała zwałił się ranny do fosy, co widząc ułan, prowadzący konie, w przekonaniu, że jenerał poległ, umknął co rychlej do lasu. Krasiński chciał rannego unieść na własnych barkach do ambulansu, ale nie było to rzeczą łatwą wobec olbrzymiego wzrostu jenerała i bezwładności raną wywołanej. Napróżno wołał o pomoc. Błąkający się wród chruśniaku żołnierze myśleli przedewszystkiem o własnem ocaleniu i dopiero po dobrej chwili zjawił się koło Kniaziewicza wołyżer, Rosołek, który wspólnie z Krasińskim na noszach z gałęzi sporządzonych, przeniósł jenerała do lazaretu. Tam go opatrzył lekarz sztabowy, Girodet i zaraz też Kniaziewicz, pomny służbowych powinności, wyprawił raport do Ney'a z doniesieniem, że korpus polski pozostał bez dowódcy. W odpowiedzi otrzymał rozkaz, aby Polacy równo ze świtem cofali się za ustępującą armią. Nie było więc czasu do stracenia. Krasiński, Jelski, Świda, Wc-

dzyński, najbliżsi przyjaciele generała, postanowili ratować go od zagarnięcia w niewolę. Postarali się o konia, o koczach kacapski i wytarty dywanik; pocziwy Rosołek obmyślił jakieś saneczki, na których złożono Kniaziewiczza i wśród ciemnej, choć oko wykol, nocy ruszono w drogę po wązkiej grobli, zawalonej lazaretami, furgonami i parkiem artylleryczkim. Ocaleli cudem prawie towarzysze generała i już za dnia białego dotarli do Kamionnej, gdzie Mielżyński przyjął Kniaziewiczza do swej karety. Wraz z Mielżyńskim dostał się generał szczęśliwie do Wilna, by po krótkim wytchnieniu, zakupiwszy własne konie i sanki, pociągnąć za niedobitkami piętego korpusu ku Warszawie. Już atoli w Zegrzu dowiedział się Kniaziewicz o śmierci żony, więc zabrawszy osieroconą zupełnie pasierbicę, pospieszył do Krakowa. Strata małżonki i okropny zawód nadziei politycznych, spowodowany nieszczęsnym wynikiem ostatniej wyprawy, oddziaływały bardzo silnie na hartowny umysł starego żołnierza. — O sobie tylko tyle donoszę — pisze w dniu 25. marca 1813 r. do Drzewieckiego — że jak na złość fizyczne siły tak mocne, że moralne cierpienia tego dokazać nie mogą, ażeby się dni mego życia skończyły, które mi dziś jest ciężarem...

Lubo niewygojony jeszcze z rany, zgłosił się Kniaziewicz do czynnej służby, ale siły wyczerpane trudami odmówiły mu posługi. W kwietniu t. r. bawił generał we Lwowie, zamierzając w pobliskich źródłach siarczanych, w Lubieniu, szukać ulgi w swych cierpieniach, zaś pasierbicę wyprawił na Wołyń, do dziadka jej, Steckiego. — Moment rozłączenia się z nią był dla mnie okrutny — skarży się w jednym z następnych listów panu szefowi zbolały wojownik, który całe uczucie rodzinnej miłości przelał na córkę straconej przedwcześnie małżonki. Tymczasem rząd austriacki, zerwawszy otwarcie z Napoleonem, internował Kniaziewiczza w Tarnowie, zkąd starał się on gorliwie o uzyskanie paszportu na Wołyń, jak to widać z z listu, pisanego do Drzewieckiego

w listopadzie t. r. — Zajmując się losem mojej pasierbicy — słowa listu — zdawać mi się będzie, że nie wszystko jeszcze na tem świecie umarło... Ja dość zdrów jestem i co wieczór się cieszę, że się termin zbliżył do tej podróży, której uniknąć nie można a której z upragnieniem wyglądam...

Warszawa. gdzie znalazł się generał z końcem tego roku, (1814), niewesołe na nim sprawiła wrażenie. — Ja który na nieszczęście przyszłość sobie czarno maluję — czytamy w liście Kniaziewicza, pisanym w owym czasie do pana szefa — mniej na tem tracę, przysposobiony umysł mój do złego, które nastąpić ma... Z stolicy usunął się generał na wieś i dopiero pod jesień następnego roku, (1814), powrócił do syreniego grodu. — Do dnia dzisiejszego — donosi z Warszawy w dniu 21 września Drzewieckiemu — bawiłem na wsi, aby być dalekim od kabał i intryg, których teraz pełno. Obecnie, kiedy los ojczyzny naszej rozstrzygniętym być ma w Wiedniu i kiedy się wielkiego księcia za trzy dni tu spodziewamy, w Warszawie bawić będę, póki się rzecz cała nie wyjaśni. Jeżeli się iskierka jakaś pomyslna dla nas okaże, to natychmiast tobie przyjacielu dam wiedzieć, żebyś do nas mógł przyjechać a że ja się nadzieją ludzi nie umię, przeto ciebie póty nie zapraszam, póki coś pewnego wiedzieć nie będę...

Oczywiście miał tu Kniaziewicz na myśli obrady komitetu, stworzonego przez cara Aleksandra w Paryżu jeszcze w dniu trzecim maja t. r. Komitetowi temu, powołanemu celem organizacyi narodowej siły zbrojnej, przewodniczył wielki książę Konstanty zaś w składzie tego ciała obok Kniaziewicza i Dąbrowskiego zasiedli: Zajączek, Wielohorski i Sierakowski tudzież Woyczyński, Sułkowski i Gedroye w charakterze zastępców. Pierwsze posiedzenie komitetu wojskowego odbyło się w Warszawie, w dniu dwudziestym siódmym września i zaraz też zebrani generałowie oświadczyli, iż do chwili uwolnienia od przysięgi przez króla saskiego, jako księcia warszawskiego oraz zapewnienia bytu politycznego Polski, nie

mogą się podjąć organizacyi narodowej siły zbrojnej, ani też pełnić służby w ogólności. Obecny na temże posiedzeniu wielki książę uznał rzeczzone oświadczenie jako honorowe i zupełnie uzasadnione. Podobnie zresztą oceniano je w Petersburgu, gdzie nikt nie przypuszczał, by na wiedeńskim kongresie ośmielono się carowi odmówić prawa do zarządu księstwem. Na razie więc komitet zajmował się jeno przygotowawczemi czynnościami, zaś wielki książę udał się do Wiednia. Skoro jednak na kongresie książę Metternich podniósł możliwość wskrzeszenia Polski niepodległej w przedzrobionych granicach, w którym to razie dwór wiedeński ofiarowywał się z gotowością zwrotu Galicji, a Francya oraz Anglia oświadczyły się z ochotą popierania projektów austriackiego kanclerza, odwołał się Aleksander do życzeń »ośmiu milionów Polaków« i coprędzej wyprawił brata do Warszawy celem przyspieszenia organizacyi wojska polskiego. Miało to być demonstracją, iż naród polski życzy sobie połączenia z Rosyanami.

W ostatnich dniach listopada t. r. był już Konstanty z powrotem w Warszawie, a równocześnie wojska pruskie zajęły Saksonię za uprzednim porozumieniem się z Rosją i Prusacy wcielili pułki saskie do swych szeregów. Korzystając z tego cesarzewicz, oświadczył wobec Zajączka, iż car, mając takie same prawo do podobnego postąpienia z resztkami wojska polskiego, dał mu jawne dowody wspaniałości i zaufania a zarazem przedstawił mu niebezpieczne położenie kraju, pozbawionego dostatecznej siły zbrojnej wobec nieprzychylnego rzekomo stanowiska, jakie wobec niego zajęły mocarstwa kongresowe...

O tem oświadczeniu wielkiego księcia powiadomił Zajączek członków komitetu wojskowego, którzy w niezwykle trudnem znaleźli się położeniu. Względy aktualnej polityki każały im się oświadczać za carem Aleksandrem, który nie szczędząc obietnic wskrzeszenia Polski, występował jako jej naturalny obrońca wobec Prus i Austrii, podczas gdy sym-

patye wojska jakoteż szerokiego ogółu ludności pozostały, mimo klęsk i zawodów, po stronie Francyi. Wynikiem gorących narad, toczonych w łonie komitetu w dniach 2 listopada i 3. grudnia t. r., były dwie noty, przedłożone cesarzewiczowi i podpisane przez wszystkich członków tego ciała. W pierwszym dokumencie uznawali generałowie, iż należy uważać wojsko, jako ustanowione w celu bronienia i utrzymania bytu krajowego oraz rządu konstytucyjnego pod protekcyą cesarską. W drugim akcie, wywołanym zapewne żądaniem Konstantego co do bardziej szczegółowego przedstawienia żądań narodowych, ponawiał znów komitet zapewnienia wierności i poświęcenia dla cara Aleksandra, jeżeli raczy zapewnić Polsce byt polityczny i rząd konstytucyjny, jedyne rękojmie jej wiary i wytrwałości. Po takim zapewnieniu — oświadczał komitet — naród znajdzie w swojej odwadze zasoby do obrony swojej całości i do złożenia jej w hołdzie cesarzowi, swemu wielkiemu i wspianiałemu opiekunowi.

Obie te deklaracye nie zadowolily bynajmniej cesarzewicza, który w dniu trzecim grudnia t. r. wystosował do członków komitetu pismo, przedstawiające dziwną mieszankę pogroźek, pochlebstw i nieokreślonych bliżej obietnic. Wielki książę groził komitetowi odpowiedzialnością wobec ojczyzny, przypominał dobre intencye cara i utrzymywał stanowczo, że przysięga na wierność, złożona księciu warszawskiemu, nie obowiązuje wojska wobec zmiany politycznego położenia. — Panowie! zapytuję was — pisał Konstanty — czy sprawiedliwie byłoby, gdyby cesarz ponosił sam cały ciężar waszej obrony i gdybyście nie dla niego nie uczynili?..

Po raz trzeci z rzędu zebrali się komitetowi celem oświadczenia się na notę wielkoksiążęcą i wówczas Kniaziewicz wręcz i stanowczo wyraził zapatrywanie, iż komitet ani nie ma prawa do organizacyi wojska, ani też możności sprzeciwiania się tejże. — Jego Cesarzewiczowska Mość Wielki książę Konstanty, powiernik zamiarów Najjaśniejszego Pana — twierdził generał — znajdzie środki zjednania sobie zaufania na-

rodu a tem samem odpowiedzenia jego nadziejom. Zdanie Kniaziewiczza podzielał jeden tylko jedyny Woyczyński. Obu przegłosowano, gdyż większość członków komitetu zgodziła się, acz z pewnemi zastrzeżeniami, na przystąpienie do bezwzględnej organizacyi wojska polskiego. Ustępując z grona komitetowych podyktowali Kniaziewicz wraz z Woyczyńskim następujące oświadczenie do protokołu: ...Sami tylko generałowie Kniaziewicz i Woyczyński uważali przedstawienia J. C. M. wielkiego księcia z innego punktu. Przekonani są zupełnie, że cesarz pragnie nadać Polsce byt polityczny, lecz pierwiej chce mieć pewność, czy może liczyć na stałość, energię i skrupulatną wierność dla monarchy ze strony osób, które raczył zaszczyścić swoim zaufaniem, wyznaczwszy je do reprezentowania pierwszej władzy wojskowej. Takie mając przekonanie i przewidując, że naród tyle razy zawiedziony w swoich oczekiwaniach, stał się ostrożniejszym, więcej wymagającym i surowym w sądzeniu swoich przełożonych, zwłaszcza tych, którzy w rozmaitych kolejach niewiele stracili, że w rozdrażnionym przez tyle nieszczęść narodzie niepodobna byłoby wykorzystać nasienia nieufności względem nowych przełożonych, dopóki nie ujrzał pewności, że spełnione jest jedyne szczęście, do którego wzdycha od tylu lat — wszystkim tem powodowani generałowie Kniaziewicz i Woyczyński oświadczyli, że nie odstąpią od pierwszego swego postanowienia. Byli oni nadto zdania, że komitet winien był, znając charakter swoich ziomeków, zamiast przyspieszać organizację, przedstawić J. C. M. W. księciu, iż dla osiągnięcia pomyślnych wypadków nowej organizacyi wojska należało czekać chwili, kiedyby naród i wojsko przekonane były, że byt polityczny Polski jest zapewniony i że wojsko, uwolnione od przysięgi, może zaciągać nowe obowiązki wobec cesarza Rosyi. Generałowie Kniaziewicz i Woyczyński temi wiedzeni pobudkami i przekonani, że ich przedstawienia nie osiągnęłyby żadnego rezultatu, zwłaszcza, że inni członkowie komitetu są zdania przeciwnego, zawiesili swoje urządowanie. Zresztą generałowie

Kniaziewicz i Woyczyński mogli się mylić w swoim zdaniu, ale myśl ich była czysta. Kto nie żąda ani urzędów, ani względów, kto z powodu słabości zdrowia widzi się w niemożności oddawania się dłużej zawodowi wojskowemu, kto zamiast żądania pensyi, żąda tylko dymisyi, ten może zdanie swoje wynurzyć śmiało, otwarcie i niepodlegle...



KAROL KNIAZIEWICZ

Rysował z litografii Polkowski.

Atoli dymisyi nie zaraz udzielono Kniaziewiczowi, lubo generał nie brał odtąd żadnego udziału w pracach komitetu.

— Wystawiony jestem na próbę, czy się sposób myślenia z wiekiem nie odmienia — pisał Kniaziewicz w dniu piątym

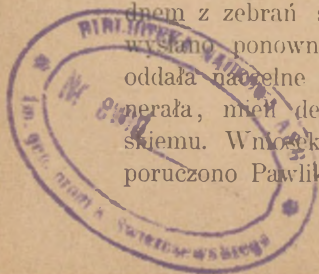
grudnia 1815 r. do pana szefa — lecz spodziewam się, że się mój przyjaciel za mnie wstydzić nie będzie... Około tego czasu wydał generał swą pasierbicę, Aleksandrę Stecką, za księcia Michała Radziwiłła i wyprawił jej huczne wesele w Międzybożu, dokąd cały niemal piękny świat stolicy podążył. Odstąpiwszy Radziwiłłom dożywocie, jakie mu zmarła żona na całym majątku zapisała, wymówił sobie Kniaziewicz skromną rentę na utrzymanie i zyskawszy w końcu długo oczekiwane zwolnienie od służby, opuścił Warszawę. Do wyjazdu z stolicy skłoniła go między innymi podejrzliwość wielkiego księcia, który dowiedziawszy się, iż u generała schodzą się wieczorami bliżsi znajomi na karty, kazał śledzić owe zebra-  
nia, wietrząc w nich polityczną intrygę. Poczęli więc nachodzić Kniaziewicza zausznicy cesarzewicza i rozmyślnie wszczynali rozmowy o patriotycznych sprawach, ale stary żołnierz domyślił się podstępów i wolał się wynieść z miasta, aniżeli pozostawać dłużej pod czujną opieką tajnych polityantów Konstantego.

Bawił więc generał w lecie 1816 roku u wód w Baden tudzież w Karlsbadzie i nosił się z zamiarem osiedlenia przy Radziwiłłach w Czarkowie, lecz projekt ten z niewiadomych powodów nie przyszedł do skutku, gdyż w grudniu t. r. zajął generał na czas krótki do Warszawy. Widocznie jednak trwał w zamiarze opuszczenia kraju. — Nikomu nie prezen-  
towałem się — pisze w liście do Drzewieckiego, noszącym datę 6. grudnia 1816 r. — A żem sobie powiedział, że wolę być spektatorem jak aktorem, więc to mię w takim postawilo położeniu, że się może zupełnie z tego kraju wyprowadzę. Przykre to wprawdzie przedsięwzięcie oddalić się na zawsze od osób, które równie jak życie kochamy, lecz równie jest przykro być wystawionym na prześladowanie ze strony tych osób, których stałość moja, mimo ich wysokich dostojenstw, upokarza. O imperatorze wiem pewno, że ma dla mnie szacunek, ale to mnie nie broni od jego zastępców...

Jak z ogólnikowej treści tego pisma wynika, pobyt Kniaziewicza w Warszawie stał się niemożliwym wobec samowolnych wybryków Konstantego. Tak więc poraz wtóry w życiu opuścić musiał dzielny wojownik kraj ojczysty, dla którego tyle walczył i cierpiał. Na własnej ziemi nie był bezpiecznym, gdyż poniżyć się i zaprzeć własnych przekonań nie umiał. Nad złote kajdany przełożył swobodę i ruszył na tułaczkę między obcych.

\* \* \*

W roku 1817, po chwilowym pobycie w Karlsbadzie, osiadł Kniaziewicz w Dreźnie, w którym to mieście zamierzał przepędzić resztę dni tyle czynnego żywota. Kolonia polska w stolicy saskiej była wówczas wcale liczna. Bawiło w Dreźnie sporo ziemian z Wołynia i z Podola. Otwarte domy prowadzili Czetwertyńscy, Jełowiccy, Raciborowscy i inni, więc też na razie dobrowolny wygnaniec nie odczuwał zbyt boleśnie rozstania z krajem. W ciszy i w spokoju upłynęło mu kilka lat następnych i nie przeczuwał zgoła stary żołnierz, jaką misję przeznaczają mu tajemnie gorętsze w kraju żywioly. Już w maju 1821 roku, gdy w Warszawie poczęło się wiązać Towarzystwo Patryotyczne Narodowe, powzięli twórcy tego spisku zamiar zaofiarowania naczelnego dowództwa w razie wybuchu rewolucyi Kniaziewiczowi i generał Umiński podjął się misji wybadania go oraz uwiadomienia o zapadłym postanowieniu. Zdaje się wszakże, że Umiński otrzymanego polecenia nie spełnił, gdyż w dwa lata później, gdy Towarzystwo coraz to bardziej wzrastało w siły a brak naczelnego kierunku stawał się wręcz nieodzownym, na jednym z zebrań spiskowców Machnicki wniósł projekt, aby wysłano ponownie do Kniaziewicza deputacyę, któraby mu oddała naczelné dowództwo. W razie odmowy ze strony generała, niech deputaci zaofiarowac najwyzszą władzę Kosińskiemu. Wniosek ten przyjęto i traktowanie z Kniaziewiczem poruczono Pawlikowskiemu. Wybór ten okazał się fatalnym,



gdyż Pawlikowski nie pojechał wcale do Drezna, z Kniaziem się nie porozumiał i nie zdał wcale sprawy z swych czynności spiskowym, niewiedzącym zgoła, co się stało z ich uchwałą.

Mimoto, z początkiem roku 1826, to jest z chwilą tłumnych aresztowań związkowych w Królestwie Polskiem, nie uszedł Kniaziewicz prześladowania ze strony rządu rosyjskiego, którego wpływy sięgały daleko poza granicę caratu. W lutym t. r. na żądanie Konstantego rezydent rosyjski w Dreźnie, Schröder, naszedł w asystencyi policyi mieszkanie Kniaziewicza, zabrał jego papiery i zażądał wydania generała władzom carskim. Rząd saski nie spełnił wprawdzie żądania Schrödera, lecz internował Kniaziewicza w twierdzy Königstein, gdzie przez sześć miesięcy z rządu osobna komisya wojskowa przesłuchiwała uwięzionego. Protestował, acz bezskutecznie, przeciw temu postąpieniu rezydent francuski, Rumigny, utrzymując, że Kniaziewicz, jako komandor legii honorowej jest tem samem obywatelem francuskim i tylko przez tamtejsze sądy może być pociągany do odpowiedzialności. W końcu, mimo rozlicznych przeszkód i kruczków, czynionych przez rząd rosyjski, komisya orzekła niewinność badanego. Powrót jego do Drezna równał się wjazdowi tryumfalnemu. Wszyscy Polacy, bawiący w tej stolicy, ciała dyplomatyczne, z wyjątkiem przedstawiciela Rosyi i tłumy mieszkańców, pospieszyli w dniu owym ku rogatkom na powitanie generała. Zaraz też dnia następnego pojechał Kniaziewicz do Pilnitz, do letniej rezydencyi królewskiej, by podziękować Fryderykowi Augustowi za użyczoną opiekę.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł do króla — drugim ojcem stałeś się dla mnie. Tamten dał mi życie, Tyś je uratował. Pozwól więc, abym na znak hołdu wdzięczności rękę Twą ucałował, bo tylko ręce ojcowskie całować umie...

Monarcha usunął prawicę i odparł z widocznem wzruszeniem:

— Miałem i ja dni twarde w mojem panowaniu i Ty w owych dniach umiałeś dla mnie niezachwianą wierność zachować. Ja teraz mą powinność wobec ciebie spełniłem. Pokwitowałem się więc tylko jenerale! — poczem podał rękę Kniaziewiczowi i serdecznie dłoń jego uściśnął.

Wybuch rewolucyi listopadowej zastał Kniaziewicza w Dreźnie. W pierwszej chwili rwał się on do powrotu w ojczyste strony, ale po namyśle postanowił zostać na miejscu, jakby przeczuwając, że zagranicą nie przestanie być użytecznym sprawie narodowej. Jakoż zaraz w pierwszych chwilach po przyjęciu dyktatury zwrócił się do niego Chłopicki z prośbą, by za pośrednictwem rezydenta pruskiego, Jordana, z którym Kniaziewicza łączyły bliższe stosunki towarzyskie, starał się za pośredniczyć interwencyę dworu berlińskiego między Polską a Rosyą. Jenerał spełnił otrzymane zlecenie i wręczył odpowiednio zredegowaną notę Jordanowi, który niebawem zawiadomił go o treści odpowiedzi, otrzymanej z Berlina. Brzmiała ona odmownie, lecz wypowiadała równocześnie nadzieję, iż wobec wysłania polskiej deputacyi do Petersburga, interwencya rządu pruskiego okaże się zbyteczną... Nierówne ważniejsze poselstwo przywiodło do Dreznia w jakiś czas później Mycielskiego. Oto Chłopicki, przyjąwszy dyktaturę, nie chciał jej zatrzymać a nie widząc w kraju żadnej osobistości, któraby jego zdaniem, okazywała się odpowiednią do zajęcia naczelnego stanowiska, udawał się do Kniaziewicza z propozycyą, by przyjął główną buławę. Zapewniał go równocześnie, iż jeżeli przychylił się do tego żądania, on szpadę swą i wszelkie usługi odda za jego rozkazy. Ale Kniaziewicz odmówił zaszczytnemu wezwaniu. Odmówił nie z braku gotowości do poświęceń dla ojczyzny, nie wymawiał się też podeszłym wiekiem lub brakiem sił, lecz wypraszał się od objęcia najwyższej władzy pod wpływem patryotycznego uczucia i wzniesłego pojmovania obowiązków obywatelskich. Zaufanie, jakim Chłopicki cieszył się niepodzielnie u całego narodu, uważał on jako objaw tak szczęśliwy, iż powrotem swym do Warszawy nie

chciał osłabiać tego wrażenia i sprowadzać możliwe rozdwojenie w chwili, wymagającej przede wszystkim karności i zgodności w działaniu, Dlatego też w odpowiedzi, przysłanej Chłopiickiemu, zaklinał go Kniaziwicz, by zatrzymał dyktaturę i przyrzekał, że w razie ustalenia się jego władzy nie omieszka powrócić do kraju i służyć pod rozkazami dyktatora.

Stało się jednak inaczej. Miejsce dyktatora zajął utworzony w ostatnich dniach stycznia 1831 r. rząd narodowy a jedną z najpierwszych czynności tej władzy było powierzenie Kniaziwiczowi tyle ważnej misyi, jaką stać się miało zastępstwo interesów naszych w Paryżu.

— Tłómacz życzeń polski — pisał do jenerała w dniu 28. stycznia 1831 roku ks. Adam Czartoryski — zgłaszam się w tej chwili do jednego z najwaleczniejszych i najdawniejszych jej obrońców. Już wprawdzie wypłaciłeś dług ojczyźnie i wsławiłeś imię Polski w zawodzie wojskowym, ale czeka cię inny rodzaj sławy, nie mniej czystej, nie mniej godnej ciebie i nie wątpimy na chwilę, że podejmiesz się nowego obowiązku. Usłużysz krajowi skutecznie, jeżeli udając się bezzwłocznie do Paryża, podejmiesz się popierać u rządu francuskiego nasze życzenia. Znany jesteś Francyi i Europie, przyczyniałeś się do sławy wojsk francuskich, jesteś pewny znaleźć w Paryżu, jak wszędzie, szacunek i poważanie. Żądamy Twej osobistej wolności dla dobra ojczyzny i bogdajby ojczyzna była winna Tobie najznakomitszą usługę, jaką jej oddać można. Do pomocy w Twoich pracach dodajemy Ci hrabiego Ludwika Platera. Znasz go, a my pewni jesteśmy jego pod wszelkimi względami, mogącymi wzbudzać zaufanie. Ma on polecenie wręczyć Ci to wezwanie, list akredytujący i instrukcye. Kończę jenerale, prosząc się, abys mię uwiadomił jak najprędzej, żeś przyjął misyę i że się udasz do Paryża tak spieszenie, jak tego wymaga nagląca okoliczność i bliskość grożącego nam niebezpieczeństwa...

Dodany do pomocy Kniaziewiczowi kasztelan Ludwik Plater, człowiek niezwykle zdolny i wszechstronnie wykształcony, opuścił w ostatnim dniu stycznia Warszawę, udając się do Drezna. Jakkolwiek Plater posiadał formalny paszport pruski, mimoto aresztowano go w Wrocławiu i dopiero w połowie lutego t. r. mógł wysłannik rządu narodowego ruszyć w dalszą drogę do saskiej stolicy. Przybywszy do Drezna, mimo spóźnionej pory, odszukał Plater generała w klubie i zaprosił do ubocznego pokoju, wręczył mu wiezioną ekspedycję. Kniaziewicz odczytał list księcia i nie namyślając się dłużej, w te słowa ozwał się do przyszłego pomocnika:

— Jak tylko doszła mi o powstaniu wiadomość, chciałem pospieszyć do Warszawy, aby walczyć jeszcze raz za ojczyznę i może za nią poledz. Taka śmierć byłaby dla mnie najpożądalszą, lecz zaufanie, jakie cały naród i wojsko okazały wobec generała Chłopickiego, wstrzymały mój wyjazd. Jedność i zgoda są teraz najpotrzebniejsze a być może, iż samem przybyciem, pokazaniem się mojem, chcianoby mię za rywala uważać i mimowolnie stałbym się przyczyną rozdzielenia umysłów i osłabienia powszechnego zaufania. Z tego powodu odmówiłem nawet, gdy generał Chłopicki wzywał mnie, abym przybył do Warszawy i dyktaturę po nim objął, bo on jeden przy niej powinien był pozostać. Lecz teraz, skoro rząd narodowy w imieniu ojczyzny do nowych posług mnie wzywa, nie waham się; każda dla niej jest dobra, przyjmuję więc i jutro w drogę się puszczam...

Zdaje się wszakże, iż nieznanne nam bliżej powody opóźniły wyjazd obu delegatów z Drezna, gdyż dopiero w pierwszych dniach marca 1831 r. Kniaziewicz wraz z Platerem stanęli w stolicy Francji, gdzie do tej pory czynni byli jako ajenci rządu narodowego Wolicki a następnie Teodor Morawski. Wybór Kniaziewicza na przedstawiciela interesów polskich przy dworze paryskim było krokiem wcale fortunnym. Dla Ludwika Filipa, otaczającego się z widocznym upodobaniem ludźmi z doby cesarstwa, zwycięzca z pod Civita Ca-

stellana oraz z pod Hohenlinden, musiał być wielce pożądaną osobistością, a nadto łączyły go węzły przyjaźni z marszałkiem Soultem, piastującym tekę ministra wojny, tudzież z generałem Sebastianim, ministrem spraw zagranicznych. Zresztą przybywał Kniaziewicz nad Sekwanę w chwili, gdy mężstwo, okazane przez wojska powstańcze pod Stoczkiem i Grochowem, zdawało się sprawie naszej rokować jak najkorzystniejsze nadzieje. Dlatego też zamierzał od razu generał wystąpić w charakterze posła równorzędnego mocarstwa i prócz posłuchania u prezydenta ministrów, Perriera, zażądał publicznej audyencji u króla. Żądaniu temu odmówiono wszakże i dopiero po upływie dni kilku Sebastiani, jako kierownik spraw zewnętrznych, przyjął u siebie naszych delegatów. Przyjęcie było uprzejme, lecz raczej miało charakter kondolencyjny aniżeli polityczny, gdyż ambasada rosyjska nie omieszkiała przedstawić rządowi francuskiemu bitwy Grochowskiej w świetle znakomitego sukcesu wojsk carskich. Tak więc Sebastiani oświadczył, iż sprawa powstania wywołała najżywsze współczucie wśród rządu i narodu francuskiego. Przyznawał również, iż rząd królewski pragnął Polsce spieszyć z pomocą, o ile mu na to położenie jego pozwalało i w tym celu wyprawionemu do Petersburga księciu Montemart udzielono szczegółowych instrukcyi co do czuwania nad sprawą polską. — Mieliśmy nawet wszelką nadzieję — mówił minister — że się sprawy w dobry i zgodny sposób ułożą, lecz w tem przyszła nieszczęśliwa detronizacya i ona wszystko popsowała. Sprawy narodów — ciągnął dalej — tylko z umiarkowaniem i z spokojem dają się ułożyć. A ponieważ po świeżej klęsce już o żadnych propozycyach i układach mowy być nie może, przeto nie pozostaje nic innego jak zająć się ratowaniem najbardziej skompromitowanych osób, w którym to celu potrzebne zlecenie otrzymał książę Montemart.

Słowa te, gdyby zimna woda, ostudziły pierwiastkowe nadzieje generała, liczącego szczerze na pomoc Francyi, ale nie stracił on fantazyi wobec dawnego towarzysza broni,

który w szeregach wielkiej armii zdobył sobie opinię zdolnego wodza jazdy, dowodząc kilkakrotnie naszą kawaleryą. Nie zmieniając więc tonu rozmowy, oświadczył Książewicz ministrowi, że w zwycięztwo, rzekomo przez Rosyan odniesione, nie wierzy a nawet w razie klęski może zapewnić rząd królewski, iż armia powstańcza broni nie złoży aż do chwili wywalczenia niepodległości. Z tego też powodu rząd narodowy tem usilniej uprasza władzę Francuzów o radę i o pomoc, gdyż postępek ten doda narodowi polskiemu otuchy i siły odpornej..

Nie poprzestając na konferencji z Sebastianim, zakrzętnęli się Książewicz z Platerem około zainteresowania opinii publicznej w Paryżu sprawą polską, pozyskania dla niej wpływowych pism i głosów opozycyjnych w izbie. Było to rzeczą tem bardziej wskazaną, ileże w czasie najbliższej, drugiej z rzędu konferencji, Sebastiani uznał za stosowne wystąpić z radą, by naród polski pierwszy krok uczynił do cara Miłojaja..

— Pan minister żąda od nas rzeczy niepodobnej — odparł mu z godnością Książewicz. — Po tylu poświęceniach, po tylu krwawych walkach, chcesz, aby naród przeszedł do hańby i upodlenia? Pierwszym warunkiem układu z carem jest złożenie broni, drugim: zdanie się na łaskę i niełaskę. Jakże naród i armia polska mają tej hańby dopełnić? Przenigdy!

Jakoż widząc, iż u rządu nie mogą się spodziewać pomocy, zwrócili się nasi delegaci do opozycyi, w której składzie znalazły się wówczas tyle wymowne i poważne osobistości, co sędziwy Lafayette, Lamarque i Bignon. Ten ostatni zmusił swą interpelacją Sebastianiego do oświadczenia w izbie, iż Polska ma prawo do przyjaźni Francyi, której w dobie niepowodzeń sama jedna dochowała wierności. Równocześnie jednak dodał minister, iż czterysta mil przedziela Francuzów od tego nieszczęśliwego kraju. — Czyli mamy wziąć broń do ręki — pytał deputowanych — i ruszyć na podbój całej północnej Europy?

Odpowiedział mu wprawdzie Lamarque, wykazując szczegółowo niemoc Rosyi, zwłaszcza od zachodnich i wschodnich granic caratu, ale większość izby, pokojowo usposobiona, przyklasnęła polityce rządowej.

Należało więc na nowo deputatom naszym jąć się sztyfowej pracy, jaką było jednanie zwolenników dla sprawy powstania wśród społeczeństwa paryskiego. Pracę tą utrudniały wielce przeszkody w porozumiewaniu się z krajem. Listy i raporty przejmowały poczty dworów rozbiorowych, kurjerów, zaopatrzonych nawet w formalne paszporty, zatrzymywały w przejeździe władze austriackie tudzież pruskie. Tak więc cała korespondencya z rządem narodowym odbywać się mogła jedynie w drodze poufnej, za pośrednictwem uproszonych osób. Niedziw przeto, iż dopiero z końcem kwietnia t. r. otrzymał Kniaziewicz autentyczne relacye o zwyciężkach bitwach wojsk powstańczych, stoczonych pod Wawrem, Wielkim Dębem, Iganiami oraz o wybuchu powstania na Litwie. W dniu 28. kwietnia zażądał generał wraz z Platerem ponownej audyencyi u Sebastianie'go.

— Panie hrabio — rzekł Kniaziewicz — przychodzę do pana z urzędowymi raportami naszego wodza o zwycięztwach odniesionych i spodziewam się, że teraz przynajmniej, kiedy nasza sprawa mocą oręża tak wysoko stanęła, uzna rząd królewski niepodległość Polski oraz naszą władzę narodową i nie odmówi nam swej medyacyi.

— Oddajemy wszyscy sprawiedliwość waleczności wojsk polskich — odpowiedział minister. — Polacy okazali charakter i energię, godne podziwienia. Opinia we Francyi, w Anglii a nawet w Niemczech jest po stronie panów, ale z tego nie wynika, aby rząd mojego króla miał uznać niepodległość Polski, jej rząd, albo też przyjął medyacyę. Nas z rządami Europy łączą traktaty. My te traktaty szanować chcemy, potrzebujemy i dlatego życzeń polskich spełnić nie możemy.

— Ależ traktaty zawierają się i rozwiązują stosownie do okoliczności i potrzeb — zauważył generał. — Jeżeli po zwy-

ciężtwach tak świetnych, kiedy mamy sto tysięcy wojska i kraj cały w powstaniu, rząd tutejszy nie chce nas uznać, ani swoje medycacyi ofiarować; więc kiedyż ona nastąpić może?

— My uczciwi ludzie, — bronił się Sebastiani, — My traktaty szanować chcemy, medycacyę zaś wtedy tylko przyjąć możemy, kiedy rząd rosyjski nas do tego zavezwie. Teraz nie mam innej rady dla rządu narodowego, jak tylko niech korzysty ze zwycięstw i niech się z carem układa.

— Niepodobieństwo! — zawołał z uniesieniem Kniaziewicz. — Już tych układów próbowano i skutek okazał, że do niczego one nie doprowadziły. Nadto układy bez gwarancyi nie przedstawiają żadnej wartości. Odepchnął je naród w położeniu mniej korzystnem. Dziś więc, po odniesionych zwycięstwach nie może zgodzić się na poddanie się carowi. Raczej zginiemy, niż zezwolimy na takie warunki...

— Mimoto — powtórzył z naciskiem minister — ja tylko taką radę nadać mogę rządowi polskiemu za pośrednictwem pana generała. Francya w medycacyę się nie wda, bo to jest niepodobieństwem.

— Możemyż przynajmniej liczyć — pytał generał — że król raczy nas przyjąć celem doręczenia mu listu prezesa rządu narodowego?

— Niepodobieństwo — odparł krótko Sebastiani. — Król nie może panów przyjąć. Przyjęcie byłoby przeciwne stosunkom, jakie nas z Rosyą łączą...

Wiele zaiste zaparcia się samego siebie trzeba było, by po takiej odprawie pukać jeszcze do podwoi gabinetu tulle-ryjskiego, kierującego się w sprawie polskiej zimną, kramarską rachubą. A jednak misya nasza nie opuściła rąk bezradnie i po bezskutecznej interwencji zacnego Lafayette'a, który napróżno domagał się u Ludwika Filipa udzielenia pomocy Polakom, usiłował Kniaziewicz wraz z Platerem skłonić rząd francuski przynajmniej do wstawienia się u dworu wiedeńskiego celem uwolnienia wpartego do Galicyi korpusu Dwernickiego. W tej materyi doręczyli delegaci nasi ener-

giczne noty Sebastianiemu oraz Soultowi zaś w czerwcu t. r. zgłosił się znów Kniaziewicz na audyencji w ministerstwie spraw zagranicznych.

— Przychodzę do pana hrabiego zawsze w tym samym interesie i z tem samym zapytaniem — mówił generał — ale w naszym położeniu inaczej być nie może. Czego możemy się od Francyi spodziewać, bo czas i wielki czas podać nam rękę...

— Wierzaj mi generale i daję ci na to najświętsze słowo — brzmiała odpowiedź ministra — że czynimy wszystko, co tylko u ludzi jest możliwe...

— Wierzę — podjął nasz poseł — bo pan dajesz słowo, a słowo wojskowe jest święte.

— Nie mogę jeszcze wszystkiego generałowi powiedzieć — wywnętrzał się w dalszym ciągu rozmowy minister. — To tylko oświadczam, że prawdziwy obrońca jest po stronie panów, a później okaże się, jakich do tego sposobów używał...

Jeszcze dosadniej wyraził się Sebastiani wobec Platera, udzieliwszy mu posłuchania w dniu 23. czerwca.

Oświadczył on wówczas, że Polska już jest bliską wejścia w politykę europejską oraz, że miesiąc lipiec będzie dla niej stanowczy... Ogólnikowa ta obietnica dodała Kniaziewiczowi świeżego bodźca do działania. Nie mogąc dotrzeć do króla, postarał się o przyjęcie u następcy tronu, księcia orleańskiego i przedstawivszy mu przebieg dotychczasowych swych zabiegów, poczynionych w Paryżu, nie omieszkał uzalić się z powodu nieżyczliwego postępowania Prus, gwałcących jawnie wszelkie pozory neutralności.

— Prawda, Prusy nie są neutralne i wiele panom szkody przynoszą — odpowiedział książę — ale że wam przedewszystkiem byt zapewnić należy, przeto tem się naprzód zajmujemy...

Na tem skończyło się posłuchanie, lecz już niebawem, bo w dniu siódmym lipca zawezwał do siebie Sebastiani obu

wysłanników rządu narodowego, by im udzielić radosnej — jak twierdził — nowiny.

— Uczyniliśmy właśnie — mówił do Kniaziewicza i towarzyszącego mu nieodstępnie Platera — krok stanowczy do gabinetu londyńskiego w sprawie interwencji dla ukrócenia wojny między Polską a Rosją. Nie wierzyliście może panowie moim słowom, ale faktem jest, żeśmy pisali pokilkakroć do Petersburga. W odpowiedzi, jakąśmy otrzymali na nasze ostatnie wstawienie się, zapytują nas, czemu się nie zwracamy do Polaków, gdyż to oni, a nie Rosjanie wojnę zaczęli. Rozumiecie panowie dobrze, że to już coś znaczy. Pisaliśmy nadto do Berlina. Moim zamiarem jest, aby o tem, jak można najprędzej, poinformować księcia Adama i rząd. Chciałbym im dodać pewności. Niech się trzymają jeszcze dwa miesiące, gdyż to jest konieczne do układów.

Co więcej, życzliwość swą posunął hr. Sebastiani do tego stopnia, iż zaopatrzył kuryera, spieszącego z tą wiadomością do Warszawy, paszportem francuzkim. Najpomysłniejsza przyszłość zdawała się otwierać dla Polski, tem też ochotniej zakrzętnął się Kniaziewicz około sprawy pożyczki, o której poręczenie ze strony Francji dopraszał się rząd warszawski na poczet dawnych należności, jakie Polska miała nad Sekwaną jeszcze z czasów wojen napoleońskich. Udawał się przeto do Perriera, do marszałka Soulta, do siostry królewskiej, księżniczki Adelaidy, która wywierać miała wpływ znaczny na zdanie brata, zażądał w końcu ponownego posłuchania u księcia orleańskiego, dopraszając się od niego wstawiennictwa za Polską, gdyż czas nagli. Prócz ogólnych wszakże obietnic, osłabionych zresztą zapewnieniem księcia, że władza jego i wpływy są ograniczone, więc też na stanowczy ich skutek liczyć wiele nie można — nie uzyskał niczego sędziwy wojownik u dworskich progów.

Rozbudzone przez Sebastianiego nadzieje osłabiła wielce mowa tronowa, jaką Ludwik Filip otworzył obrady izby

prawodawczej a w której o rokowaniach, dotyczących Polski, wyrażał się jako o kwestyi, należącej już do przeszłości.

— Usiłowałem — prawil król-mieszczuch — przyspieszyć koniec krwawej walki w Polsce. Chciałem zapewnić Polsce, której męstwo obudziło dawną przychylność Francyi, tę narodowość, opierającą się czasowi... Wprawdzie Sebastiani utrzymywał wobec naszej misyi, iż dokonał nadzwyczajnej rzeczy, wkładając w mowie tronowej wyraz: Polska, w miejsce królestwa kongresowego, ale położenie delegatów rządu narodowego pogarszało się z dniem każdym, zaś dobiło ich moralnie oświadczenie prezydenta ministrów, Perriera, rzucone w dniu dziewiątym sierpnia z mównicy parlamentu a głoszące światu, że Polacy niczego już od Francyi spodziewać się nie mają!... Wobec tej odmowy, akademickie jedynie znaczenie mogła mieć rozprawa w izbie, gdzie imieniem mniejszości Lafayette wspólnie z Bignonem domagali się, by w odpowiedzi na mowę tronową znalazł też uwzględnienie ustęp następujący:

— We wzruszających słowach Waszej Królewskiej Mości o nieszczęściach Polski, izba szczęśliwą jest znaleźć pewność, niezmiernie dla niej drogą, iż narodowość polska nie zginie...

I ta wszakże wzmianka wydała się nazbyt śmiałą doradcem korony, którzy po burzliwej, przewlekłej rozprawie wyraz: pewność, (*certitude*), grożący, ich zdaniem, wojną europejską, zdołali zastąpić: rękojmią, (*assurance*). Większość deputowanych przyzwalałając na zmianę wyrazu, poświęcała przedewszystkiem własną godność, gdyż o losie Polski rozstrzygnęła już mowa prezesa ministrów, straszącego tchórzliwych reprezentantów narodu widmem wojny europejskiej.

Mowa tronowa sprawiła deprymujące wrażenie w Warszawie i rząd narodowy już w dniu szóstym sierpnia wyprawił do Kniaziewicza instrukcyę, upoważniającą go do bezwłocznego opuszczenia Paryża w razie, gdyby wyczekująca polityka gabinetu miała pozyskać większość głosów w izbie. Pismo to wszakże otrzymali nasi delegaci dopiero w ostatnich

dniach sierpnia, to jest w chwili, gdy już z doniesień dziennikarskich dowiedzieli się o ustąpieniu rządu narodowego. Musieli więc pozostać w Paryżu, by obmyśleć dla rozbitków środki ratunku, przygotować im bezpieczny przytułek. Uznał jednak za stosowne Kniaziewicz wręczyć przedtem hrabiemu Sebastianiemu notę, streszczającą przebieg konferencji, przyrzeczeń otrzymanych, oraz zabiegów, czynionych przez delegatów w sprawie polskiej. Dokument ten, noszący datę trzeciego września 1831 roku, zawierał też ustęp następujący: Podpisani, opierając się na dotychczasowych krokach swoich, opierając się nawet na doświadczonych odmowach, głęboko dziś jeszcze przekonani, że istnienie Polski jest konieczne dla dobra Francji i jej najżywotniejszych interesów, dla utrzymania pokoju i nowego systemu, który rozwinęła Francja w dniach lipcowych — uważają za swój obowiązek uczynić jeszcze jedną odezwę, niestety może spóźnioną, ale którą im nakazuje sumienie, chociażby dla usprawiedliwienia kiedyś siebie przed własnym rządem, przed narodem i przyszłością, która ich sądzić będzie. Mają więc zaszczyt zapytać gabinet francuski: jakiej i jakiego rodzaju pomocy udzielić chce rzeczywiście sprawie polskiej, kiedy i w jakiej porze pomoc takowa udzieloną jej być może — czy i kiedy Francja gotową jest pomódz nam jednym ze czterech, skutecznych sposobów, pośrednictwem, utrzymaniem neutralności sąsiednich Polsce mocarstw, jawnem wystąpieniem albo ubocznymi zasłankami?...

Pismo to oczywiście pozostało bez odpowiedzi, a niebawem do Francji napływać zaczęły liczne zastępy bezdomnych tułaczów, ofiar ostatniej rewolucji. Uprzedzając przybycie członków rządu narodowego, posłów sejmowych, wodzów i żołnierzy armii narodowej, szukających schronienia na ziemi francuskiej, znalazł się też w Paryżu Julian Niemcewicz, przyjeżdżający z Anglii a serdeczny od lat chłopięcych przyjaciel Kniaziewicza, w którego towarzystwie spędził nasz generał ostatnie lata życia. Bezczyнным wszakże nie pozostał dla sprawy narodowej stary wojownik i po upadku powstania.

Był on stałym korespondentem i współpracownikiem księcia Adama, czasowo bawiącego w Londynie i należał do najgorliwszych członków powstałego w grudniu 1832 roku Towarzystwa Pomocy Naukowej, która to instytucja w ciągu dwunastoletniego istnienia tak ważne naszemu wychodźtwu oddała usługi. Nie mniej żywo zajmował się losami Towarzystwa Literackiego, zaliczając się do grona jego założycieli, popierając czynem i groszem wszystkie usiłowania patryotyczne, przejawiające się wśród ówczesnego wychodźstwa polskiego nad Sekwaną. Uczynny dla biedniejszej braci, chętnie dzielił się z potrzebującymi ostatnim groszem i na ich rzecz przeznaczył też całą, skromną zresztą gotowiznę, jaką rozporządzał w chwili zgonu, zapisując równocześnie mapy swe i książki Bibliotece Polskiej. Lato spędzał zazwyczaj Książewicz w Montmorency, gdzie przesiadywał również często Niemcewicz. Jenerał do końca życia zachował czerstwość umysłu i sił fizycznych. Wstawał o świcie, odbywał dalekie konne przejażdżki, poczem zasiadał do sztalugi i po całych dniach szkicował krajobrazy, któreto zajęcie pozwalało mu spokojnie dumać. O przeszłości jednak wspominać nie lubił i zagadniony w tym przedmiocie, zwykł był przerywać rozmowę, powtarzając z widocznym podrażnieniem: Już to wszystko minęło! Niechęć o tem mówić...

W roku 1841 dotknął go nowy cios. Stracił najbliższego przyjaciela, Niemcewicza, z którym, mimo krańcowej sprzeczności usposobień, łączyły go najszczerze węzły codziennej zażyłości. — Znalście nas — mówił jenerał do żałobnego orszaku nad otwartą mogiłą towarzysza — i widzieliście, że nie było może dwóch bardziej różnych charakterów a jednak dochowaliśmy sobie przyjaźni do grobu, bo miłość ojczyzny była jej podstawą... Zaraz też po zgonie Niemcewicza zapewnił sobie na cmentarzu w Montmorency miejsce wiecznego spoczynku tuż obok grobu przyjaciela, którego o rok zaledwie przeżył. Zgasł w dniu dziewiątym maja 1842 roku w Paryżu, w mieszkaniu swem przy ulicy Godot de Mauroy.

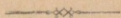
(Nr. 39). Po egzekwiach, odprawionych w kościele Wniebowzięcia, batalion piechoty, szwadron kawaleryi, ziomkowie, przebywający w Paryżu i tłumy publiczności odprowadziły zwłoki generała do rogatek batignolskich, zkąd pod osłoną kawaleryi przewieziono je do Montmorency. Na cmentarzu tamtejszym zebrało się około dwustu ziomków, wobec których przemawiali: ksiądz Aleksander Jełowicki, ks. Adam Czartoryski, generał Dembiński, Ludwik Plater i ksiądz Dłuski. Głębokie wrażenie wywarła zwłaszcza przemowa księcia Adama, który wyraził żal głęboki z powodu nieobecności w kraju Kniaziewicza w chwili, gdy Chłopicki złożył dyktaturę. — Pod najstarszym generałem, powszechnie kochanym i szanowanym — mówił książę Adam — mniejby było zawiści, nieporozumień i wahań. Jako żołnierz, był Kniaziewicz roztropny, ale też i odważający się, był frontowym taktykiem, ale też i powstańcem. Nadewszystko był bezstronnym, sprawiedliwym a ścisłym karności i porządku przestrzegaczem. Umiał być surowym i zachęcającym, nie zmieniał powziętego zdania i nigdy nie rozpaczał. Pod nim rzeczy od początku weszłyby w karby i wzięły szczęśliwy kierunek.

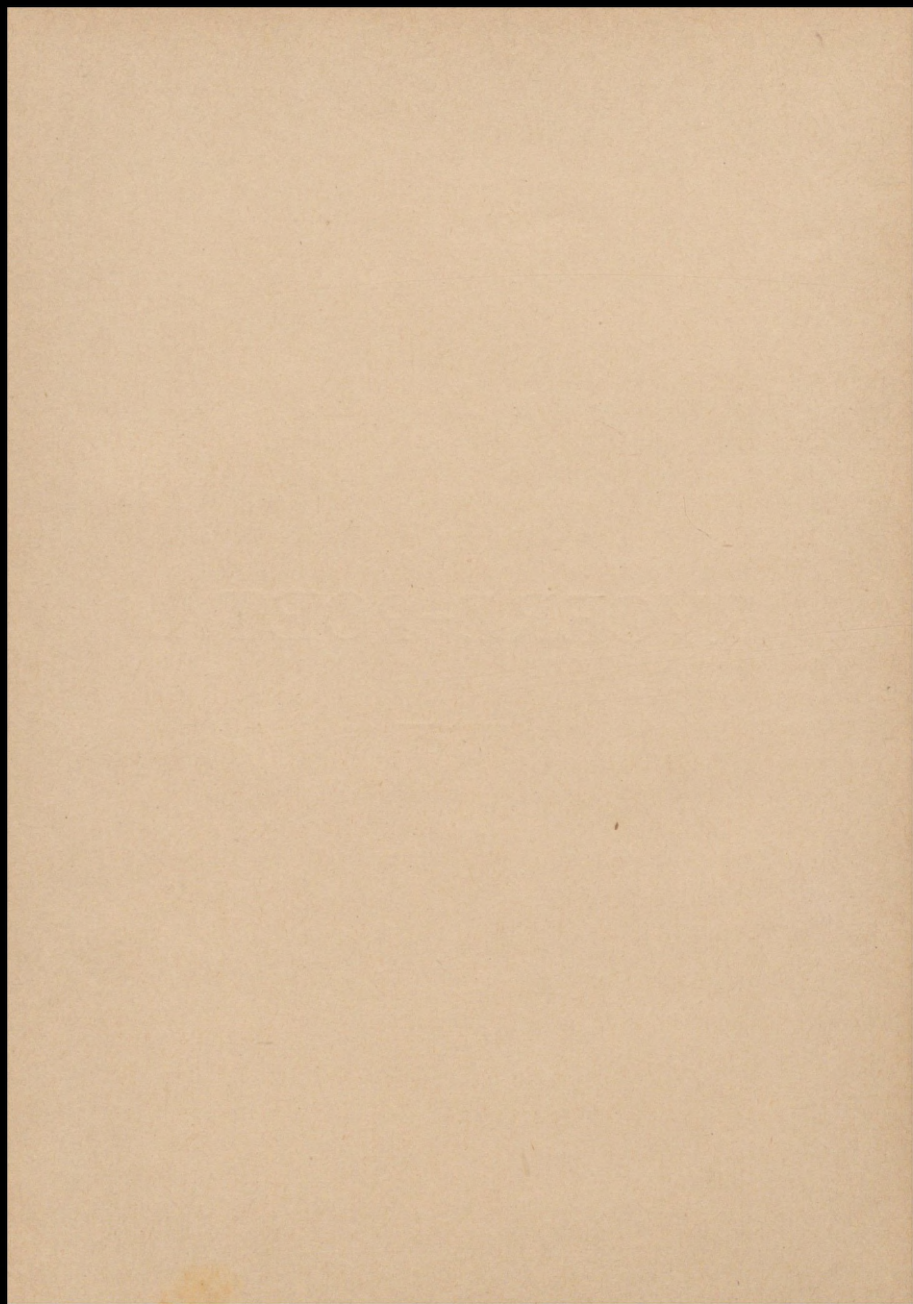
Krótkie te słowa naczelnika rządu narodowego, za najwymowniejszą starczyły pochwałę dla całej publicznej działalności Kniaziewicza, który do ostatniej chwili życia pozostał najwierniejszym, niezłomnym szermierzem sprawy wolności ojczyzny!



III.

# RYCERZ-POETA.







rażenie poematu sprawiają na kartach dziejów naszych porozbiorowych legiony. Poemat ten wspinały, pisany krwią serdeczną wśród dział huku, był zarazem protestem narodu żywcem pogrzebanego, który w tej wojennej dobie dowiódł zdumionej Europie, że nie brak odwagi lub poświęcenia stał się powodem jego upadku.

I znalazły legiony swego barda, prawdziwego rycerza-poetę, który pieśnią bohaterską opiewał ziomków boje a w chwili stanowczej zamienił lutnię na oręż, by ledz na polu chwały śmiercią walecznych. Tym bardem nieustraszonym, piewcą, pełnym żołnierskiego animuszu był autor *Wiersza do legionów polskich*, Cypryan Godziemba Godebski.

Urodzony na Polesiu Wołyńskim, w roku 1765 w średnio zamożnej rodzinie ziemiańskiej, uczył się u Pijarów w Dąbrowicy, by poświęcić się następnie zawodowi prawniczemu w łuckiej palestrze. Godność aktowego wiceregenta, jaką Godebski piastował, nie zabezpieczyła go od utraty mienia, postradanego z powodu procesu z sąsiadem, a co dziwniejsza, nie zdołała naruszyć przyjaźnego stosunku, łączącego oddawna obie strony sporne. Niebawem pochłonęły go tajemne roboty, przygotowujące wybuch insurekcji kościuszkowskiej. Rząd rosyjski, wprowadzający po drugim podziale Rzeczypospolitej nową organizację w Krajach Zabrzanych, powołał wprawdzie Godebskiego na stanowisko kapitana-sprawnika powiatu dąbrowieckiego, ale urząd ten nie przeszkodził

żarliwemu patryocie w spełnieniu podjętych wobec kierowników spisku zobowiązań. Rzuca więc niebawem urządowanie, dające mu być dostatni i spieszy z rozkazu naczelników organizacji rewolucyjnej do Lwowa, gdzie spodziewano się znaczniejsze do przyszłej walki znaleźć zasoby, a z chwilą wybuchu insurrekcji widzimy już Godebskiego z powrotem w rodzinnych stronach, zalanych niestety wojskami imperatorowej i zmuszonych do bezczynności wobec rozpaczliwych z przemożnemi siłami przeciwnika zapasów, staczanych pod wodzą Kościuszki. Nastąpił pogrom maciejowicki.

Ale Maciejowice to tylko nieszczęśliwa bitwa, nie zaś ostateczna i stanowcza przegrana. Do nowych czynów rwały się serca narodu, który nie był dostatecznie skonsolidowany, by zamknąć się w sobie, skupić się i mozolnie a cierpliwie dźwigać gmach, który runął. W kraju trudno było zrywać się do nowych zapasów z mocarstwami rozbiorowemi, ale właśnie z nimi toczyła republika francuska bój na śmierć i życie. To też Polska stać się musiała naturalnym sprzymierzeńcem Francji, jakkolwiek z jej jakobińsko-terrorystycznemi zasadami nie miała nic wspólnego. Jeniusz Bonapartego zwracał na siebie powszechną uwagę, zdając się dobrze wróżyć sprawie wolności wszystkich ludów. Głośne zwycięstwa młodzieńczego wodza, odnoszone we Włoszech, znalazły żywe echo w Polsce, porywały serca, stęsknione za szczękiem oręża.

W styczniu 1797 r. powstały na italskiej ziemi legiony Dąbrowskiego, które lubo pod obce zaciągały się sztandary i za obcą miały walczyć sprawę, ale jedynem ich pragnieniem było w zwyciężkim pochodzie powrócić do ojczyzny i pod broń powołać naród cały. Proklamacyę wodza legionów rozeszły się po całym świecie a kluby patryotyczne, polskie, istniejące w Paryżu, w Wenecyi oraz w cenniejszych miastach niemieckich, starały się przemycić odezwę Dąbrowskiego do kraju, pozbawionego wieści o rozbitkach z ostatniej rewolucyi. Wezwaniu takiemu któżby się oprzeć zdołał?

Godebski, mimo pościgów, jakie za nim urządziły władze carskie, uwijał się niez mordowanie na Wołyniu<sup>1</sup>, niosąc od dworu do dworu, od miasteczka do miasteczka, wieść wesołą o powstaniu legionów, wzywając młodzież do łączenia się z wodzem tych bohaterskich zastępów. Nawiązał żywą korespondencję z komitetami, popierającymi formację legionów a istniejącymi w Wielkopolsce oraz w Małopolsce, tudzież z ambasadą francuską w Stambule. Nieostrożność jednego z wtajemniczonych doprowadziła policję na trop owych robót. Aresztowano kilkanaście osób, znanych z patryotyzmu, a między innymi Józefa Kalasantego Olizara, posła na sejm czteroletni, przyjaciela Godebskiego, obwinionego o udzielanie zasiłków na formację legionów. Olizarowi groziła surowa odpowiedzialność i tylko poświęcenie szlachcica zagonowego, Sokołowskiego, który całą winę wziął na siebie, ocaliło oskarżonego od dalszych prześladowań ze strony władz carskich. Godebskiemu, zagrożonemu również zsyłką na Sybir, nie pozostała inna droga ratunku, jak ucieczka do Galicji. Pobyt we Lwowie, po szalonej wyprawie Denyski, skuteczniejszej z Multan na Bukowinę, nie okazał się bezpiecznym dla emisariusza, który i w oczach rządu austriackiego stawał się osobistością wielce podejrzaną. Komitet lwowski, na którego czele stali Waleryan Dzieduszycki, Trzeciecy, Matkowski, Raciborowski, oraz inni znakomitsi ziemianie, wyprawił przeto Godebskiego w lubelskie, gdzie sprawę legionów popierali gorliwie Koźmian, Dłuski i Wilczopolski. Za przybyciem do Lublina, poznał Godebski bliżej młodziutkiego podówczas Ksawerego Kosseckiego i razem z nim postanowił przedostać się do Włoch. Pod przybranem nazwiskiem, bez paszportów, dotarli przyszli legioniści aż do Dreżna, gdzie wszakże choroba zatrzymała Godebskiego przez czas dłuższy. Korzystając z przymusowej przerwy w dalszej podróży, uczył się rekonwalescent francuskiego języka i dopiero z wiosną 1798 roku znalazł się w Rzymie. Przydzielony do służby przy generale Rymkiewicz, który zrazu miał sobie powierzone

utrzymywanie korespondencji z komitetami patryotycznymi, istniejącymi w kraju, korzystał Godebski z pobytu w wiecznym mieście, by zbadać dokładnie nagromadzone w niem skarby sztuki, a zarazem począł próbować swych sił w zawodzie pisarskim.

Gdy Rymkiewicz objąwszy komendę drugiego legionu, przeniósł się do Mantui, towarzyszył mu również Godebski, który nie przestając na zajęciach biurowych, jał z inicjatywą generała wydawać pismo dla żołnierzy, zwane *Dekadą*. Nazwę tę wzięło wydawnictwo rzeczony z republikańskiego kalendarza, w myśl którego rok dzielił się na dwanaście miesięcy po dni trzydzięci. Co dziesiąty dzień w miesiącu zwał się dekadą i był dniem spoczynku oraz wypłaty żołdu dla wojska. Oczywiście *Dekada*, wydawana dla legionistów, nie była tłoczona drukiem, lecz spisywano ją na kilka rąk i odczytywano żołnierzom przy rozkazie dziennym. Każdy jej numer składał się z dwóch arkuszy bitego pisma i zawierał w jednej połowie tłumaczone z gazet francuskich wyciągi, obchodzące bliżej Polaków a w drugiej korespondencye z różnych części kraju, otrzymywane z niemałym trudem przez legionistów. Nadto Rymkiewicz, dbały o zachowanie wśród tułaczów nieskażonego języka polskiego, zalecał tłumaczyć wyjątki z dzieł naukowych i odczytywać żołnierzom, których wykształcenie głównie mu leżało na sercu, zaś Godebski i kapitan Paszkowski zajmowali się systematycznym wykształceniem legionistów, ucząc ich arytmetyki tudzież dziejów ojczytych. Szczątki *Dekady*, zachowane w papierach Godebskiego w dwu egzemplarzach, ofiarował syn jego, Ksawery, do domku gotyckiego w Puławach.

Zrazu nie pełnił Godebski w legionie służby frontowej, lecz pozostawał — jak się pułkownik Regulski w swoich zapiskach wyraża — w randze cywilnego patrioty. Mimo to dzielił wyprawy legionu i w bitwie pod Legnago, (w dniu 25. marca 1799 r.), świadkiem stał się naocznym zgonu brata, świeżo przybyłego z Polski. Odłam działowego pocisku kres

położył życie młodego żołnierza a rozpaczającego nad zwłokami poległego Godebskiego, pocieszał Rymkiewicz, wskazując mu szeregi legionistów: Oto są bracia twoi!... Wkrótce



CYPRYAN GODEBSKI.

(Według rysunku Woynakowskiego,  
zachowanego w zbiorach Pawlikowskich we Lwowie).



Cyprian przywdziawszy mundur wojskowy, bił się dzielnie i w krwawej rozprawie pod Weroną odniósł ciężką ranę a zarazem mianowany został na placu boju porucznikiem. Towa-

rzysze broni unieśli rannego z pola walki do Mantui, którą niebawem opasały oblężnicze wojska nieprzyjacielskie. Lecząc się w lazarecie, śledził Godebski z szczególną uwagą przebieg obustronnych działań wojennych i rezultat swych spostrzeżeń streścił w *Pamiętniku oblężenia Mantui*, skreślonym na żądanie generała Kniaziewiczza, a stanowiącym dokument pierwszorzędnej wagi do dziejów drugiej legii, zamkniętej, jak wiadomo, w murach tej twierdzy. *Pamiętnik* swój rozpoczyna Godebski od pierwszych dni kwietnia 1799 roku, kiedy to po przegranej pod Weroną nieudolny wódz armii republikańskiej, Scherer, miasto bronienia przeprawy na Mincjonie, cofnął się beczynnie ku Fosolo, pozostawiając Mantuę jej losowi. — Była to chwila powszechnej w tem mieście rozpacz i otwartego szemrania — słowa Godebskiego. — Nikt nie chciał dowierzać wałom i niedostępnym miejscom tej twierdzy, wszystko było w zamieszaniu i w trwodze... Wspomina następnie autor *Pamiętnika* o śmierci zanego Rynkiewicza, który ranny, przywieziony z werońskiego pobojowiska do Mantui, odstawiony został z porady lekarzy do medyolańskiego lazaretu, gdzie ducha wkrótce wyzionął. Legia druga w trzy dni po batalii znalazła się w murach Mantui, mimo przedstawień Wielohorskiego, czynionych w głównej kwaterze, by legionistów nie odsyłano do fortecy, lecz użyto ich raczej w otwartem polu. Odpowiedziano mu, że Polacy, przeznaczeni do obrony tak ważnego punktu warownego, nowy tem samem otrzymują dowód ufności ze strony rządu rzeczypospolitej... I w rzeczy samej komendant Mantui, generał Foissac-Latour powierzył artylleryi naszej najbardziej odpowiedzialne stanowisko na przedmieściu Świętego Jerzego oraz na Isle de Thé, podczas gdy legionisci z batalionów pieszych, prócz codziennej niemal służby w garnizonie, pracować musieli około robót ziemnych, mających na celu wzmocnienie linii fortyfikacyjnej. Zaraz też w pierwszej wycieczce, uczynionej przeciw nieprzyjacielowi, Polacy świeżą okryli się sławą jakkolwiek wśród starszyny legionu nie brakło pożałowania

godnych sporów, wywołanych wygórowaną ambycją poszczególnych oficerów, to mimoto legioniści wyróżniali się korzystnie wśród ogółu mantuańskiej załogi, złożonej z Francuzów, z Włochów i z Szwajcarów. — Umysł Polaka umie być wyższym w nieszczęściu — słowa *Pamiętnika* — mamy dziś liczne tego dowody; nie brakło ich i w Mantui, kiedy cały prawie garnizon, z różnych wojsk złożony, narzekał na niedostatek, drożyznę i trudy, jeden Polak tylko nigdy nie sarkał. Przypadki dezercyi zagęszczone, (nie wyłączając Francuzów), nie były nam znane owszem jeden żołnierz, wzięty w niewolę wśród wycieczki, o kilkadziesiąt mil nocami, wycieńczony głodem, do Mantui przyszedł...

Opowiada następnie Godebski o życzliwym przyjęciu, jakiego ze strony Foissac-Latoura doznały uwagi, dotyczące sposobu dalszej obrony twierdzy a podane komendantowi przez szefa legii Kosińskiego, o bohaterskiej obronie Isle de Thé i bramy Pradelli, kędy kapitan Czechowski, zasypywany gradem pocisków, nieustraszenie bronił się wśród gruzów, wreszcie o radzie wojennej, która zadecydowała poddanie twierdzy... Wiadomy jest na koniec — czytamy w końcowym ustępie *Pamiętnika* — postępek nieprzyjaciela z wychodzącą z Mantui legią naszą, która przeciw wierze kapitulacyi, wbrew prawom i samej ludzkości gwałt publiczny poniosła. Nie służyłby on jak tylko do wzbudzenia smutnej dla mnie pamiętki i do wzniecenia ku sprawcom gwałtu nienawiści, która w sercu ofiary ani się już powiększyć, ani zmniejszyć nie może...

Godebski, jako ranny, nie podzielał niewoli korpusu oficerskiego, który w myśl kapitulacyi oddawał się zwycięzcy w charakterze zakładników, w zamian za żołnierzy, wyprowadzonych etapami do Francyi. Mógł być wprawdzie pozostać w szpitalu mantuańskim, gdzie rannym i chorym przyrzekano wszelką opiekę, wołał jednak o kulach pociągnąć za kolumną powracających do Francyi legionistów a przygody, doznane w ciągu tej podróży, odbywanej o chłódzie i o głodzie, posłużyły mu za osnowę do skreślenia powieści, znacznym w swoim czasie cieszącej się rozgłosem.

Tytuł jej: *Granadyer-Filozof, powieść prawdziwa, wyjęta z dziennika podróży, roku 1799.*

Jest to rodzaj dyaryusza, spisywanego wierszem i prozą podczas marszu, odbywającego się powolnie i nie bez przeszkód na Weronę, Novi i Mont-Cenis ku granicom Francyi, Towarzyszył Godebskiemu w owej podróży kapitan Michałowski. Obaj jednak oficerowie, ogołoceni z wszelkich funduszów, gdyż żołądź zaległy miano im wypłacić dopiero w Chambery, padliby nieochybnie ofiarą zalewających Lombardya wojsk nieprzyjacielskich, gdyby nie uczynność bohatera powieści, Jana Henry'ego, który własnym kosztem wynajął dla schorzałych muły, mające ich przewieść przez góry. Ów Henry, granadyer-filozof — jak go Godebski nazywa — był synem zamożnego kupca z Tulonu, który zabrany przemocą pod karabin i ranny pod Weroną, powracał do domu nie bez funduszów, dostarczonych mu przez rodzinę. Użył tych pieniędzy w sposób szlachetny, spiesząc z pomocą potrzebny towarzyszom broni a poeta przekazując potomności nazwisko Henry'ego dowiódł, że wdzięczność nie była dla niego obcem uczuciem. Oto jak żegna Godebski swego dobroczyńcę:

Większy ten u mnie, co dwa wywiódł szczepy;  
Niż ten, co tysiąc miast zmienił w stępy;  
Z czyich rąk piękny gaj się zazielenił,  
Niż ten, co pola krwią bratnią zrumienił;  
A ten, co jednej lzy utarł sierocie,  
Większy nad tego, co zadziwił krocie!

Z *Granadyera-filozofa* również dowiadujemy się, że autor tej powieści zaraz po przybyciu do Lugdunu przyjął nominację na kapitana w legii naddunańskiej, formowanej pod wodzą Kniaziewiczza. Atoli rany źle wygojone zniewoliły go do wzięcia dłuższego uwolnienia od służby i szukania ulgi u wód Akwizgrańskich, gdzie też poznał przyszłą swą małżonkę, Justynę Godfrinon. Zaledwie wyleczony, znalazł się Godebski ponownie w szeregach legii, walczącej nad Renem. W bitwie pod Offenbach pierwszy się rzucił w rzekę i por-

wawszy swym przykładem cały batalion, niemało przyczynił się do przechylenia zwycięstwa na naszą stronę. Toż samo odznaczył się w starciu pod Hochstadt, gdy nieprzyjacieli odparty z znacznymi stratami, zamierzył wśród nocy powetować klęskę i nagłym uderzeniem jazdy wywołać zamieszanie wśród odpoczywających po boju zwycięzców. Czujność Godebskiego udaremniła wszakże zakusy przeciwnika. Na czele swego batalionu wytrzymał pierwsze uderzenie atakujących i ocalił obóz. Nie brakło też Godebskiego we wszystkich ważniejszych bitwach, w których uczestniczył legion naddunajski. Był więc w ogniu pod Filipzburgiem i pod Hohenlinden, pod Wasserburgiem i pod Lublaną a dopiero zawarcie pokoju lunewilskiego, (dnia 26. stycznia 1801 roku), rozwiewającego w niczecz nadzieje legionistów, zniewoliło go do wzięcia dymisy.

— Krok Kniaziewiczza, Drzewieckiego i innych co pobrali dymisyse — pisze Godebski z Frankenthalu, w dniu 29. czerwca t. r. do Wybickiego — wstrzymał lub spóźnił przynajmniej wyrok, napisany w gabincioie Malmaison względem legii a tem samem wymógł próbkę jedną obserwacyi na rządzie, że mu jeszcze legie potrzebne. Ja inaczej nie uważam pokoju lunewilskiego, jak arministicyum awantażowne dla cesarza, za które nie dał w zastaw żadnej fortecy i oswobodził całe Niemcy. Nie lubię marzyć o czynnościach gabinetów, tem mniej czynić wróżby, lecz to co postrzegam, zostawuję twojej uwadze..... Ja tu czekam, co losy zemną zrobią.....

Odprowadziwszy swą komendę do Toskanii, gdzie legii przeznaczono leże, powrócił Godebski do Paryża a następnie do kraju. Rzucił ojczyznę młodzieńcem, pełnym sił i zdrowia a powracał do niej okrytym ranami, niemal kaleką. Wówczas to pod wpływem świeżo przebytych zawodów i smutnej rzeczywistości, jaką przedstawiały rządy pruskie w Warszawie, skreślił poeta *Żal*, rozpoczynający się od słów:

Zbladły życia mego zorze,  
Urok dawnych marzeń znika,  
A w burzliwej wieku porze,

Wieczór z porankiem się styka.  
Zgryżliwa troska zatrula wiek młody.  
Wszędzie, jak cień snujący śledzi moje kroki  
Martwym okiem spoglądam na wiosny uroki  
I zmiennej jesieni szkody.

I nie trudno zrozumieć pośepny ów nastrój lutni żołnierza-tułacza, który ujrzał Warszawę stolicą Prus Południowych. Niemiecki język w szkole, w administracji i w sądzie rugował w zupełności mowę ojczystą, ómy pruskich kolonistów i robotników snuły się po całym kraju a rząd zaborczy, dążąc do tem rychlejszego wywłaszczenia ziemiaństwa, ułatwiał mu pożyczki na niski procent. Łatwość kredytu w połączeniu z niesłychanie wysokimi cenami zboża, obudziły wśród ziemiaństwa chętkę do wystawnego życia, zbytków, hulatyk, które niebawem przeszły w istny szal. Niebyło miasteczka bez kasyna, niebyło ani jarmarku, ani odpustu bez składowych balów, gry, pijatyki przytem i burd, przypominających dawne sejmiki. Warszawa przewodniczyła w tej nieszczęsnej fantazyi karnawałowej, wyprawianej na świeżym jeszcze Ojczyzny grobie. Prócz okazałych przyjęć po domach arystokratycznych, odbywały się liczne zabawy publiczne, na których obok magnateryi i przyjezdnej szlachty nie brakło, też Prusaków. Nadto zamożniejsza młodzież, nie przestając na zebraniach salonowych, gromadziła się oddzielnie, by grać drogo w karty, pić do upadłego i po pijanemu awantury wyprawiać na ulicach, napadać na przechodniów, na policyantów, zdzierać szylidy sklepowe albo też wadzić się między sobą i po wytrzeźwieniu rąbać się w szopie łazienkowskiej. Łagodny, aż nazbyt może pobłażliwy gubernator warszawski, Koehler, przez szpary spoglądał na wybryki paniczów, które na rękę były berlińskiemu rządowi, dybiącemu na ostateczną zgubę majątków, ducha i narodowości polskiej. Wobec tego o jakimkolwiek ruchu umysłowym i mowy być nie mogło. Autorowie ucichli, rozpierzchli się. Jednych śmierć zabrała, innym smutna doła ojczyzny pióro

wytrąciła z ręki. Żadna ważniejsza albo przynajmniej zajmująca i dobrze napisana książka nie pokazała się po rok tysięczny ośmsetny w Warszawie. Nie nie budziło ciekawości ani też chęci do czytania i piśmiennictwa ojczystego, a co gorsza, zamiłowanie do francuzczyzny weisnęło się, za przykładem arystokracji, do klasy średniej. Francuzkie książki i sztuki teatralne rugowały rodzime utwory z księgarni i ze sceny, podobnie jak język francuzki i paryski obyczaj stały się wyłącznie panującymi w życiu towarzyskiem syreniego grodu.

Z tem wszystkiem Godebski nie opuszczał rąk bezradnie, nie pogrążył się w beczynnej apatyi i rychło otrząsnął się z przykrego wrażenia, jakie na nim w pierwszej chwili aż nadto rozbawiona może stolica wywarła. — Warszawa jest i będzie miastem Polaków — pisze nasz poeta w grudniu 1802 roku do Amilkara Kosińskiego. — Jeżeli ograniczać chcemy nasze żądze w życiu spokojnem i od prześladowania wolnem, znajdziemy to wszystko pod rządem tutejszym. Mogę powiedzieć, iż duch wolności cywilnej nie wydaje się bardziej jak w sposobie życia mieszkańców tutejszych. Gdybym ci mógł udzielić pism niektórych, możebys z ostrożnością je czytał na wolnej, jak mówisz, ziemi waszej. Lecz porzućmy pochwały i nagany krajów. Chcę ci dać jakikolwiek obraz stanu i zabaw Warszawy. Powrót kilku osób światłych i patriotycznych z zagranicy stał się użytecznym krajowi. On im winien w części założenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk a zupełną odmianę w obyczajach młodzieży. Bilardowa juna-kerya nie najlepiejby się wydała przy ludziach, którzy dali dowody męstwa na placu chwały a spokojności w życiu prywatnem. Mogę powiedzieć na chlubę powracających z legiów, że ich postępowanie w kraju zgodne jest z ich poświęceniem się za granicą. To mnie utwierdza w opinii, że legie więcej nam przyniosły korzyści niż straty, wyjąwszy stratę kilku osób, których wspomnieć nie można bez żalu...

Wspólnie z Kosseckim, który nosił się podówczas z zamiarem napisania historyi legionów, wziął się Godebski do

pióra i w latach 1803—1805 wydał pięć tomików *Zabaw przyjemnych i pożytecznych*, wypełniając je przeważnie własnymi pracami, oryginalnymi oraz przekładami z dzieł La Harpa, Segura, Delilla. Wobec dzisiejszej publikacji warszawskich wcale niepokaznie wyglądają owe *Zabawy*, tłoczone u następcy Dufoura, Tomasza Lebruna, na szarym, bibulastym papierze. A jednak, mimo skromnych rozmiarów, wydawnictwo Godebskiego, odznaczało się znaczną stosunkowo różnaitością. Obok poezyi wydawcy tudzież Jakóba Jasińskiego, Kazimierza Gliszczyńskiego i artykułów prozą znajdujemy tam sprawozdania z współczesnej literatury zagranicznej, rozprawki o sztuce tudzież nieodzowne w ówczesnych publikacjach anegdota, zapożyczone z dzieł Kotzebuego. Równocześnie z wydawnictwem *Zabaw* ogłosił Godebski drukiem *Grę geograficzną dla dzieci*, (w r. 1803), lecz największy rozgłos pozyskał skreślonym w roku 1805 i wydany oddzielnie *Wierszem do legionów polskich*, w którym, jak sam powiada, pragnął stworzyć legionom tymczasową pamiątkę. Oto jak kreśli poeta cel i zadanie tych bohaterskich zastępów...

Tkwi mi zawsze ten moment w pamięci niestarty,  
Gdy srogi los Polaka wymazywał z karty;  
I kiedy on rzucając dom, ród i dostatki,  
Rozpierzchnął się po świecie, jak pszczoły bez matki;  
Ja wśród zagonu łzami zlewając rzewnemi  
Plug, idący oporem w nowych panów ziemi  
I myśląc nad ojczyzny smutnem przeznaczeniem  
Usnąłem, zadumany pod jaworu cieniem.  
Gdy się myśli unoszą po krainach marzeń,  
Snując pasmo zwodniczych obrazów i zdarzeń,  
Na skrzydłach urojenia niesiony po świecie,  
Ujrzałem się na Alpów niebotycznych grzbiecie,  
Skąd Hesperyjskie pola i Tanaru brzegi,  
Postrzegłem Lechickimi okryte szeregi.

W ich zbrojnym ciele dusza narodu jaśniała,  
Na twarzy była rozpacz a na czole chwala;  
Każdy pyłem okryty marsowego znoju,  
Nucąc hymny ojczyste, pałał żądzą boju;

A gdy wśród tętu koni, trąb i kottłów wrzawy,  
Godzinę walki bożec zapowiadał krwawy,  
Zamiast odkazu innej dla siebie spuścizny,  
Jeden drugiemu pomstę polecał ojezyny.  
Choć zaś śmierć ich małego nie szczędziła liku,  
Szeregi zawsze pełne stawały do sztyku:  
Zdawało się, że z każdej pobitych mogiły,  
Nowy roty mścicieliów na plac wychodziły.  
Tam ludów, różnych mową, ubiorem, postacią,  
Napierśnie zdołał napis: Wolni wszyscy bracia...  
Widziałem, jak się boje rozpoczęły krwawe  
I jak człowiek za własną potykał się sprawą  
Ale w takowej walce spór nie mógł być długi,  
Gdzie naprzeciwko wolnym pan wysyłał sługi.  
Próżno zbladły fanatyzm, z mistycznego tronu,  
Tluszcze zwoływał znakiem grzechotki i dzwonu;  
Głos wolności zagłuszył poświęcone spiże,  
A przed jej chorągwiami uciekały krzyże;  
I ten, co swe Polakom winien ocalenie,  
Drżał Wiedeń na zdradzonych wybawców zbliżenie;  
Sztandar zaś Mahometa, ten wojenny spadek,  
Naszych przodków a sąsiad niewdzięczności świadek,  
Co go polskie wydarło Muzułmanom ramię  
A Lorec ze czią chował, jako cudu znamię,  
Stawiając na myśl Polakom Sobieskich przykłady.  
Wiódł tam wnuków, gdzie mężne zdobyły go dziady...!

W dalszym toku poematu mówi Godebski o bohater-  
skiej śmierci Rynkiewicza, o krwawych zapasach pod We-  
roną i Legnano, o pochodzie na Neapol i Rzym, »kędy Polak  
rozkazy dawał z Kapitolu«, wreszcie o kampanii nadreńskiej,  
owieńczonej zwycięstwem pod Hohenlinden. Tu pyta poeta:

.....Jakież dano wam zato podzięki;  
Krew się ścina w mych żyłach, pióro pada z ręki,  
Boleśc załumia mowę — nie staje wyrazu!  
Ale na co powiększać okropność obrazu?  
Szlście na głos braterstwa, lecz o losie srogi!  
Ten grób znalazł, ten wrócił bez ręki lub nogi.  
Oddalony od braci, domu i rodziny,  
Niejeden pije gorycz pośród słodkiej trzciny

A drugi przebiegając okropne pustynie,  
Lub cudzy głód nasycą, albo własnym ginie.  
O hańbo, O ślepoto w ludziach niepojęta!  
Ten, który został wolnym, poniósł drugim pęta,  
Poniósł, ale słusznego nie uszedł pogromu,  
Znalazł lub zgon za morzem, lub niewolę w domu.

Pełen świętego uburzenia woła poeta do Francuzów:

O narodzie riewdzięczny! — takąż Twa zapłata,  
Byś na rzeź szał przyjaciół, wśród obcego świata,  
Nadzieję matek zmieniał na rozpacz i trwogę!  
Takąż nam do ojczyzny układałeś drogę?

Wiersz kończy się inkwokacją Godebskiego do towarzyszyów broni:

.....O wy drogie narodu ogromnego szczątki!  
Czyż nie dość ginąć marnie? — trzebaż bez pamiętki?  
Niktże waszych dzieł świetnych nie ogłosi światu  
Nie rzuci na mogiły ojczystego kwiatu?  
Macież dla nas pić gorycz wszędy rozproszeni,  
Albo ginąć, a ginąć jeszcze zapomnieni?  
Nie — myśl słodka mnie ciesz, że pamięci córa  
Dar nam gotuje w płodzie ojczystego pióra  
I że z waszych popiołów, przecucia me tuszą;  
Powstanie polski Maro z Jasińskiego duszą;  
On wasze czyny poda do wiecznej pamięci  
A głosząc moje rymy, wspomni dobre chęci.

Poprzedził poeta »Wiersz do legionów polskich« krótką notatką historycznej treści, w której opowiada w najogólniejszym zarysie dzieje powstania oraz działalności tego korpusu, zamykając swą przedmowę wzmianką następującej treści:... Ten co zechce szukać w moim rymie sztuki, ozdób i wdzięku, niechaj na próżno jednego nie zaczyna wiersza. Znajdzie tam rozrzucone myśli, nudne powtarzania; słowem — obraz obłąkanego kochanka, który w nieładzie uniesień opłakuje stratę ulubionego przedmiotu. Pisałem dla moich rodaków z tem uczuciem, z jakim nieszczęśliwy składa swoje cierpienia na łono podobnych jemu...

Na brak uznania ze strony ziomków nie mógł się uskarżać nasz poeta, zaszczycony w listopadzie 1805 roku mianowaniem na członka warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Atoli zawód pisarski nie mógł mu dać podstawy bytu, tem bardziej, że prócz żony miał Godebski do wyżywienia troje dzieci. Musiał więc dzielny legionista jąć się bakalarskiego chleba i w tymże czasie opuścił Warszawę, znalazłszy w domu ziemiańskim na wsi zajęcie w charakterze nauczyciela prywatnego. Rad był przynajmniej, że nie potrzebował rozłączać się z rodziną, ale zaraz po przyjeździe na miejsce nowego pobytu zachorowały mu obłożnie żona i dzieci. Stracili wówczas Godebscy córkę i pod świeżem wrażeniem tej straty pisze poeta do serdecznego druha, Kosińskiego:... Kiedy sobie wystawiam dzieje mojego życia, przekonywam się, że jest pewna liczba śmiertelnych na ustawne skazanych cierpienia i nad którymi nieszczęście, począwszy od człeka aż do bydłęcia, systematycznie, że tak powiem, wywiera swą władzę... List ten pisany był w sierpniu 1805 roku w Rydzewie, lecz już w roku następnym widzimy Godebskiego w Warszawie, gdzie go też odszukał podpułkownik Szymanowski, wysłany po zwycięstwie pod Jeną z odezwaniami Dąbrowskiego oraz Wybickiego do stolicy. Dawny żołnierz otrzymawszy wezwanie wodza legionów nie namyślał się ani chwili i w ciągu kilku godzin wybrał się w drogę do Poznania. Stanął tam jeden z pierwszych. Dąbrowski powierzył mu formowanie pułku piechoty a następnie zaliczył Godebskiego do swego sztabu i polecił mu wygotowanie przekładu z francuzkiego regulaminu musztry pieszej. Praca ta, uzupełniona później przez Fiszera, służyła jako podręcznik dla oficerów nowoorganizowanej armii księstwa warszawskiego a biegłość w piórze Godebskiego była powodem, iż zatrudniono go pierwsiastkowo w biurach ministerstwa wojny, czyli jakto wówczas mówiono, dyrekcyi wojennej. Zamianowany pułkownikiem, nie przestał Godebski na zajęciach kancelaryjnych, lecz co rychlej pospieszył na linię bojową, by

wziąć udział w kampanii siódmego roku, zakończonej tyłżyckim traktatem.

Później powierzono mu dowództwo warowni Modlińskiej, na którym to stanowisku rozwinął wielki zasób zdolności organizacyjnych i doprowadził powierzony jego komendzie pułk ósmy piechoty do znakomitego stopnia wyrobienia. Zająęcia zawodowe nie przeszkodziły mu w pracy literackiej. Wówczas to, prócz licznych przekładów oraz utworów okolicznościowych, powstały jego *Listy o wsi* oraz niedokończony niestety *Wiersz do Płci pięknej*, zaczynający się od słów :

O ty bogów obrazie, śmiertelnych zalet!  
Źródło naszych roskoszy i cnoty podnieto;

Na uwagę zasłużył również wiersz Godebskiego skreślony w listopadzie 1807 roku z okazji zaślubin Dąbrowskiego. Dawnemu wodzowi życzy poeta:

Bądź szczęśliwy w miłości, tak, jak byłeś w boju,  
Przyszłego na jej łonie zapomniawszy znoju,  
Nie mogąc nic do chwały dodać, co cię zdoła,  
Niech wybór Twego serca szczęśliwym cię zrobi.  
Niechaj liczne potomstwo, owoc słodkiej pracy,  
Będzie darem, którego czekają rodacy!

Jakkolwiek oddalony od stolicy, brał Godebski czynny udział w jej życiu literackiem i zaledwo dowiedziawszy się, (w styczniu 1809 r.), o podjętym przez Osinińskiego projekcie wydawnictwa »Pamiętnika Warszawskiego«, przesłał mu wiersz swój p. t. *Do Arysta*. Był to już łabędzi śpiew poety, gdyż z wiosną tegoż roku zabrzmiały znów surmy bojowe. Z chwilą wkroczenia wojsk austriackich w granice księstwa, otrzymał Godebski rozkaz, by wraz z dwoma batalionami swego pułku przybył pod Raszyn. Pochód z powodu wiosennych roztopów był wielce utrudniony i już dobrze po północy znalazł się pułkownik w Warszawie. Zaraz też udał się do kwatery Saugniera, pełniącego obowiązki komendanta gwardyi naro-

dowej, stołecznej, z zawiadomieniem o swem przybyciu tudzież z oznajmieniem, że bezzwłocznie rusza w dalszy pochód do obozu. Saugnier radził przybyłemu, by ze względu na znużenie żołnierza odpoczął przez resztę nocy.

— Kazałem — odparł Godebski — rozdać nieco żywności i napoju. Żołnierz jest najlepszej myśli i pragnie spieszyć bez odpoczynku przeciw nieprzyjacielowi. Żołnierz czuje głęboko wartość odzyskanej ojczyzny i wie, za jaką sprawę ma walczyć. Pójdę więc dalej bez zwłoki!

I w rzeczy samej dotrzymał słowa. Po całonocnym marszu, o świcie dziewiętnastego kwietnia był już w obozie i otrzymał rozkaz zajęcia wsi Falent oraz pobliskiej olszyny, tworzącej klucz naszej pozycji. Lasy, ciągnące się od strony Tarczyna, zasłaniały wojska austriackie, posuwające się w trzech kolumnach od Nadarzyna, Tarczyna i Piaseczny. Ich pierwszą kolumnę, złożoną z pięciu batalionów piechoty z trzech pułków huzarskich i z dwunastu dział, wiodł generał Mohr, który zaraz po wyjściu z lasów uderzył na Falenty. Naczelnie dowodzący przednią strażą, generał Sokolnicki, miał dla obrony tej pozycji zaledwo trzy bataliony piechoty i sześć armat. Na odgłos pierwszych strzałów pospieszył książe Józef do Falent wiodąc za sobą trzy działa, które ustawione przed wioską posiłkują ogień Sokolnickiego. Mohr całą swą piechotę, uszykowaną w batalionowe kolumny, rzuca na Falenty. Widząc to Godebski, obiega raz jeszcze swój batalion zagrzewając żołnierzy do wytrwania w nierównym boju.

Ufam z pewnością — woła, iż zasłużycie sobie teraz przez swą odwagę, by numer nasz ósmy zamieniony został na pierwszy!

Ale przewaga zbyt wielka po stronie przeciwnika czyni utrzymanie pozycji niepodobnem. Batalion Godebskiego chwieje się, wreszcie następuje w nieładzie, z czego korzystając Austriacy zajmują wieś wraz z olszyną. Wówczas sam książe Józef staje na czele uszykowanego ponownie batalionu i bagnetem wypiera przeciwnika, który zdumiony szalonym ata-

kiem, rażony ogniem z dział polskich, ustępuje w końcu. Ale świeże posiłki spieszą w pomoc Mohrowi; z lasu wysuwa się brygada generała Civalardi. Sześć świeżych batalionów austriackich i dział dwadzieścia staje na linii bojowej. Teraz już armat dwadzieścia i cztery gra przeciw dziewięciu polskim. Walka nierówna. Artyllerzyści nasi padają gęstem trupem przy działach. Kilka jaszczków z prochem wylatuje w powietrze. Nieprzyjacielskie granaty gęstym gradem spadają na na Falenty. Niebawem płomień ogarnia kryte słomą chaty a równocześnie jedenaście austriackich batalionów rusza do ponownego ataku.

Komenda Godebskiego, wzmocniona jedną kompanią grenadyerską, walczy zaciekle o każdą piędź ziemi. Pada koń pod nim, więc przesiada się na innego rumaka i wiedzie swą garstkę na bagnety przeciw zięjącym morderczym ogniom kolumnom nieprzyjacielskim. Za chwilę dzielny legionista otrzymuje postrzał w lewą nogę. Krew, uchodząca z rany, broczy konia, ale pułkownik nie zważa na nic. Około niego gęsto padają ranni i trupy. Zaledwo już trzecia część żołnierzy otacza sztandar wśród odnętu nieprzyjaciół, ściskających co raz to silniej ten zastęp straceńców. W tem druga kula uderza Godebskiego w samą pierś. Leci z konia bezwładny na ręce swych towarzyszy. Żołnierze na płaszcze porywają ukochanego pułkownika, kolbą i bagnetem torując sobie drogę do odwrotu. U boku dowódcy ginie dzielny porucznik Dobiecki. Już się zdaje, że wiara ocali komendanta. Zemdłonego układają na uboczu, gdy w tej chwili świeża salwa karabinowa uderza w niedobitków i trzecia kula ugadza rannego w lewe udo.

— Więc i ty mnie także nie mijasz? — rzekł spokojnie gasnący wojownik.

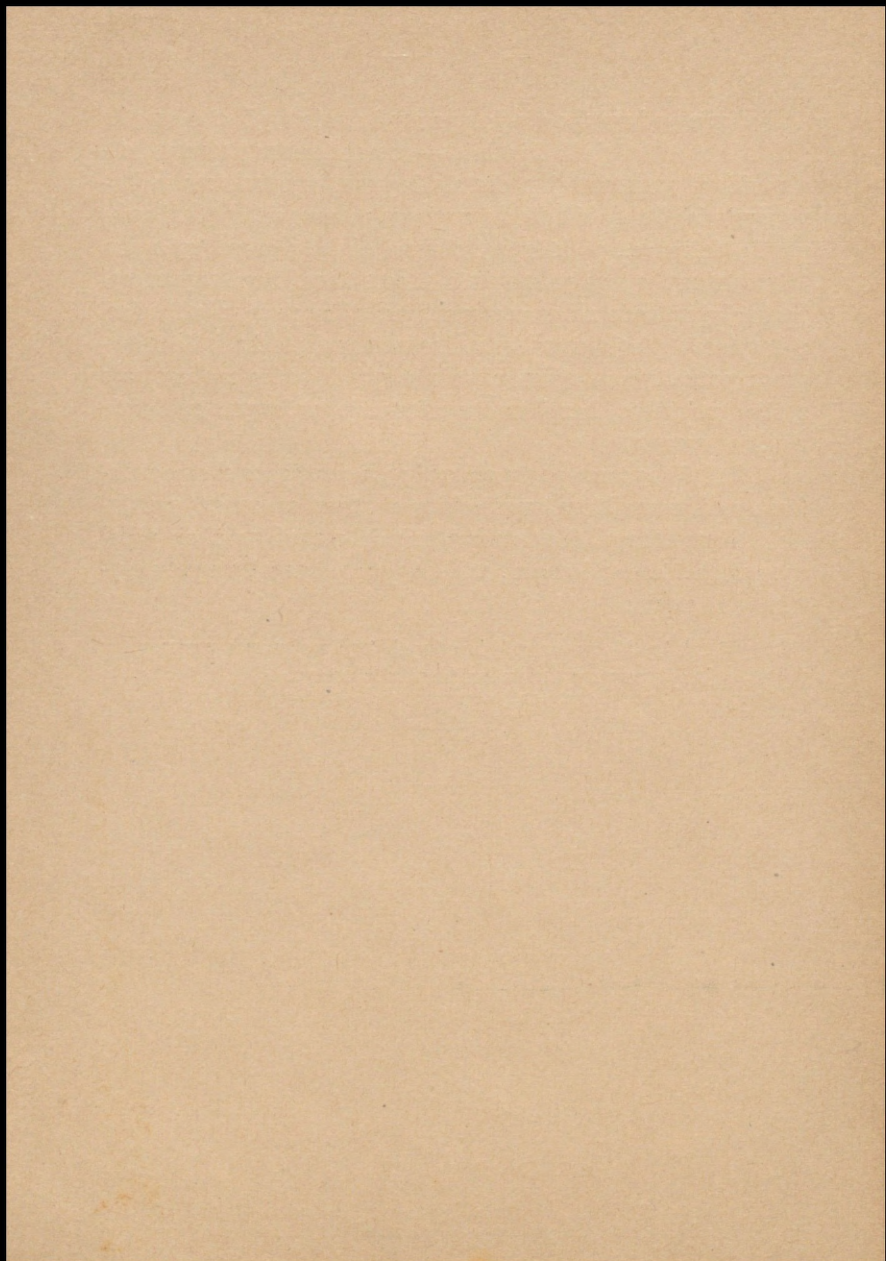
Były to ostatnie słowa Godebskiego. Nieprzytomnego zdołał wprowadzić dowieść do Warszawy dzielny sierżant grenadyerów, Żórawski, ale pomoc lekarska przybyła już za późno i pułkownik zginął skutkiem krwi upływu. — Niebo

dało mu odzyskać ojczyznę i walczyć z chwałą na ojczystej już ziemi — powiedział wymowny Szaniawski w pośmiertnej pochwałę ległego, wygłoszonej w Towarzystwie Przyjaciół Nauk a słowa te znamionują najlepiej chwilę dziejową, w której Godebski dał życie za Ojczyznę. O zaopatrzeniu jego rodziny nie zapomniano. Rząd wyznaczył pozostałej wdowie znaczną stosunkowo płacę; przyszłość dzieci zabezpieczyły hojnym zapisem Aleksandra Potocka i Szaniawskiego a patriotyczne zgromadzenie księży Pijarów zaofiarowało synom poległego bezpłatne wychowanie w swym zakładzie wychowawczym.

Zwłoki rycerza-poety spoczęły na powązkowskim cmentarzu pod pomnikiem, wzniesionym przez wiernego przyjaciela, Kosseckiego. Na bocznej ścianie sarkofagu obok godeł rycerskich, tarczy i oręża, widniał po niedawna na poły czytelny już napis:

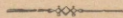
...A krótkie w czasach krwawych trąb wojennych przerwy,  
Przyjemnym poświęcali zabawom Minerwy.

---



IV.

SANTO DOMINGO.





UNIVERSITY OF MICHIGAN LIBRARY



**S**anto Domingo — jak to słusznie zauważył jeden z naszych historyków — to przejmująca tragedia, pełna scen dantejskich, to straszna nauka, dana narodom, ślepo ufającym obcym potęgom i obcym geniuszom. Na piaskach tej wyspy, w głębiach otaczającego ją Oceanu spoczęły kości naszych bohaterów bezimiennych, żołnierzy obcej sprawy, którzy głową nałożyli za złudne nadzieje, jakimi kupiono ich ramię.

A jednak dzieje Haiti nietylko dla nas posiadają wartość ważnego wspomnienia. Są one dowodem niezbitym, że wszystkie rasy powołane są w równym stopniu do uczestnictwa w spełnianiu ogólnych zadań ludzkości. Stwierdzają jasno, że mimo najbardziej niesprzyjających warunków, czarna, pogardzona ludność wyspy, wzrosła w upokarzającym niewolnictwie, znalazła dość siły i hartu, by zrzucić nienawistne jarzmo białych i zdobyć sobie prawa człowieka, jakich jej republikanie francuzcy statecznie odmawiali. W tej trudnej walce ziomkowie nasi, acz walczący pod sztandarami Francji, zdołali odwagą i szlachetnością zyskać uznanie i szacunek nawet u nieprzyjacielskich wodzów, wśród których nie brakło ani dzielnych wojowników, ani też znakomitych mężów stanu, budujących nowy porządek społeczny na zwaliskach średnio-wiecznego niewolnictwa.

Zanim więc przystąpimy do skreślenia bohaterskich czynów, cierpień i zgonu naszych straceńców, których szczupła

jedynie garstka ujrzała z powrotem ojczyste strony, słów kilka poświęcić musimy opisowi widowni krwawej walki, przypominającej homeryczne zapasy i charakterystyce czynników, jakie w niej główną odgrywały rolę.

Perła Antyllów, licząca przeszło tysiąc trzysta mil kwadratowych powierzchni, przetrzęta kilkakrotnie pasmami gór wyniosłych i użyźniona licznymi rzekami, posiada wyborne porty i zatoki a wewnątrz jej, przedstawiające obszerną płaszczyznę, odznacza się urodzajnością. Dokoła Haiti — taką była pierwotna nazwa Santo Domingo, oznaczająca w języku Azteków: kraj górzysty — zwanej także przez następców Kolumba Hispaniolą, znajdują się drobniejsze wysepki, które niejednokrotnie w dziejach głównej wyspy ważną odegrały rolę.

Pod względem darów przyrody Santo Domingo, wyjątkowo była, rzecz można, wyposażona. Góry, przerywające wyspę w kierunku od wschodu na zachód, kryły w swem łonie złoto, srebro, miedź i żelazo, zaś u ich podnóża istniały bogate łomy marmuru, porfiru, alabastru, tudzież kamienia ciosowego. W lasach, pokrywających stoki gór, znajdowały się drzewa mahoniowe, figowe, palmowe i bambus, podczas gdy w plantacjach udawały się wyborne trzcina cukrowa, kawa, kakao, bawełna, indygo, przedstawiające główne artykuły wywozu dla wyspiarzy.

Nie dziw przeto, iż kraj ten żyzny zwrócił na siebie od najdawniejszych czasów uwagę zamorskich przybyszów, którzy o chwilowe posiadanie wyspy krwawe między sobą staczali zapasy. Ofiarą tej walki, wiedziennej nierzadko ogniem i mieczem, padli w pierwszym rzędzie krajowcy, karaibskiego pochodzenia. Hiszpanie, którzy od roku 1493 stali się faktycznymi władcami wyspy, tępił ich bez litości pod pozorem szerzenia wiary chrześcijańskiej i oświaty europejskiej wśród nieszczęsnych tubylców. Czego nie dokonały: nadmierna, narzucona im przemocą praca i epidemia ospy, dziesiątkująca ludność czerwoną, tego dopełniły okrutne prześladowania a nawet tłumne rzezie bezbronnych Indian, wyprawiane czę-

sto przez białych barbarzyńców, którzy przed przybyciem do nowego świata zaludniali więzienia lub gospody kastylijskie. Pierwsi przybysze na Santo Domingo rekrutowali się w przeważnej części z szumowin społecznych iberyjskiego półwyspu, co im bynajmniej nie przeszkadzało w śmiesznym nadymaniu się i w udawaniu grandów pierwszej klasy. Podróże odbywali w lektykach, niesionych przez krajowców, których objuczano przy tej sposobności największymi ciężarami, a padających ze zmęczenia po drodze podnoszono batami. Odrzynano żony od mężów, zmuszając tych ostatnich do pracy w kopalniach, z których zazwyczaj nie powracali już do domu żywi, podczas gdy kobiety zniewalano do uprawy roli. Obarczonych ciężką pracą karmiono korzonkami lub najpodlejszą jarzyną. Doprowadzeni do ostateczności dżicy rzucali wszystko i umykali w góry, ale i tam nie zostawiono ich w spokoju lecz biali urządzali na nich olbrzymie obławy, tropiąc zbiegów przy pomocy psów, osobno w tym celu ćwiczonych. Najlejsze przestępstwo karali srodzy władcy spustoszeniem całej osady. Wszystkie ludność, bez różnicy płci i wieku szła pod nóż, niszczone dobytek, chaty puszczano z dymem. Zdobywcy znęcali się bez miłosierdzia nad zwyciężonymi. — Widziałem na własne oczy, — opowiada szlachetny Bartłomiej de las Casas w swej relacji o Indjach — jak żywcem smażono pięciu kacyków, oraz kilku innych krajowców na drewnianych rusztach. Gubernator, znudzony ich jękami, które mu spać przeszkadzały, kazał męczonych podusić. Ale alguasil, któremu to polecenie wydano, okazał się bardziej wyrafinowanym okrutnikiem od swego przełożonego i zakneblowawszy nieszczęsnym usta, by nie mogli krzyczeć, kazał pod nimi silniejszy rozniecić ogień i radował się widokiem strasznych mąk, jakie jego ofiary przed zgonem wycierpieć musiały. Nie dziw przeto, iż krajowcy nabrali w końcu przekonania, że wyrządzenie im krzywdy zalicza się do przykazania wiary chrześcijańskiej i zalecone zostało Hiszpanom przez Kościół i króla. Zmiany w osobie wielkorządców wyspy nie

przynosiły żadnej ulgi w doli gnębionych krajowców. W roku 1514 liczono już zaledwie czternaście tysięcy Indian na całym obszarze wyspy. Napróżno Dominikanie stanęli w obrobie czerwonoskórych, oświadczając z kazalnicy kościelnych, że są oni wolnourodzonymi ludźmi, nad którymi biali niesłusznie sobie przywłaszczyli władzę. Nieuczciwi urzędnicy kolonii podnieśli gwałt okropny, twierdząc, że zakon kaznodziejski narusza podwaliny społecznego ładu na wyspie, a i niezmordowane zabiegi wspomnianego już Bartłomieja de las Casas, biskupa Meksyku i doradcy cesarza Karola V. ten tylko odniosły skutek, iż w miejsce krajowców, niezdolnych do cięższej pracy, poczęto sprowadzać na Santo Domingo afrykańskich murzynów, dając tem samem początek ohydnemu handlowi niewolnikami.

Raz tylko jedyny podnieśli czerwoni broń przeciw swym ciemiężcom. Było to w roku 1519. Na czele powstańczego ruchu stanął kacyk, imieniem Henryk, nawrócony już poprzednio na wiarę chrześcijańską i wychowany przez Franciszkanów. Zgromadziwszy pod swe sztandary sporą garść niezadowolonych ziomków, przez lat trzynaście ucierał się zwycięsko z wysyłanymi przeciwko niemu oddziałami wojsk królewskich i dopiero generałowi Barrio Nuevo udało się zapośredniczenie pokoju na wyspie. Z własnoręcznym listem Karola V. udał się Nuevo do obozu powstańców i w imieniu władcy świętego państwa rzymskiego nawiązał bezpośrednie rokowania z ostatnim z kacyków haityjskich. Stosownie do jego żądania, użycono Henrykowi upoważnienia do osiedlenia się w pewnej części wyspy wraz z swymi ziomkami, którzy mogli dowieść, iż pochodzą od pierwotnych wyspiarzy. Było ich tylko cztery tysiące. Osiedli w okolicy Boya, gdzie jeszcze w połowie ośmnastego wieku istniały ich osady, oraz resztki warowni, wzniesionych przez bohaterskiego wodza, który stanął do walki z najpotężniejszym władcą białych i wyszedł z niej z honorem. Polscy legionieści, przybyli na Santo Domingo z początkiem bieżącego stulecia, zastali już zaledwo

kilka rodzin karaibskiego pochodzenia. — Widzieliśmy ten nadzwyczajny szczątek ludu, który Hiszpanie wytępilli w imię krzyża — pisze w swym pamiętniku legionista Kazimierz Lux. — Widok owego szanownego szczątka rozrzewnił nas i wzruszył do głębi duszy. Budowa i postawa kilku Karaibów haitskich, którzy przeżyli najsrońsze wyspy swojej koleje, mówiły do przekonania, iż ten lud nie zasłużył na okrutny wyrok śmierci, wydany i spełniony na nim przez Hiszpanów i że zostawiony przy życiu nie byłby tyle zeszpecił karty dziejów, ile ją zeszpecili tępiciele jego!...

W miarę, jak niszczała pierwotna ludność wyspy, wzrastał rokrocznie dowóz czarnych niewolników z Afryki, którzy nie nadawali się wprawdzie do pracy górniczej w kopalniach, ale okazali się wybornymi pracownikami w plantacjach trzciny cukrowej. Że z zakupionymi za gotówkę negrami obchodzili się plantatorowie gdyby z bydłętami, dodawać zbyt uczynna. To też w roku 1522 czarni powstałi i usiłowali przedostać się na terytoryum, zajmowane przez kacyka Henryka. Szybki wszakże pościg wojsk rządowych udaremnił ich zamiary. Otoczono zbiegów ze wszzech stron. Kto nie padł w rozpaczliwej walce z żołnierzami, kończył na stryczku. Czarni ulegli i z pokorą nagięli karki pod niewolnicze jarzmo.

Mimoto dobrobyt kolonii był krótkotrwały. Jeszcze w roku 1528 historycy hiszpańscy nie mogą się dość naopowiadać o wspaniałości stolicy wyspy, miasta Santo Domingo, która co do bogactwa nie ustępowała bynajmniej metropoliom kraju macierzystego. Ale już w dwadzieścia lat później, gdy gnuśni kastylijczycy zaniedbali kopalnie w Cibao, wydające kruszce szlachetne, podupadło bogactwo osadników i doszło niebawem do tego, iż w obiegu handlowym musiano się posługiwać miedzianą tudzież skórzaną monetą. Trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło wyspę w roku 1564, wyrządziło znaczne szkody. Wówczas to miasto Conception de la Vega legło niemal całe w gruzach. Ocalał w niem jeden jedyny klasztor,

w którego kościele przechowywał się cudowny krucyfiks. W roku 1586 chwilowymi panami wyspy byli Anglicy, którzy pod wodzą Franciszka Drakego opanowali jej stolicę i zniszczyli w niej znaczną część domostw, zanim osadnicy złożeniem wielkiego stosunkowo okupu zdołali się pozbyć nieproszonych gości. Stanowczy wszakże cios kolonii na Santo Domingo zadała nieopatrzna polityka handlowa rządu hiszpańskiego, zabraniająca osadnikom utrzymywania jakiegokolwiek stosunków z obcymi kupcami. Wprawdzie drakońskie to rozporządzenie istniało pierwotnie jedynie na papierze i przemysłnictwo kwitło w najlepsze wśród wyspiarzy, ale rząd królewski chcąc grozą wymusić posłuszeństwo dla swych rozkazów, kazał zniszczyć porty na Santo Domingo a ludność miast nadbrzeżnych przenieść w głąb wyspy. Tak więc w przeciągu jednego stulecia posiadłość, zdobyta z takim krwim rozlewem, zmarniała niemal doszczętnie i przedstawiała obraz najokropniejszej nędzy oraz spustoszenia. Klimat podzwrotnikowy i wyuzdane życie czyniły białych niezdolnymi do jakiegokolwiek wydatniejszej pracy, pozbawiały ich resztek energii i samodzielności. Raz zaledwo na trzy lata zawijał do Santo Domingo okręt z wyrobami europejskimi, pod hiszpańską flagą i zaraz też gubernator wraz z swymi urzędnikami nabywał na własność cały ładunek statku, by najlichszy w świecie towar sprzedawać osadnikom po cenach najbardziej wygórowanych. To też przeważna część białej ludności łachmanami okrywała nagie ciało, lecz statecznie przytem stroniła od wszelkiej pracy, którą pozostawiała do spełniania czarnym oraz mięszancom, powstałym z krzyżowania Europejczyków z krajowcami i z murzynami.

Zaniedbana przez Hiszpanów posiadłość oglądała niebawem nowych gości, którymi byli normandzcy awanturnicy. Około roku 1625 niejaki Vaudroques Diel d'Enambue, śmiały żeglarz, dobrawszy sobie w Dieppe czterdziestu podobnych mu, na wszystko zdecydowanych zuchów, dotarł, mimo oporu ze strony statków hiszpańskich aż na Santo Domingo i osiadł

na pobliskiej wysepce Świętego Krzysztofa, gdzie też niebawem znalazł się wraz z swą drużyną angielski marynarz Warner czy Waernard, szukający również za morzem tego, czego nie zgubił. Krajowcy na wyspie Świętego Krzysztofa podzielili wkrótce los swych ziomków haityjskich. Pewnej pięknej nocy biali wyrznęli ich co do nogi, zachowując przy życiu tylko młode i przystojne Indyanki. Wprawdzie Hiszpanie wyparli już po czterech latach przybyszów z zajmowanej przez nich pozycyj, ale uparci awanturnicy nie dali za wygraną i po oddaleniu się floty hiszpańskiej po części powrócili do dawnych siedzib na wyspie Krzysztofa a częścią też osiedli na wyspie la Tortue, wąską jeno cieśniną oddzielonej od Santo Domingo. Zrazu głównem ich zajęciem było myśliwstwo, gdyż lasy na wyspie la Tortue i na północnem wybrzeżu Santo Domingo roiły się od grubego zwierza, którego skóra przedstawiała dla przybyszów przedmiot handlu zamiennego z kupcami holenderskimi, podczas gdy wędzone mięso ubitej zwierzyny stanowiło zwykły pokarm tej koczowniczej drużyny. Zład też jej nazwa: »Boucaniers«, wędzarze, której używali pospołu z mianem nadbrzeżnych braci, («Les Frères de la Côte») nadawanem jej przez wyspiarzy z powodu, iż myśliwi trzymali się głównie wybrzeży, od czasu do czasu tylko zapuszczając się w głąb wyspy. Przez czas jakiś panował pokój między wyspiarzami a łowcami, trzebiącymi lasy ze zwierzyny. Aliści już w niedalekiej przyszłości między białymi na Santo Domingo do krwawych przyjsć miało zapasów.

Francya z niekłamana zawiścią spoglądała na bogactwa zamorskie, które bez wielkich trudów i nakładów stawały się własnością madryckiego dworu, więc też kardynał Richelieu, energiczną rozwinął działalność w kierunku kolonizacyjnym. Za jego inicjatywą powstały z początkiem siedemnastego wieku pierwsze handlowo-morskie kompanie w Paryżu, rozporządzające znacznymi kapitałami oraz flotą, której kapitanowie zajęcia kupieckie przedziwnie łączyć umieli z korsarstwem, uprawianem na szkodę Hiszpanów, prześladowających z bez-

względna srogością każdego śmiałka, zagrażającego ich wszechwładztwu w nowym świecie. Wędzarze na Santo-Domingo nie mogli też stanowić wyjątku od zasady, przyjętej przez rząd hiszpański, lecz za doznane prześladowania na lądzie, jęli się mu odpłacać podjazdową walką na morzu. Niebawem wody zachodnio-indyjskie, których jedyną panią była do tej pory Hiszpania, zaroili się od flibustyerów, którzy pładrując w różnych stronach, pospieszyli na Antyle w pomoc swym ziomkom. Korsarze ci, uwijający się na lekkich statkach, (*fibots*), rychło porozumieli się z wędzarcami i prócz wypraw morskich, urządzanych na ładowne okręty hiszpańskie, powracające z Santo Domingo do Europy, brali też udział w wspólnych napadach na osady i miasta w głębi wyspy położone. Hiszpania wysłała przeciw tym dyabłom morskim — jak nazywano flibustyerów — potężne floty, ale zmyślni korsarze umykali bez walki, by znów po krótkim czasie dokonać tem śmielszego rabunku na kupieckich okrętach, obławianych srebrem oraz innymi produktami wyspiarskimi. Czyny takich śmiałków, jak Pierre le Grand lub Montbars i Michel Basque, którzy na czele kilkudziesięciu ludzi uderzali i zwyciężali dziesięćkroć silniejszego przeciwnika, przeszły na karty historyi, jako dowody trudnej do pojęcia brawury marynarskiej. Z niemniejszą zaciekłością walczyli biali między sobą na lądzie. W roku 1638 Hiszpani wycięli w pień Francuzów, osiadłych na wyspie Żółtwej, lecz już w czternaście lat później niejaki Dogeron, sam się zamianował gubernatorem tej wyspy i potwierdzony przez rząd francuski w swej godności, odebrał Hiszpanom straconą dawniej posiadłość. Dogeron uchodzi też słusznie za twórcę francuskiej kolonii na Santo Domingo. Znakomity organizator, umiał nie tylko w żelaznych karchach posłuszeństwa utrzymać burzliwe żywioły, z jakich składali się pierwsi koloniści francuscy, lecz chcąc ich przywiązać do ziemi i odwieść od zbójcekich wypraw na morzu lub w borach, postarał się o żony dla nich, rekrutowane w sposób przymusowy wśród kobiet lekkiego życia w Pa-

ryżu i w innych miastach francuskich. Dawni korsarze i awanturnicy nie badali zbyt skrupulatnie przeszłości swych połowic. — Nie pytam się o to, jak się dawniej prowadziłaś — mówił flibustyer do swej towarzyszki — jeżeli jednak poważysz się zdradzić mię obecnie, kula cię nie minie!...

Groźba najczęściej skutkowała.

Kolonia, złożona z tak różnorodnych żywiołów, rozwijała się pomyślnie. Posiadłości francuskie, istniejące na północnem wybrzeżu wyspy, rozszerzały się coraz to bardziej ku południowi i ku wschodowi, tak, iż w roku 1700 zajmowały one więcej niż połowę całego obszaru wyspy. Zdobył ta nie obyła się bez ofiar. I tak w roku 1638 Hiszpanie spustoszyli ogniem i mieczem wszystkie niemal osady francuskie, położone w północnej części wyspy, lecz ograniczeni na własne siły, nie otrzymując żadnej pomocy z kraju macierzystego, nie mogli dotrzymać kroku Francuzom, bardziej z natury przedsiębiorczym i popieranym energicznie przez flibustyerów. Co prawda, pomoc ową przyszło nieraz drogo okupić, gdyż flibustyerzy nie przestawali trudzić się kosarstwem, co znów wywoływało przykre dla osadników francuskich represalia ze strony Hiszpanii i Anglii. Chcąc zatrudnić flibustyerów zdala od Santo Domingo, poddał im de Cussy, mianowany królewskim gubernatorem na wyspie, myśl zaatakowania posiadłości hiszpańskich na Oceanie południowym. Wyprawa ta stała się kulminacyjnym punktem w dziejach śmiałych awanturników, przypominając pod wieloma względami podania o bojach i przygodach Argonautów. W roku 1689 de Cussy uderzył wspólnie z flibustyerami na San Jago i puścił miasto z dymem, co spowodowało odwet ze strony Hiszpanów w roku następnym. Opanowali oni miasto Cap Fraçais i wycięli w pień jego ludność, nie oszczędzając ani kobiet, ani dzieci. Nastąpiła dla kolonii francuskiej doba przesilenia. Z klęski osadników chciała skorzystać Anglia, lecz Francuzi dzielnie odparli napad brytyjskich marynarzy, usiłujących wylądować na wybrzeżu i płacąc pięknem za nadobne jęły urzą-

dzać częste ekspedycje na Jamaikę. Podczas jednej z takich wypraw, których głównym celem było pustoszenie angielskich osad na tej wyspie, uprowadzili z sobą Francuzi trzy tysiące negrów, tyle im potrzebnych do uprawy plantacji trzciny cukrowej. Poszkodowani nie omieszkali się zemścić i wspólnie z Hiszpanami najeżdżali oraz niszczyli osady francuskie a dopiero wieść o zawarciu pokoju w Ryswiku kres położyła wzajemnym gwałtom i rozbojom. Wprawdzie traktat ów nie zawierał żadnych wyraźnych postanowień co do francuskich oraz hiszpańskich osad na Santo Domingo, ale gubernatorowie obu kolonij porozumiewali się odtąd na własną rękę co do granic swych posiadłości i tego rodzaju stan prowizoryczny istniał aż do roku 1777.

Pomyślny rozwój kolonij francuskich na wyspie doznał był chwilowej przeszkody ze strony zachodnio-indyjskiej kompanii handlowej, która wyposażona w nadzwyczajne przywileje przez rząd, nie przyczyniała się wcale do dobrobytu kolonii, lecz przeciwnie wyzyskiwała osadników w sposób najbardziej niesprawiedliwy. Takie postępowanie obudzić musiało wśród pokrzywdzonych niechęć, która w roku 1722 wywołała formalny bunt ludności przeciw znieprawionej kompanii. Po dłuższych dopiero pertraktacjach i ustępstwach, poczynionych na rzecz osadników, udało się rządowi przywrócić spokój w kolonii. Między innymi koncesjami, przyznanymi kolonistom, najważniejszym było postanowienie dotyczące wolnego dowozu niewolników, co przedtem stanowiło wyłączny monopol kompanii. Ten właśnie nieograniczony dowóz czarnych stać się miał w kilka dziesiątków lat później powodem pamiętnego w dziejach wyspy przewrotu. W roku 1754 liczone na Santo Domingo 172.000 murzynów, podczas gdy białych było zaledwo czternaście tysięcy a mieszanców tysięcy cztery. Nieproporcjonalny ów stosunek wzmagał się z każdym niemal lat dziesiątkiem, tak, iż w roku 1789 żyło na wyspie przeszło pół miliona murzynów, podczas gdy ludność biała wynosiła tylko 35.440 głów a mieszana 26.666 dusz. Tak

więc niewolnicy byli dziesięćkroć liczniejsi od swych panów, wśród których istniała ściśle przestrzegana hierarchia towarzyska. Potomkowie pierwszych osadników uważali się we własnem rozumieniu za arystokrację rodową a posiadając znaczne dochody szukali związków z zubożałymi, starymi rodami w kraju macierzystym. O tytuły starać się nie potrzebowali, gdyż wedle ustawy z roku 1626 każdy plebejusz, składający kapitał pięciu tysięcy liwrów do dyspozycji popieranej przez rząd francuski kompanii handlowej, »Łodzi św. Piotra«, zostawał po upływie lat sześciu szlachcicem. W zamorskich koloniach Francji nie brakło zatem markizów, hrabiów i wicehrabiów, którzy pod względem wykształcenia i manier wielce różnili się od dworaków wersalskich... Arystokracja wyspiarska, o ile nie przesiadywała stale w Paryżu zdając zarząd swych plantacyj na administratorów, lecz przebywała na Santo Domingo, żywiła w głębi ducha dążności separatystyczne. Dumę tych milionerów, wiodących rozkoszne życie bez trosk, razila samowola królewskiego rządu, który wszystkie urzędy na wyspie, od gubernatora począwszy, obsadzał swymi ludźmi, nie uwzględniając bynajmniej krajowców. Do tego przyłączały się względy materialnej natury. Jakkolwiek plantatorowie ciągnęli ze swych posiadłości olbrzymie dochody, wiedzieli oni bardzo dobrze, że w razie oderwania się od kraju macierzystego, otrzymującego z kolonii znaczne korzyści za pomocą systemu prohibicyjnego, zyski ich wzrosłyby co najmniej w dwójnasób, a świeży przykład osad północno-amerykańskich, zrzucających zwierzchnictwo Anglii, był jednym bodźcem więcej, podniecającym narodową dumę wyspiarską. Nie byli od niej wolnymi nawet mniej zamożni, biali mieszkańcy wyspy, (*petits blancs*), właściciele kilku lub kilkunastu niewolników, którzy z uczuciem znakomitej wyższości spoglądali na mięszkańców, choć ci niejednokrotnie przewyższali ich zamożnością oraz wykształceniem. Pogarda wobec mulatów, kwadronów i metysów była była tak silnie zakorzenioną wśród białej ludności, iż wbrew

brzmieniu ustawy zasadniczej, orzekającej równość obywatelską dla kolorowych, nie dopuszczano ich z reguły do żadnych urzędów publicznych. Małżeństwo zawarte między białym a mulatką było nieważne w obliczu prawa. A jednak kolorowa ludność posiadała część trzecią dóbr nieruchomości na wyspie i wielu mulatów odebrało staranne wykształcenie we Francji. Niedziw przeto, że ta warstwa ludności, inteligentna a zamożna, pałała nieprzebręganą zawiścią wobec białych i pragnęła z całego serca zupełnego przewrotu istniejącego rzeczy porządku.

Stan wewnętrzny kolonii, oparty wyłącznie na pracy niewolników, których corocznie część dziesiąta ginęła skutkiem nadmiernej roboty i niedostatecznego pożywienia, nie mógł się nazywać normalnym, mimo pozornego dobrobytu, cechującego Santo Domingo w latach 1789 — 1790. Właściciele plantacyi dbali jedynie o podwyższenie rocznego dochodu ze swych posiadłości, nie troszcząc się wcale o dolę pracujących czarnych. Obojętna była dla nich śmierć przepracowanego murzyna, gdyż handlarze żywego towaru dostarczali niewolników na kredyt, a mimo wysokiej ceny kupna, zwracał ją czarny swą pracą już w przeciągu jednego roku. Jakkolwiek w francuskiej części wyspy obchodzono się lepiej z niewolnikami, aniżeli to miało miejsce w posiadłości hiszpańskiej, mimoto dola czarnych była okropną w całym tego słowa znaczeniu. Zabójstwo murzyna uchodziło sprawcom bezkarnie. Zbiegłym niewolnikom obcinano uszy i piętnowano ich na łopacie. W razie trzykrotnej ucieczki groziła zbiegowi kara śmierci, zaś kajdany i kije były dla tych nieszczęśliwych zwykłym życia urozmaiceniem. W obec tego i dziwić się niepodobna, że murzyn, traktowany na równi z bydłkiem, stawał się niem na poły. Skazany na srogą niewolę, tłumiącą jego władze umysłowe, strącony przez białych do rzędu roboczych zwierząt, nie lękał się niewolnik niczego, nawet śmierci. Wegetował raczej niż żył, więc też umierał bez żalu. Skryty<sup>1</sup> podstępny w obec swych panów, umiał wyzyskać na swą

korzystać każdą ich słabośćkę a najsrozsze męki nie zdołały z ust jego wydobyć zeznania w razie popełnionej zbrodni, której dopuszczali się czarni najczęściej w stanie opilstwa, dającego im chwilowe przynajmniej zapomnienie niedoli, będącej udziałem niewolnika. Czarni tworzyli na wyspie najsilniejszy liczebnie, lecz ciemny i bierny skutkiem tego żywioł, który dopiero pod wpływem silnego wstrząśnienia ocknął się i ze zdwojoną namiętnością wystąpił w obronie swych praw, których mu tak długo odmawiano.

·Nie uprzedzajmy wszakże wypadków...

Zarząd posiadłości francuskich na Santo Domingo nie grzeszył wcale wolnomyślnością. Przeciwnie, był on bardziej despotyczny, aniżeli rządy królewskie z Bożej łaski w kraju macierzystym, zostawiające najobszerniejsze pełnomocnictwo gubernatorowi tudzież intendentowi kolonii. W ręku obu tych dostojników skupiała się wszystka władza. Gubernator był naczelnikiem siły zbrojnej oraz przedstawicielem monarchy, zaś do zakresu działalności intendenta należały: sądownictwo i administracja. Obaj ci dygnitarze postępowali z największą dowolnością. Od ich rozporządzeń nie było odwołania, więc też przekupstwo, nepotyzm i wszelakie nadużycia władzy stały się na wyspie rzeczą niemal powszednią. Kolonię francuską na Santo Domingo składały trzy departamenty. Na północy najważniejszym miastem było Cap Français, które podczas późniejszych wypadków wojennych stanowiło zwykłą siedzibę rządu, podczas gdy Mole Saint Nicolas przedstawiało najsilniejszą warownię w całej kolonii. Port de Paix, leżący tuż naprzeciw wyspy la Tortue, był najstarszą osadą francuską na wyspie, zawdzięczającą swe powstanie flibustyerom. Na zachodzie najważniejszą miejscowością był Port au Prince, zaś na południu handlowe miasto Les Cayes, położone w okolicy dla Europejczyków wielce niezdrowej, bagnistej i pełnej wyziewów. Pod względem handlowem przedstawiała kolonia na Santo Domingo pierwszorzędną wartość dla Francyi, która w zamian za cukier, kawę i bawełnę, dostarczane przez

plantatorów, słała im własne wyroby, znajdujące w braku wszelkiego współzawodnictwa zbyt łatwy wśród wyspiarzy. Natomiast administracya kolonii pożerała rokrocznie znaczne, jak na owe czasy, sumy, gdyż kosztowała z górą trzynaście milionów. Wysokość tej cyfry tem dziwniejsze sprawiać musi wrażenie, ileże utrzymanie dwunastotysięcznej armii kolonialnej kosztowało tylko 1,193.000 franków. Żołnierze, przeważnie murzyni lub mulaci, pełnili służbę boso a prócz koszuli i bawełnianych szarawarów innego nie znali umundurowania. Mimo to armia kolonialna, znakomicie wyćwiczona i złożona z ludzi, przywykłych do klimatu miejscowego, przedstawiała wyśmienity materiał wojenny, o czem już w najbliższej przyszłości przekonać się miały wojska macierzystego kraju, w którym trójkolorowy sztandar republikański zastąpił niebawem białe lilie Burbonów.

Mimo znacznego oddalenia od Francyi oraz czujnej opieki królewskich gubernatorów, baczących pilnie, by propaganda rewolucyjna, walcząca żywem tudzież drukowanym słowem, nie przedostała się na wyspę, nie pozostali jej mieszkańcy obojętnymi widzami rozgrywających się nad Sekwaną wypadków. Gdy rozeszła się wiadomość o zapowiedzianem na rok 1879 zwołaniu Stanów Generalnych we Francyi, wyspiarze, tknięci gdyby iskrą elektryczną, poczęli się krzątać około wyboru swych delegatów do reprezentacyi Stanowej, mimo przeszkód i utrudnień, stawianych przez władze miejscowe naradom i zgromadzeniom wyborczym. Wybranim reprezentantom w liczbie ośmnastu udzielono instrukcyi, które nie odznaczały się bynajmniej liberalizmem, jeno miały na celu obronę interesów plantatorów. Delegaci z Santo Domingo nie uważali się wcale za zastępców ludu francuskiego, lecz występowali przy każdej sposobności jako pełnomocnicy swych wyborców a w braku politycznego wykształcenia oceniali wszystkie ważniejsze sprawy z ścisłe partykularnego stanowiska, jakkolwiek z względów taktycznych głosowali niekiedy z stronnictwem postępowem.

Wiść o zburzeniu Bastylli i o wypadkach sierpniowych w Paryżu rozeszła się na Santo-Domingo dopiero w pierwszych dniach października 1789 roku i wywarła wrażenie piorunujące. Trójkolorową kokardę witali wyspiarze z radośnym uniesieniem. W mgnieniu oka powstały we wszystkich znaczniejszych miastach kluby polityczne, w obec których władze królewskie okazały się bezsilnymi. Gwardya narodowa wiązała się wszędzie; dygnitarze do tej pory wszechwładni, w ich liczbie znienawidzony ogólnie intendent Barbé Marbois oraz prokurator Lamardelle, musieli, salwując głowy, opuścić wyspę a ster rządów przeszedł faktycznie w ręce zgromadzenia prowincjonalnego, obradującego w St. Marc. O dopuszczeniu kolorowych do udziału w obradach a tem mniej o usamowolnieniu czarnych nikt na wyspie nie pomyślał. Tem większą przeto niechęć w gronie samolubnych plantatorów budzić musiała działalność zawiązanego w Paryżu stowarzyszenia Przyjaciół Czarnych, do którego nnieżały tyle wybitną w ówczesnym ruchu odgrywające rolę osobistości, jak Clavière, Condorcet lub Mirabeau. Zagroźni zniesieniem instytucji niewolnictwa, właściciele plantacyi używali wszelkich godziwych i mniej godziwych środków, by zdepopularyzować w opinii ogółu akcyę Przyjaciół a nawet wręcz ich obwiniali o zdradę, rozsiewając wśród łatwowiernej ludności pogłoski, iż stowarzyszeni pozostają na żołdzie Angli i z jej polecenia dążą do zniszczenia handlu oraz wszelakiej produkcji na wyspie..

Wszelkie przedstawienia kolorowej ludności, domagającej się już nie równouprawnienia, ale pewnych ulg w dotychczasowym położeniu, odrzucali biali z całą bezwzględnością. Gdy w Petit Grave kolorowi domagali się pozwolenia na odbycie narady celem wyboru delegatów do zgromadzenia prowincjonalnego, aresztowano autora odnośnej petycji, Ferdynanda de Baudieres i wtrącono go do więzienia, zkąd podburzony motłoch wywłókł ogólnie poważanego starca i zamordował go bez sądu oraz wyroku na rynku miasta. Toż samo

na szubienicznym palu skończył w Cap Fraçais niejaki Lacombe za napisanie memoriału, domagającego się praw człowieka dla ludności kolorowej. Nie zasypiali również sprawy delegaci wyspy w paryskim zgromadzeniu narodowym i swemi przedstawieniami dowodzili, iż rewolucyjne to ciało uchwaliło dekret zastrzegający dla kolonii wolność uchylenia się od obowiązujących we Francji ustaw, któreby nie dały się pogodzić z miejscowymi zwyczajami i stosunkami. Tem samem uznano niewolnictwo na Santo Domingo jako zgodne z wzniosłymi hasłami ludzkości i postępu, głoszonymi przez przedstawicieli wielkiego narodu. Na nic również nie zdały się przedstawienia ludności kolorowej, czynione zgromadzeniu narodowemu w stolicy celem dopuszczenia jej do obrad w zgromadzeniu kolonialnem, które w marcu 1790 roku rozpoczęło obrady w St. Marc jako zgromadzenie ogólne. Choć w składzie tego ciała zasiedli wyłącznie biali, nie było wśród nich mowy o jednomysłności. Podczas gdy plantatorowie w obawie o własne kieszenie, ze strachem spoglądali na ruch rewolucyjny we Francji i dążyli do uzyskania jak największej niezależności wobec polityki i handlu kraju macierzystego, sympatyzowali ubożsi biali z rewolucją, która mogła rozszerzyć ich prawa na niekorzyść wielkich posiadłości. Tak jedni wszakże jak drudzy wrogo występowali przeciw kolorowym, zaprzeczając im zgoła wszelkich praw politycznych, jako wy-naturzonej rasy bastardów... Znalazł się nawet publicysta, niejaki baron Beauvais, sędzia trybunału w Cap Français, który najpoważniej w świecie utrzymywał, że mulaci oraz czarni nie mogą być zaliczani na równi z białymi do ludzi. Tak więc mulat. zdaniem szanownego barona, był ze stanowiska rasowego wyrodkiem zaś murzyn niczem innem jak pewną odmianą orangutana... Ale nie tylko na papierze i w izbie reprezentantów wrzała walka o prawa człowieka między białymi a kolorowymi wyspiarzami. Ci ostatni pod wodzą niejakiego Wincentego Ogé, podnieśli w jesieni 1790 r. zbrojny bunt w północnej części wyspy. Ogé na czele garstki po-

wstańców stawił odważnie czoło wysłanym przeciw niemu wojskom rządowym i odniósł nad nimi pewną przewagę, lecz w końcu osaczony przez przeważne siły nieprzyjaciół został pobity. Oddział jego częścią dostał się do niewoli, częścią zaś poszedł w rozsypkę, zaś Ogé szukał przytułku w hiszpańskiej części wyspy, z kąd wydany na żądanie władz francuskich, stracony został w lutym roku następnego w Cap Francais. Wpleciono go żywcem w koło, podczas gdy innych jego towarzyszy stracono na szubienicy. Barbarzyńska ta egzekucya nie odstraszyła bynajmniej czarnych od dochodzenia swych praw z bronią w ręku. W sierpniu 1791 r. w lasach, pokrywających okolicę Cap Francais, rozwinął murzyn Boukman standar buntu i na czele zbiegłych niewolników jął niszczyć ogniem i mieczem najbliższe plantacye. Białych wycinał w pień, pastwiąc się straszliwie, nad swemi ofiarami. Broń wszakże niedługo. Banda jego lubo biła się z determinacją potępieńców, nie mogła dotrzymać placu regularnemu żołnierzowi, wysłanemu na jej spotkanie wraz z gwardyą narodową. Murzyni, otoczeni ze wszech stron, walczyli do upadłego. Ranni nawet gryźli i szarpali przeciwnika zębami. To też przeważna część buntowników legła na placu boju, lecz stokroć okropniejszy los stał się udziałem jeńców, których łamano kołem, smarowano na wolnym ogniu, rozstrzeliwano gromadami. Ci nawet murzyni, którzy złudzeni darowizną życia złożyli broń, nie uszli hańbiącej kary. Odsyłano ich do dawnych panów, wypaliwszy każdemu z uczestników buntu literę: *R.* na prawym policzku. Zaciekłość białych nie znała żadnych granic, ni też względów. I tak pewien niewolnik, Bartolo imieniem, ocalał wśród ogólnej rzezi plantatorów swego pana, przeprowadziwszy przebranego z narażeniem własnego życia aż pod bramy Cap Francais, poczem powrócił do swoich. Mimo to schwytanego skazano na śmierć, a oskarżycielem nie był kto inny, jeno ów ocalony plantator, który z całą stanowczością utrzymywał, iż względy wdzięczności ustąpić muszą pierwszeństwa dobru

publicznemu i zasadom, na jakim ono polega... Tego rodzaju postępowanie doprowadziło zbuntowanych do ostatecznych granic rozpaczy. Mordowali już nie tylko białych, ale i tych niewolników, którzy nie chcieli się z nimi połączyć. W miejscu poległego Boukmana stanęli na czele czarnych Jan Franciszek, (Jean Francois) i Biassou, którzy mienili się żołnierzami Jego Królewskiej Mości i na sztandarach swych umieścili białe lilie Burbonów. Że rojalisci francuscy z powstaniem murzyńskim na Santo Domingo nie mieli nic wspólnego — to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Natomiast kolonia hiszpańska na wyspie wspomagała otwarcie buntowników, walczących rzekomo za sprawę królewską, gdyż z wewnętrznej rozterki sąsiadów zamierzała korzystać i w danej chwili odzyskać wydarte jej przed wiekami terytorya. Ośmieleni postępkami murzyńskiego powstania poczuli się też ruszać mulaci i zadali pod Pernier znaczną klęskę wysłanym na ich rozgromienie wojskom rządowym. Wobec tego przerażeni biali nie widzieli innej drogi ratunku jak tylko zawarcie formalnego traktatu z kolorowymi. W myśl tej ugody, podpisanej w październiku 1791 roku, mulaci uzyskali wstęp do zgromadzenia narodowego oraz do zarządu gminnego, a nadto połowa załogi w Port au Prince, składać się miała z żołnierzy kolorowych. Przymuszona ta zgoda nie była bynajmniej trwałą, gdyż już w miesiąc później przyszło w Port au Prince do krwawego starcia między białą a kolorową ludnością, przyczem znaczną część miasta padła ofiarą pożaru, powstałego podczas ulicznej walki.

Szkody, pożogą wyrządzone, przenosiły sumę pięćdziesięciu milionów franków, lecz gorszą od nich była anarchia, jaka zapanowała w mieście i w całej okolicy. Tak biali jak kolorowi, chcąc pomnożyć swe siły, uzbrajali niewolników, którzy widząc rozterkę między swymi ciemiężcami powstałą, zapragnęli z niej korzystać celem wybicia się na wolność. Na czele zbuntowanych murzynów, gromadzących się pod Leogane, stanął zbiegły z posiadłości hiszpańskiej niewolnik

Romaine Rivière, mieniący się prorokiem i ulubieńcem Matki Bożej. W skleconej wśród skał niedostępnych świątyni samozwańczy ów prorok prawił msze i przepowiadał przyszłość, rzekomo z natchnienia Najświętszej Panny, co mu wszakże nie przeszkadzało w głoszeniu wśród zfanatyzowanej czerni rzezi i rabunku przeciw białym. Równocześnie i w innych okręgach kolonii ludność wiejska stanęła wrogo przeciw miastom. Ubożsi biali, tworzący podstawę ludności miejskiej, dążyli wszelkimi środkami do obalenia istniejącego porządku rzeczy, opartego na biurokratycznych rządach, podczas gdy plantatorowie, zawiedzeni w swych odrębnościowych mrzonkach, okazali się stanowczymi nieprzyjaciółmi rewolucji. Osobne znów obozy tworzyli kolorowi, których każde stronnictwo starało się dla siebie pozyskać tudzież rozbójnicza czerń murzyńska, przedstawiająca brutalną, bezwiedną siłę, powolną skinieniu jej przywódców.

Taki stan rzeczy na wyspie zastali wysłannicy zgromadzenia narodowego w Paryżu, Polverel, Santhonax i Ailhaud, którzy we wrześniu 1792 r. zawinęli do portu Cap Français. Ailhaud czas krótki tylko przebywał na Santo Domingo. Natomiast obaj jego towarzysze decydującą we współczesnych wypadkach odegrać mieli rolę. Tak Polverel jak Santhonax byli przed rewolucją adwokatami w Paryżu i w publicystyce stołecznej żywą rozwijali działalność. Obaj też zaliczali się do klubu Jakobinów. Zaraz po przybyciu na miejsce wydali komisarze proklamację, w której między innymi czytano następujące oświadczenie... Odtąd znać chcemy na Santo Domingo tylko dwie klasy ludności: wolnych bez różnicy barwy i niewolników. Tylko zwołane na zasadzie konstytucyjnej zgromadzenie kolonialne stanowić może o losie niewolników. Niewolnictwo jest nieodzownie potrzebne dla kultury i powodzenia kolonii. Ani zgromadzenie narodowe, ani też król nie żywią bynajmniej zamiaru ukrócenia w czemkolwiek praw kolonistów pod tym względem....

W rzeczywistości obietnice owe pozostały na papierze,

gdyż faktyczny stan rzeczy zniewolił komisarzy rządowych do wręcz odmiennego postępowania. Wprawdzie w Cap Français panował względny spokój, ale bogatsze rodziny plantatorów opuszczały tłumnie miasto oraz wyspę szukając schronienia w najbliższych koloniach angielskich, podczas gdy zrujnowane przez powstanie rodziny białych osadników cisnęły się gromadnie w mury miejskie, w których spodziewały się znaleźć bezpieczny przytułek. Upadek na duchu szedł w parze z niedostatkiem żywności, jaki co raz to bardziej dawał się odczuwać w pozbawionej wszelakiego dowozu miejscowości. Zresztą przeważną część prowincyi zajmowały powstańcze drużyny murzyńskie, niszczące wszystko ogniem i mieczem. Przeszło trzy tysiące osad leżało w gruzach a niemal każda z nich była widownią straszliwych gwałtów i okrucieństw, popełnianych na białych mieszkańcach plantacyi. Na usmieszenie buntu posiadali komisarze zaledwo sześć tysięcy wojska, w której to liczbie tylko część trzecią przedstawiał żołnierz regularny; reszta korpusu składała się z gwardyi narodowej. Nieograniczone pełnomocnictwo, jakim rząd centralny wyposażył swych pełnomocników, nie zastąpiło im siły zbrojnej, nieodzownej celem przywrócenia ładu wśród ogólnej anarchii, a gdy wieść o straceniu królewskiej pary doszła na Santo Domingo, nastąpił ponowny rozłam wśród ludności wyspiarskiej. Powstało stronnictwo rojalistyczne, złożone z zamożniejszych białych, głoszących, iż rząd macierzystej rzeczypospolitej tworzą królobójcy tudzież partya republikańska, pod której sztandarem skupili się mulaci i znaczna część murzynów, posłusznych rozkazom komisarzy. Rojaliści, słabsi liczebnie, uciekli się do pomocy Anglików tudzież Hiszpanów, z którymi udało im się opanować część warowni nadbrzeżnych.

Widząc to komisarze rzeczypospolitej, nie znaleźli innej drogi wyjścia jak zbliżenie się do mulatów i do czarnych, których obietnicą daleko idących ustępstw starali się pozyskać dla sprawy Francyi. Za staraniem Santhonaxa osobna

deputacya z wyspiarzy złożona udała się do paryskiego konwentu z przedstawieniem, iżby przypuszczono ich do korzystania z wszystkich praw, służących ogółowi obywateli francuskich a w szczególności z żądaniem zniesienia niewolnictwa we wszystkich koloniach. Żądaniu temu stało się zadość. W dniu czwartym lutego 1794 r. konwent uchwalił usamowolnienie czarnych, a zarazem uznał Santo Domingo jako integralną część kraju macierzystego. Tem samem stronnictwo republikańskie na wyspie znacznie wzrosło w siły, choć i wśród samychże czarnych nie brakło ludzi, którzy uznawali, iż nadanie im wolności bez równoczesnego wynagrodzenia dawnych właścicieli z funduszków rządowych nie było zgodne z zasadami słuszności. Przywódca murzynów, zaliczających się do stronnictwa rojalistycznego, wspomniany już Jan Franciszek, oświadczył publicznie w odezwie, wystosowanej do czarnych, przebywających w Dondon, iż Rzeczpospolita nie ma prawa darzenia ich wolnością bez uprzedniego wypłacenia indemnizacyi dawnym panom. Co więcej, przepowiedział prosty ten człowiek, iż Francya, skoro tylko załatwi się ze swymi nieprzyjaciółmi w Europie, wyśle natychmiast na Santo Domingo wojenną flotę celem przywrócenia niewolnictwa. Nadanie wolności czarnym, uskutecznione dorywczo, nieopowiedzone żadnym stanem przejściowym, wywołać musiało na wyspie klęskę ekonomiczną. Plantacye, przedstawiające główne źródło jej bogactwa, upadły z powodu braku rąk potrzebnych do uprawy; rolnictwo i handel odczuły niemniej dotkliwie niedostatek licznych i tanich pracowników. Zupelnemu upadkowi kolonii starał się zapobiedz gubernator Laveaux osadzeniem na pustkach drobnych dzierżawców t. z. kuliwatorów, w które to dzieło gorliwej doznał pomocy ze strony mulata, Andrzeja Rigaud, dowódcy milicyi miejscowej, tudzież murzyna Toussainta.

Ten ostatni, jako wybitna pod każdym względem osobistość, zasłużył na obszerniejszą wzmiankę.

Według legendy, utrzymującej wśród murzynów haityj-

skich, był Toussaint potomkiem królewskiego rodu, władającego w Kongo, naczelników plemienia Aradasów. W czasie jednej z częstych walk, toczonych z sąsiednimi szczepami, ojciec jego Gain Ginu, pojmany przez nieprzyjaciół, zaprzędany został białym w niewolę i uwieziony na Santo Domingo Tam też w maju 1745 roku ujrzał światło dzienne Toussaint w posiadłości Breda, położonej w pobliżu Cap Français a należącej do hrabiego Noé. Syn niewolnika, nie otrzymał w dzieciństwie żadnego wykształcenia. Pasał cielątka a następnie konie swego pana, które cierpliwością i łagodnością ułaskawiał do tego stopnia, iż najdzikszego rumaka mógł dosiąść w krótkim czasie bez żadnej przeszkody. Często widziano go siedzącego w pośrodku stadniny, która posłuszną była na każde skinienie Toussainta. Niedziw przeto, iż zabobonni murzyni uważali go za czarnoksiężnika, tem bardziej, iż zagadkowy pasterz odznaczał się niczem niezachwianą równowagą umysłu, z jakiej nie zdołały go wyprowadzić nawet psoty, wyrządzone mu przez ograniczonych umysłowo towarzyszy niedoli. Zarządca plantacyi, zawiadujący dobrami hrabiego, stale przebywającego w Paryżu, niejaki Bayou de Libertas, polubił Toussainta i przeznaczył go do swych osobistych usług co dla niewolnika było znakomitem wyróżnieniem. Porządkując pokoje rządcy zwrócił cheiwy wiedzy murzyn szczególniejszą uwagę na księgozbiór swego pana. Nęciły go niezrozumiałe znaki, tłoczone na kartach książek, gdyby hieroglify, których znaczenie napróżno starał się odgadnąć. Wreszcie mnich jakiś, czy też, według innego podania, stary niewolnik imieniem Jan Baptysta, nauczył Toussainta czytać tudzież początków łaciny, arytmetyki i geometryi. Od tej chwili poświęcał on wszystkie wolne od zajęć służbowych godziny nauce. Studiował z zapałem dzieła Plutarcha, Korneliusza Neposa, Sallustiusza, Herodota i komentarze Cezara, wczytując się niemniej gorliwie w pamiętniki wojenne marszałka saskiego oraz w historię rewolucyi w Anglii i w Hiszpanii. Najulubieńszą wszakże lekturą dla wytrwałego samouka było

Pismo święte, z którego czerpał nieprzebrane nigdy skarby wiedzy i hartu woli. Gdy w roku 1791 wybuchło powstanie murzyńskie i tłuszcza krwi żądnych buntowników wtargnęła do plantacyi Breda, dołożył Toussaint wszelkich starań, by ocalić swego pana, któremu ułatwił ucieczkę. Obdarzony w zamian wolnością, pospieszył celem dalszego kształcenia się do Ameryki, z kąd powrócił na wieść o wypadkach, zapowiadających emancypację czarnych na Santo Domingo. Zrazu zachowywał się neutralnie wobec ogólnego wrzenia i dopiero w chwili, którą uznał za odpowiednią do działania, oddał się na usługi Jana Franciszka w charakterze lekarza jego oddziału. Na tem podrzędnem pozornie stanowisku śledził on bacznie przebieg działań wojennych a przewyższając wykształceniem oraz bystrością umysłu swych zwierzchników, przekonał się jeszcze w porę o nieszczerości Hiszpanów, traktujących z złe utajoną niechęcią próżnych i naiwnych wodzów murzyńskich band powstańczych oraz o egoizmie Anglików, którym dobro niewolników bynajmniej nie leżało na sercu. Dekret lutowy paryskiego konwentu, orzekający emancypację czarnych, przechylił szalę sympatyi Toussainta na korzyść kraju macierzystego. Uczuł się czarnym Francuzem — jak się sam z chlubą niejednokrotnie nazywał — i rozpoczął bezzwłocznie agitację w duchu narodowym między swymi ziómkami, zwracając ich uwagę na bezwzględne postępowanie Anglików, którzy siłą zbrojną dopomagali rojalistom w przywracaniu niewolnictwa w ich posiadłościach...

Położenie Francuzów na wyspie było w tym czasie pod każdym względem opłakane. Żołnierze cierpieli głód, brakło im amunicyi i obuwia. Laveaux trzymał się w Port de Paix, ostrzeliwanym przez przeciwnika, jedynie nadzwyczajnym energii wysiłkiem, wyczekując posiłków z Francyi. Ale pomoc niespodzianą otrzymał z innej strony. Wybawcą jego stał się Toussaint, który za pośrednictwem abbégo La Haye oświadczył gotowość przejścia pod sztandary rzeczypospolitej wraz z pozyskanymi dla sprawy jej murzyńami. Oczywiście

Laveaux przyjął radośnie tę wieść i zaofiarował Toussaintowi stopień generała brygady. Jakoż Toussaint dobrze zasłużył sobie na tę nagrodę. Na czele sześciotysięcznego oddziału wyruszył z Marmelade znosząc po drodze pomniejsze komendy hiszpańskie i połączył się bez przeszkody z Francuzami, którzy zachęceni tym sukcesem, oczyścili niebawem całe wybrzeże między Port de Paix a Cap Français z nieprzyjaciela. Panika powstała wśród Hiszpanów. Tłumy murzynów opuszczały najezdника, by spieszyć pod rozkazy Toussainta. Komenda Jana Franciszka, zdziesiątkowana dezercją, przestała istnieć on zaś sam w roku następnym opuścił wyspę by w Hiszpanii jako gracyalista dworu madryckiego dokonać żywota. Toussaint pozostał więc jedynym na wyspie wodzem czarnych, dających go bezgranicznem zaufaniem. Szczęście dopisywało mu stale. Zwróciwszy wszystkie swe siły przeciw Anglikom, wypierał ich z jednej pozycyi po drugiej aż pod St. Marc, o którego zdobycie napróżno się kuścił. Z owych to czasów datuje się prawdopodobnie przydomek Toussainta: »Louverture«, nadany mu z powodu licznych warowni odebranych nieprzyjacielowi, (*fait ouverture*) i odtąd stale zespolony z nazwiskiem szczęśliwego wojownika. Inni znów historycy, jak Lacroix, utrzymują, iż przydomek »Louverture« oznaczać miał, jako Toussaint dał początek nowej epce, zwiastującej lepszą przyszłość dla Santo Domingo.

Szczęśliwym był nietylko Toussaint w pogromie nieprzyjaciół, ale samem zjawieniem się niespodzianem pod Cap Français zdołał on uśmierzyć rokosz wojskowy, podniesiony w tem mieście przez mulatów i oswobodzić pojmanego przez rokoszan gubernatora. Wdzięczny Laveaux zamianował swego wybawcę zastępcą w godności gubernatorskiej na Santo Domingo i nazwał go Spartakiem, powołanym do pomszczenia krzywd, jego rasie wyrządzonych. Wyniesienie murzyna do najwyższej w kolonii godności wywołało jak najlepsze wrażenie na wyspie. Ogół czarnej ludności, stroniący dotychczas od pracy lub wałęsający się wśród gór i lasów a ba-

wiący się rabunkiem, jał powracać do opuszczonych siedzib oraz do dawnych zajęć w plantacjach, gdzie prócz żywności przyznaczono im czwartą część zbiorów jako wynagrodzenie za robociznę. Dzięki temu dobrobyt zdawał się powracać w kolonii. Nawet biała ludność, z nieufnością do tej pory spoglądająca na Toussainta, uznała w nim energicznego rządcę i administratora. Znaczenie jego i wpływy rosły niemal z każdym dniem, lubo nie krył on niechęci, w obec dawnych ciemieżców swych współplemieńców. W odezwie, wystosowanej w kwietniu 1796 roku do murzyńskiej ludności wyspy, przemawiał do niej Toussaint z całym przeświadczeniem o własnej sile. — Zważcie dobrze bracia, — pisał w owej proklamacji — że więcej nierównie znajduje się na wyspie murzynów, niż ludzi kolorowych i białych, razem wziętych, oraz że w razie wybuchu nieporządków, nas czarnych rzeczpospolita do zdania rachunków powoła, gdyż my jesteśmy i najsilniejsi i najliczniejsi.. O ile w północnej części wyspy Toussaint był niemal wszechwładnym, o tyle w południowych jej okręgach, zamieszkałych przeważnie przez ludność kolorową, najbardziej znaczącą stawał się osobistością mulat Andrzej Rigaud. Urodzony na Santo Domingo, odebrał staranne wykształcenie w instytucjach wojskowych, francuskich i odznaczał się niezwykłymi zdolnościami strategicznymi. Jako mulat stał się naturalnym współzawodnikiem Toussainta, lecz przewyższając go wykształceniem, nie mógł dorównać przebiegłemu murzynowi pod względem energii i zdolności organizacyjnych. Zbываło mu zresztą na stanowczości. Czuł on boleśnie krzywdę, wyrządzoną, jego zdaniem, ludności kolorowej, upośledzonej na rzecz murzynów, ale na otwarte zerwanie z rządem rzeczypospolitej a raczej z wysłanymi przez niego komisarzami zdobyć się nie mógł. Rigaud walczył szczęśliwie z Hiszpanami, lecz w otrzymaniu nagrody ubiegł go ponownie Toussaint, mianowany generałem dywizji. W maju 1798 r. wyparł dzielny murzyn resztki załóg angielskich z wyspy i w połowie tegoż miesiąca odbył wjazd

tryumfalny do Port-au-prince. Wiedząc aż nadto dobrze, jaki wpływ na masy wywiera zewnętrzny przepych, ułożył zwycięzca szczegółowy program uroczystości. Ustępujące z miasta wojska angielskie musiały przed nim defilować w pełnej paradzie; komendant tychże generał Maitland wyprawił na cześć Toussainta wspaniały bankiet zaś uwieńczeniem tryumfalnego wjazdu była ogólna amnestya, udzielona wbrew instrukcyom z Paryża przysłanym, wszystkim bez wyjątku wyspiarzom. Nie przepomniął też Toussaint o ceremoniach kościelnych. Witało go zatem duchowieństwo w szatach ceremonialnych z chorągwiami rozwiniętymi i w uroczystej procesyi wiodło czarnego wodza do kościoła, gdzie odspiewano *Te Deum* w podzięce za wywalczone zwycięstwo. Utrzymując murzyńskich żołnierzy w żelaznych karchach karności, starał się Toussaint pozyskać dla siebie białych, zwłaszcza tych, którzy się do niego z ufnością zwracali. Wymierzał im sprawiedliwość bez względu na to, czy zaliczali się do republikańców czy też do rojalistów; oficerów zdolnych, walczących w szeregach nieprzyjacielskich, przyjmował w tym samym stopniu do swej armii. Krótko mówiąc, starał się dla siebie wszystkich przedjednać, stać się dla wszystkich potrzebnym, zjednoczyć w swej osobie interes ogółu. To też ludzie, którzy do niedawna uważali Toussainta za herszta rozbójniczej bandy, uznali w nim niebawem zbawcę wyspy, przywracającego dawny ład i porządek. Mimo to Toussaint zachowywał statecznie pozory uległego władzy naczelnej generała — »Nareszcie dopiąłem swego« — donosił w październiku t. r. gubernatorowi, generałowi Hédouville. — »Osiągnąłem cel, jaki sobie założyłem, gdyż wypędziwszy Anglików z wyspy Santo Domingo, w miejscu chorągwi despotyzmu zatknąłem sztandar wolności obok pawilonu rzeczypospolitej francuskiej. Ten sztandar powiewa od jednego końca do drugiego i nie już więcej nie pozostaje mi do życzenia«. Kłamana uległość nie przeszkodziła energicznemu murzynowi w stopniowem podkopywaniu władzy nieudolnego Hédouville'a, który ostatecznie uznał za

stosowne opuścić wyspę, zachęcając Rigauda do stawienia oporu Toussaintowi... Tak więc zavrzała znów walka nieubłagana na śmierć i życie między mulatami a czarnymi. Obie strony walczące dokazywały cudów waleczności i dopuszczały się najwstrętniejszych okrucieństw. Przewaga liczebna czarnych zapewniała Toussaintowi zwycięstwo. Rigaud, wypierany kolejno z jednej pozycyi warownej po drugiej, okopał się w Cayes, zniszczywszy poprzednio całą okolicę, tak, iż zaprowiantowanie wojsk oblegających przychodziło Toussaintowi z jak największą trudnością. Wówczas niespodziany upadek dyktoryatu we Francyi ułatwił szczęśliwemu wodzowi sytuację. Konsulat, powstały w miejsce upadłej władzy, zatwierdził go w charakterze naczelnego wodza na Santo Domingo i wysłał generała Michel z wiadomością o tej nominacji. Uwiadomiono o niej również Rigauda z wezwaniem by uznał w Toussaincie zwierzchnika i zaniechał dalszego oporu. Dumni mulat zrazu i mówić sobie nie dał o ukorzeniu się wobec znieawidzonego przeciwnika. W pierwszym uniesieniu przebić chciał sztyletem przybyłego do jego kwatery parlamentarza, a po chwili uderzyć kazał w dzwony kościelne, wzywając ludność oblężonego miasta do wycieczki celem przebicia się przez wojska Toussainta. Ale wygłodzeni mieszkańcy nie pragnęli bynajmniej dalszej walki. Nikt nie pospieszył na miejsce zboru i Rigaud, upokorzony w najdotkliwszy sposób, opuścił w czerwcu 1801 r. wyspę, udając się wraz z garstką swych zwolenników do Francyi. Kilkuset bardziej skompromitowanych mulatów poszło za jego przykładem i szukało schronienia na archipelagu antylskim; reszta korzystała skwapliwie z amnestyi, ogłoszonej przez Toussainta, który zarząd świeżo pozyskanej prowincyi powierzył generałowi Dessalines, małemu, brzydkiemu murzynowi, odznaczającemu się zarówno dzielnością w boju, jak bezwzględnością w postępowaniu wobec białych. Inaczej zachowywał się Toussaint, który właśnie wśród białych plantatorów znalazł najgorliwszych zwolenników. Skromny i unikający zbytku w oso-

bistych potrzebach, lubił się otaczać świetnym orszakiem, lśniącym od haftów i złota, starając się stworzyć z białych rodzaj dworu koło swej osoby, do którego przystęp mieli tylko najdzielniejsi oficerowie murzyńscy. Im też w nagrodę zasług rozdał w dzierżawę opuszczone przez dawnych właścicieli plantacje, przeznaczając dochód w tej drodze uzyskany na utrzymanie poszczególnych pułków. W ten sposób przyczynił się niepomiernie do podniesienia kultury krajowej, gdyż żołnierz, dbał o własną korzyść, pracował na równi z robotnikiem. W gruncie rzeczy robotnicy murzyńscy, zajęci w plantacjach, nie byli wcale zadowoleni z nowego porządku rzeczy. Wolność ich istniała tylko na papierze, podobnie jak należna im wedle ustawy część czwarta dochodu z roli. Skargi czarnych na właścicieli plantacyj żadnego z reguły nie odnosiły skutku. Toussaint, o ile surowo karał każde nieposłuszeństwo murzynów, o tyle pobbłażał białym, których tylko w razie rażących nadużyć wydalał z kolonii. Ascetyczny iście tryb życia<sup>1</sup>, zastosowany ściśle do klimatu wyspy, podtrzymywał energię generała, ujawniającą się w nieustannym ruchu i w pracy. Milczący i zamknięty w sobie, nie zdradzał w obec nikogo swych planów. Zjawiał się najczęściej tam, gdzie się go najmniej spodziewano, odbywając dalekie podróże konno, w którym to celu w rozmaitych miejscowościach wyspy stały zawsze w pogotowiu dla niego dzielne rumaki. Murzyni na widok przejeżdżającego Toussainta padali plackiem na ziemię a nawet wyżsi oficerowie nie poważali się spojrzeć mu w oczy. Karność w pułkach murzyńskich panowała najściślejsza a najlepsze przewinienie karano rozstrzelaniem na miejscu. Nie poprzestając na regularnem wojsku, utworzył Toussaint z pracujących na roli czarnych rodzaj pospolitego ruszenia, które na odgłos strzałów alarmowych spieszyło pod broń, pozostawiając pracę w polu kobietom i dzieciom. Tak utrzymując swych podwładnych w nieustannej gotowości do walki, postanowił przedsięwziąć wódz odebrać Hiszpanom pozostałą im wschodnią część wyspy.

Wprawdzie obszar ten odstąpiony już został Francji pokojem bazylejskim, ale Rzeczpospolita, zajęta pilniejszymi sprawami, nie nagięła o wykonanie traktatu i w mieście Santo Domingo rezydował w dalszym ciągu namiestnik hiszpański Don Joaquimo Garcia. W 1800 r. zawiadomił go Toussaint, iż przystępuje do okupacji pozostającej pod jego rządami prowincyi i bezzwłocznie wkroczył w granice hiszpańskich posiadłości. Kampania odbyła się niemal bez krwi rozlewu; wojska hiszpańskie nie stawiały bowiem poważniejszego oporu i już w dniu 27. stycznia 1801 r. sztandar trójkolorowy powiewał ze szczytu cytadeli w Santo Domingo. Don Garcia wraz z garnizonem i z dygnitarzami dawnego rządu odpłynął do Meksyku, zdawszy poprzednio rządy Toussaintowi. Z chwilą połączenia z Francją część hiszpańska wyspy miała — jak to zauważył nasz pamiętnikarz, Kazimierz Lux — pozór ziemi opuszczonej, wzywającej przechodnia, aby ją zajął i na drodze uprawy ożywił. Hiszpanie rozdali ją kiedyś między ochotników dla pozakładania plantacyi kawy i cukru pod warunkiem opłaty małego czynszu i pod tytułem lenności. Ale ten tytuł i obawa, aby z czasem nie zmuszono ich do oddania rządowi, jako dziedzicznemu właścicielowi, założonych plantacyi krępowały ich ręce i wstrzymywały od włożenia kapitałów. Powstało wprawdzie dwadzieścia cztery plantacyi cukru w części hiszpańskiej, lecz w tych wyrabiano najwięcej syrop i gatunek pośledniejszego rumu, zwany tafiją a wszystko w ilości zaledwie wystarczającej na potrzeby miejscowe... Hiszpanie, jak na swej ojczystej ziemi, jak w Peru i w Meksyku, tak na wyspie Haiti nie tylko cofali pracę wieków, ale uśmiercali wszystko, co żyło. Samo miasto, leżące nad rzekami Izabelique i Ozama, tworzącemi dogodną przystań, zabudowane było w półkole. Obwiedzione od strony lądu murem, od południa zasłonięte było rzeką, tudzież wchodzącemi w morze skałami. Na tych skałach wznosiła się cytadela, broniona czterdziestoma działami ciężkimi, panującemi nad zatoką. Na wieży twierdzy czuwała dniem i nocą straż, która

na widok zbliżających się do portu okrętów uderzała w dzwon i wywieszeniem flagi oznajmiała mieszkańcom, do jakiej narodowości przybywający statek należy. Przepyszna katedra i kilkanaście opustoszałych klasztorów stanowiły wszystkie osobliwości miasta, które pod względem handlowym znacznie już podupadło.

Na połączeniu z francuską kolonią zyskać tylko mogła dawna posiadłość hiszpańska, której mieszkańcy, zajmujący się przeważnie hodowlą bydła i koni, znaleźli w innych prowincjach wyspy zbyt pożądany na swe stada. Czarne pułki, utrzymywane w żelaznej karności, nie tylko nie wyrządzały żadnej szkody w zajętej świeżo prowincyi, lecz płacąc za wszelkie dostawy gotowizną, wprowadziły w obieg pieniądź, będący do tej pory rzadkością dla mieszkańców. Niemniej korzystne wśród ludności wrażenie wywołać musiały: zaprowadzenie postępowych, na wzór francuski urządzonych instytucji gminnych, budowa gościńców, wreszcie ustanowienie regularnego obiegu pocztowego, który dla nieprzywykłych do cywilizacyjnych nabytków kreolów był nowością zupełnie nieznaną, podobnie jak wozy. Krótko mówiąc, najazd murzyński posiadał dla tej części wyspy znaczenie kulturowe.

Stanąwszy u szczytu władzy i potęgi, postanowił Tous-saint nadać kolonii konstytucyę, która, jego zdaniem, stać się miała podwaliną zdobytej władzy. Napróżno zwracano jego uwagę, że samowolny ten krok uważany będzie we Francyi jako zerwanie dotychczasowego stosunku wyspy z krajem macierzystym, który nie zechce dobrowolnie zrzec się monopolu, służącego mu do tej pory w handlowych związkach z kolonią. Uparty murzyn twierdził nie bez racyi, że nowy porządek społeczny, wytworzony na wyspie, wymagał nieodzownie nowych ustaw zasadniczych, gdyż rewolucya obalwszy dawne instytucye nie zastąpiła ich trwałemi, nowemi urządzeniami. Przeciwnie, zmieniające się we Francyi systemy rządowe zasypały kolonię mnóstwem rozporządzeń, bądź nieodpowiednich, bądź też wręcz z sobą sprzecznych, które

z czasem spowodowały istny chaos pojęć prawnych. Projektowana przez Toussainta konstytucya była w znacznej części kopią nowej konstytucyi francuskiej. Głosiła ona zniesienie niewolnictwa po wieczne czasy tudzież równouprawnienie wszystkich mieszkańców wyspy bez względu na barwę skóry. I podczas gdy pierwszy konsul w ustawie zasadniczej, obowiązującej we Francyi, starał się w sposób najbardziej stanowczy zabezpieczyć prawo własności nabywcom t. z. dóbr narodowych, przyznawał Toussaint toż prawo do opuszczonych plantacyi nawet nieobecnym białym, o ile ich nazwiska nie figurowały na francuskiej liście emigrantów. Najważniejszem wszakże postanowieniem nowej konstytucyi było uznanie Toussainta dożywotnim namiestnikiem i prezydentem kolonii z prawem mianowania wszystkich urzędników oraz wyznaczenia po sobie następcy. W ten sposób zabezpieczał sobie ambitny wódz władzę monarszą, jakkolwiek na razie nie pożył jeszcze tytułu królewskiego. Gdy ostrzegano go, że kolonia nie dojrzała jeszcze do samoistnego, politycznego bytu oraz, że nie należy zrywać stanowczo z Francją, odpowiadał Toussaint hardo :

— Jestem Bonaparte na Santo Domingo i bezemnie kolonia się nie ostoi....

W tem przekonaniu zwołał on w maju 1801 roku zgromadzenie ogólne do Port Republicain, które po krótkiej naradzie uchwaliło przedłożony mu projekt konstytucyjny. Nie czekając na potwierdzenie uchwały przez pierwszego konsula, ogłosił Toussaint nową konstytucyę w dniu drugim czerwca t. r. i dopiero o fackie dokonany zawiadomił rząd francuzki.

Dobrobyt kolonii wzrastał z każdym niemal miesiącem. Wprawdzie urzędowe wykazy przedstawiały znaczny stosunkowo niedobór, spowodowany rzekomo wydatkami na utrzymanie wojska, nie ulega jednak wątpliwości, że Toussaint oszczędzał rokrocznie znaczne sumy. — Słyszę — mawiał do swego otoczenia, — że Europejczycy o niczem innem nie mówią jak tylko o pieniądzech. Widzę, że -Anglików szanują

dla pieniędzy. Pragnę, by także mój rząd szanowano i dlatego oszczędzam... Ów dobrobyt wszakże, wywołany poniekąd sztucznymi środkami, nie mógł się obyć bez ofiar. Cierpieli murzyni, zwłaszcza pracujący w dobrach wydzierżawionych wyższym wojskowym, czarnym, którzy niepoprzestając na znacznych, prawowitych dochodach, chcieli się wzbogacić co prędzej kosztem współbraci. Ciemnieźni poczeli się burzyć, wypominając gorzko, iż nie po to krew przelewali, by znów w okropnym pracować trudzie. Ale skargi i narzekania na nic się nie zdały. Dowodzący w południowo-zachodniej części wyspy okrutnik Dessalines karał w straszliwy sposób rozruchy robotnicze. Inaczej znów postępował zarządzający północną częścią wyspy, bratanek Toussainta, Mojżesz, który wręcz potępiał wyzysk pracy czarnych na korzyść plantatorów i oświadczył jawnie, że nie chce być kateim własnego plemienia... Ośmieleni łagodnością Mojżesza podnieśli bunt murzyni, osiedleni w okręgu Limbé. W czasie rozruchu trzystu białych utraciło życie, lecz Toussaint otoczył wojskiem widownię powstania i zgniółł je w zawiązku. Mojżesza oddał pod sąd wojenny i kazał go rozstrzelać. Podobny los spotkał też przewódców buntu. Toussaint sam ich przesłuchiwał i przekonanych o winie odsyłał do plutonu egzekucyjnego, który natychmiast spełniał wyrok. Skazańcy sami udawali się na miejsce tracenia. Tak potężnem było słowo czarnego wodza, który grozą chciał zastąpić cześć bezgraniczną, jakiej dotychczas wśród swoich zażywał.

Na ową bezwzględność, okazywaną w obec murzyńskich powstańców przez wszechwładnego rządcę, wpłynęło, być może, złowrogie milczenie ze strony rządu francuskiego. Daremnie stał Toussaint do pierwszego konsula listy z zapewnieniem uległości i podziwu dla jego czynów. Pierwszy z białych — jak Bonapartego nazywał — nie zaszczycił zasłużonego wodza ni jednym słowem odpowiedzi.

Milczenie to było zapowiedzią bliskiej katastrofy...

Pierwszy z białych, nie myślał wcale o zatwierdzeniu

konstytucyi przez czarnego wodza ułożonej. Jak zawsze, tak i w tym wypadku, wymagał on bezwarunkowej uległości i posłuszeństwa, a zarówno względy zewnętrznej jak i wewnętrznej polityki kazały mu przystąpić do energicznej akcji w sprawie Santo Domingo. Kolonie podówczas przedstawiały dla krajów macierzystych nie równie większe znaczenie, niż to ma miejsce obecnie. Były one zarazem plantacją, miejscem zbytu i portem, otwartym jedynie dla metropolii, której w zamian za wyroby przemysłu europejskiego dostarczały płodów podzwrotnikowych. Francya z swych osad pobierała cukier kawę, indygo, bawełnę. Utrata kolonii równała się przeto dla niej zdaniu się na łaskę i niełaskę handlu holenderskiego, miast hanzeatyckich i włoskich a niepomyślny wynik wyprawy egipskiej zniewalał poniekąd pierwszego konsula do szukania odwetu na Santo Domingo, którą to wyspę za każdą cenę należało utrzymać w ścisłej zależności od rzeczypospolitej, jeśli Francya nie miała postradać znaczenia potęgi morskiej. Nadto w samymże kraju znalazły się potężne czynniki, przemawiające za utrwaleniem władztwa Francyi na perle Antyllów. Bonaparte, dążący wytrwale do monarszej korony, oprzeć się musiał, naturalnym rzeczy porządkiem, na klasie posiadającej. Dlatego też pierwszy konsul oddawał powracającym emigrantom dobra skonfiskowane podczas rewolucyi, o ile na pozwalały interesy późniejszych tych nieruchomości nabywców. W szczególności zależało mu na pozyskaniu szlachty w Bretanii i w Wandei, które to prowincye, świeżo uspokojone pragnął zjednać sobie, kupić łagodnością i ustępstwami daleko idącymi, a właśnie szlachta bretońska, która w swoim czasie najliczniej dostarczała osadników na Santo Domingo, najściślej utrzymywała związki z arystokracją rodową, wyspiarską. Ta ostatnia, pozbawiona przeważnej części mienia, przebywała na paryskim bruku, czekając na sposobną porę celem odzyskania straconych fortun. Gorliwą oredniczką owych egzotycznych markizów i wicehrabiów stała się małżonka pierwszego konsula, Józefina, która jako Kreolka

starła się skutecznie popierać interesy swych współziomków u wszechwładnego małżonka. Jeżeli we Francji nie starczyło dóbr na zaspokojenie pretensyj przejednanych z rządzoną rojalistów, to w ostatecznym razie olbrzymie obszary na Santo Domingo miały przywrócić zubożałym pansom dawną świetność i zaprzędz ich do rydwanu pierwszego konsula. »Santo Domingo w zamian za Egipt dla Francji!« powiedział sobie Bonaparte, lecz nie chcąc przedwczesnie trwożyć Toussainta zalecił *Monitorowi*, by w szeregu artykułów wyraził się pochlebnie o zasługach czarnego wodza. Niemniej gorliwie jednak śledzono wszystkie jego czynności i niebawem komisarz francuski Cerversau wpadł na trop tajnych układów, jakie ambitny murzyn nawiązał z Anglikami, którzy chętnie zgadzali się na uznanie go niezależnym władcą wyspy w zamian za otwarcie jej portów dla handlowych okrętów Wielkiej Brytanii. Prócz podejrzenia o zмовę z Anglikami i samowolnie narzuconej konstytucji ciężżyły na wielkorządcy wyspy inne jeszcze zarzuty formalnej natury, wśród których figurowało też oskarżenie, iż Toussaint w miejsce trójkolorowej używał czerwono-niebieskiej flagi, z której usunął obowiązkowy napis: »Rzeczpospolita francuska«... Użycie siły zbrojnej przeciw zuchwałemu generałowi stało się najgorętszym życzeniem pierwszego konsula, który przeznaczając na daleką tę wyprawę wypróbowane bataliony armii nadreńskiej równocześnie pozbywał się, jak twierdzili wtajemniczeni w jego zamysły, najzapaleńszych republikanów, podkomendnych niechętnego mu generała Moreau. Na radzie stanu myśl ekspedycji na Santo Domingo spotykała się z gorącą opozycją ze strony obrońców murzynów, ale wola Bonapartego była dla większości radców rozkazem. Nie sprzeciwiono się nawet wywodom pierwszego konsula, iż w jak najkrótszym czasie przywrócić należy niewolnictwo w tej osadzie, jako jedyną podstawę jej dobrobytu... W oficjalnym wszakże języku postanowienie naczelnika rządu, zapowiadające ponowne poddanie wyspy, figurowało jako wola narodu.

Zaraz też rozpoczęto czynić wielkie przygotowania do wyprawy, która w pierwszych dniach listopada 1801 roku opuścić miała brzegi Francji. W Brest, w Rochefort, w Kadyksie i w Tulonie szykowano okręty wojenne oraz wynajęte statki transportowe celem przewiezienia wojska, artylerji i materiału wojennego. Siedmdziesiąt sześć okrętów różnej wielkości składało flotę, dowodzoną przez admirała Villaret-Joyeuse, pod którego rozkazami pozostawało sześciu kontradmirałów. Niemniej imponująco przedstawiał się korpus ekspedycyjny, złożony z dwudziestu siedmiu tysięcy wojska różnej broni, pod wodzą czterdziestu generałów. Młodzi ci wojownicy, którzy swe stopnie zdobyli na pobojuwiskach włoskich i niemieckich, spieszyli, pełni otuchy, po świeże wawrzyny. Przrzekali Paryżanom, iż pióropuszami swych kapeluszków generalskich pokonają buntowników murzyńskich. Naczelnym wodzem, kapitanem generalnym i generalnym gubernatorem w jednej osobie mianowany został młody, bo trzydzieści lat zaledwie liczący, Karol Leclerc d'Ostin, świeżo zaślubiony z Pauliną Bonaparte, ukochaną siostrą pierwszego konsula. Młodziuchny ten dowódca zawód wojskowy rozpoczął w dwudziestym roku życia w stopniu porucznika batalionu ochotniczego. Podczas oblężenia Tuluonu otrzymał stopień adjutanta. Był w ogniu pod Fleurus a następnie przydzielony do armii alpejskiej, przepędził zimę 1794 roku na Mont-Cenis. W jesieni roku następnego pełnił obowiązki komendanta w Marsylii, skąd odwołany do Włoch, zdobył sobie tamże szlify generalskie. Podczas zamachu stanu oddał przysługiemu szwagrowi znaczne usługi i wyprawiony w stopniu generała dywizji nad Ren przyczynił się do wygranej pod Hohenlinden. Naczelne dowództwo zamorskiej wyprawy było nagrodą tych czynów, a uroczą małżonka towarzyszyła generałowi w dalekiej podróży, odbywanej na admirałskim statku »Oceanie«. Na innym znów okręcie płynęli Izak i Jan, synowie, tudzież Placyd, pasierb Toussainta, wychowywani we Francji, a wyprawieni z rozkazu Bonapartego na Santo Do-

mingo, celem łatwiejszego jakoby przejednania buntowniczego wodza. Toussaint utrzymywał dobrze płatnych szpiegów we Francyi i dlatego już w pierwszych dniach grudnia t. r. wiedział o zamierzonej wyprawie oraz o sile wojsk, biorących w niej udział. Anglicy, tyle chętni do układów przed rokiem, wyparli się w chwili stanowczej wszelkiego z czarnym wodzem współnictwa. Przekonał się, że liczyć może tylko na własne siły. Nie były one wcale szczupłe. Prócz dwudziestu tysięcy regularnego żołnierza miał Toussaint na zawołanie dwa razy tyle gwardyi narodowej oraz pospolitego ruszenia ćwiczonego energicznie przez sprowadzonych umyślnie niemieckich, tudzież francuskich instruktorów. Osobny batalion tworzyło kilkuset białych. Byli to po części awanturnicy, przybyli z różnych stron świata, którzy dobrowolnie zgłosili się pod rozkazy murzyna, po części zaś niedobitki, pozostałe z licznych batalionów, jakimi rząd francuskich zasilał od czasu do czasu armię kolonialną. Toussaint sformował z nich rozmyślnie odrębny oddział, gdyby na dowód, jak zabójczym jest klimat wyspy dla nieprzywykłych do niego Europejczyków... Niemniej charakterystyczną była odezwa generała, wystosowana do wojsk wyspiarskich. Zawiadamał w niej podwładnych o zbliżaniu się armii i posłów wysłanych przez władzę metropolitalną. Oświadczył, iż należy rozkazy tejże władzy przyjmować z szacunkiem i z synowską uległością, lecz równocześnie zapewniał swych podkomendnych, iż wskaże im drogę, jakiej w obronie honoru trzymać się wypadnie. — Żołnierze! — głosił w owej proklamacyi. — Zachowując karność i wszystkie cnoty żołnierza, winniście zwyciężyć lub umrzeć. Dziecko szczerze oddane matce, winno jej szacunek i posłuszeństwo. Gdyby jednak wyrodna matka własne zamierzała zgładzić dziecko, niech powierzy ono swą zemstprawicy Boga! Jeśli mi śmierć sądzona, zginę jak człowiek honoru i jak żołnierz waleczny, który się nikogo nie lęka...

Dowództwo w północnej części wyspy oddał Toussaint murzynowi Krzysztofowi, na zachodzie i na południu dowo-

dził naczelnie Dessalines. Prócz tego ważniejsze stanowiska zajmowali Clerveaux, którego wojska dotykały przyładka Samana, tudzież brat rodzony naczelnego wodza, Paweł, założyciel w Santo Domingo. Sam Toussaint na przyładku Samana, koło którego przepływać musiały wszystkie przybywające z Europy okręty, oczekiwał pojawienia się floty francuskiej.

W dniu 29. stycznia 1802 r. długi szereg statków przeciągnął koło Samany potężną salwą działową zwiastując swe przybycie i skierował się ku północnym wybrzeżom wyspy, dokąd też niezwłocznie, co koń wyskoczy, podążał dniem i nocą Toussaint. W trzy dni później Francuzi zatrzymali się na otwartem morzu przed Cap Français. Na powitalne salwy okrętowe nie dano z warowni miejskich żadnej odpowiedzi, nikt nie pospieszył na przyjęcie przybyłych. Widząc to Leclerc wysłał do generała Krzysztofa, dowodzącego w tej miejscowości, adjutanta swego, Lebruna, z wezwaniem, by przyjęto do miasta załogę francuską. Lebrun wiózł z sobą proklamacyę pierwszego konsula, wzywającą mieszkańców wyspy, by łączyli się pod sztandarami kapitana generalnego, przynoszącego im pokój i pomyślność. Ktoby się jednak od kapitana generalnego odłączyć poważał — słowa odezwy — ten byłby chyba zdrajcą własnej ojczyzny, a gniew Rzeczypospolitej tak by go zniszczył, jak ogień niszczy wyschłe plantacye trzciny cukrowej.. Ta ostatnia groźba nie przeraziła Krzysztofa, który przyjąwszy układnego wysłannika wystawnym obiadem, zauważył lakonicznie, iż przywieziony przez niego dokument trąci straszliwie despotyzmem i tyranją. Nie sprzeciwił się również komendant wyprawieniu deputacyi miejskiej na pokład admirałskiego statku, lecz deputaci, przyjęci szorstko przez Leclerc'a, powrócili co rychlej na ląd z wiadomością, iż w razie niepoddania warowni, Francuzi grożą szturmem oraz bombardowaniem miasta. Na groźby Leclerc'a oraz na pochlebne obietnice jego posłannika, zapewniającego Krzysztofa o wspaniałej nagrodzie, jaką dla niego rzeczpospolita gotuje, odpowiadał generał wymijająco, tłóma-

cząc się brakiem stanowczych rozkazów ze strony Toussainta, który według wszelkiego prawdopodobieństwa ukryty w sąsiedniej komnacie, przysłuchiwał się rozmowie. Oświadczył w końcu Krzysztof, iż w razie wylądowania Francuzów obróci miasto w perzynę i zaraz zawezwał mieszkańców, by opuścili swe domostwa. Przerażona ludność w popłochu uciekała z miasta, albo też kupiła się bezradnie na wybrzeżu, wyczekując pomocy od Francuzów, którzy w dniu czwartym lutego, o świcie, rozpoczęli kroki nieprzyjacielskie.

Pierwsza wylądowała dywizja generała Rochambeau i nie tracąc czasu uderzyła na fort Liberté, położony na wschód od miasta. Załoga, z dwustu zaledwo czarnych złożona, poddała się po krótkim oporze, lecz zawzięty Rochambeau pierwszy dał hasło do rzezi proszących o pardon nieprzyjaciół. — Wycięto wszystkich do nogi. — Wojna za wojnę, zbrodnia za zbrodnię, zniewaga za zniewagę — takie hasło padło wśród czarnych. Jeszcze nie przebrzmiał odgłos strażaków w zdobytej forcie, gdy morze dymów rozlało się nad stolicą kolonii i olbrzymi słup płomieni strzelił ku niebu. To żołnierze Krzysztofa puszczały z dymem Cap Français, a równocześnie luźne gromady murzyńskie rzuciły się na białych, spieszących na powitanie Francuzów i sprawiły wśród nich rzeź straszliwą. Gruzy spalonych domów i okropnie zepszczone zwłoki białych — oto, co zastali żołnierze rzeczypospolitej u wstępu na wyspę świętego Dominika. Nie lepiej działo się na zachodnim wybrzeżu wyspy, gdy pod Port au Prince ukazała się eskadra francuska, wioząca dywizję generała Baudeta, która stosownie do planu operacyjnego, w tej stronie wysiąść miała na ląd. I tutaj z chwilą pojawienia się Francuzów na wybrzeżu rozległy się strzały alarmowe a równocześnie w kilkudziesięciu miejscach wybuchł pożar, podłożony przez murzynów, którzy dopiero po rozpaczliwym oporze ustąpili z warowni miejskich, by szukać ocalenia w niedostępnych górach. Teraz już ludność wyspiarska przekonała się że przybyłe z Francji wojska nie przyniosą jej szczęścia, ni pokoju...

— A więc rzeź ma być jedyną nagrodą dla mych walecznych żołnierzy za ich dzielną pomoc w utrwaleniu dobrobytu kolonii i spokoju na wyspie? — odpisał Toussaint wzywającemu go do kapitulacji generałowi Rochambeau. — Walczyć do śmierci nie przestanę celem pomszczenia walecznych i zachowania wolności!

W obec tego spóźnioną wielce była misya Coisnona, byłego wychowawcy synów Toussainta, wysłanego wraz z nimi do plantacji Ennery, gdzie przebywał wódz czarnych. Toussaint powitał z rozrzewnieniem synów, odczytał uważnie list pierwszego konsula, przez nich przywieziony, a pełen ujmujących lecz ogólnikowych frazesów i oświadczył gotowość wejścia w układy z generalnym kapitanem pod warunkiem natychmiastowego zaprzestania kroków nieprzyjacielskich. Ale Leelerc dalekim był od skłonności do czynienia jakichkolwiek ustępstw. Żądał od Toussainta, by natychmiast stawiał się przed nim, grożąc mu w razie przeciwnym wyjęciem z pod prawa. Walka więc toczyła się w dalszym ciągu ze zdwojoną wściekłością. Dessalines nie mogąc się utrzymać w Leogano w obec przeważnych sił Baudeta, spalił miasto, wyrznął białych mieszkańców i uszedł w góry. Podobnie postąpił murzyński generał Maurepas, dowodzący w Port de Paix. Natomiast brat Toussainta, Paweł, wprowadzony w błąd podobnym listem naczelnego wodza, oddał Francuzom cytadelę w Santo Domingo a w jego ślady poszedł Clerveaux, kapitulujący bez walki. Raz jeszcze Toussaint odniósł walne zwycięstwo nad Francuzami, których zaskoczył niespodzianie w Wąwozie Padalca. Na czele dwutysięcznego oddziału, bez artylleryi, zadał stary wódz dotkliwą klęskę korpusowi generała Rochambeau, który wraz dwoma innymi ruchomymi kolumnami zamierzał go w jego górskim schronieniu osaczyć. Od tego jednak czasu szczęście stanowczo odwróciło się od czarnych. Niespodziewanie porzucił ich sprawę Krzysztof, który przeszedł na stronę wojsk rządowych w zamian za stopień i komendę w Port de Paix, jakie mu pozostawiono.

Niebawem poddała się Francuzom warownia Mole St. Niclas a w pierwszych dniach marca wpadły w ich ręce zasobne składy prochu, amunicji tudzież skarbiec wyspy, liczący około dwanaście milionów franków, ukryty przez czarnych w niedostępnych górach Bahos. Generał Leclerc przeniósł się do Port an Prince, celem łatwiejszego kierowania działaniami wojennymi, które lubo wielce skombinowane zdawały się zapowiadać mu rychłe zakończenie kampanii. Bronił się jeszcze w górskiej twierdzy, zwanej Wróblim Grzebieniem, srogi Dessalines, który w tysiąc ludzi skuteczny stawiał opór dwunastu tysiącom Francuzów lecz już pó miesiącu, zagrożony ogłodzeniem, przedarł się przebojem przez szeregi wojsk obłężniczych, zostawiając im zorane kulami szańce. Z końcem marca nadeszły Francuzom świeże posiłki z Europy w sile pięciu tysięcy ludzi, a wraz z nimi przybył na wyspę pierwszy Polak, generał brygady, Władysław Jabłonowski, wysłany przez Bonapartego, w celu obmyślenia sposobu, w jaki walczący do tej pory we Włoszech nasi legioniści mieli być użyci na wyspie. Jabłonowski, zwany przez towarzyszków broni rzyńskim, zagadkową do pewnego stopnia był postacią. Cery brunatno-oliwkowej, o czarnych, kędzierzawych włosach, wystających kościach policzkowych i o wydatnych, grubych wargach, sprawiał na pierwszy rzut oka wrażenie mięszańca, co najmniej mulata. A jednak ujrzał on światło dzienne w Polsce, około roku 1768 — ojca nie znał nigdy. Matką jego była jedna z pań polskich, ozdobiona książęcą mitrą, która powróciwszy do kraju po dłuższym we Francji pobycie, powiła czarnego — jak go w pierwszej chwili nazwano — potworka.

Podskarbi Ogiński, któremu zawdzięczamy wiadomość o tajemniczym pochodzeniu Jabłonowskiego, przytacza w swych wspomnieniach wielce znamienne rozmowę, jaka miała miejsce między matką niemowlęcia a księciem panem, jej małżonkiem, niezbyt zbudowanym z powodu pojawienia się czarnego intruza.

— Ależ pani pytał księżę — skąd się ten murzynek do nas przyplątał.

— Zapatrzyłam się — odparła piękna pani — na murzyna z wosku, stojącego w Paryżu z fajką w ustach przed sklepem tabacznym...

— To dobrze — zauważył uprzejmy mąż, zmieszany obecnością kilku osób przy tej rozmowie — lecz gdzież jest fajka, bo tej w ustach noworodka nie widzę...

Wesołym śmiechem przyjęto koncept księcia pana i w kilka tygodni później rozpuszczono wiadomość, że dziecko umarło. — W rzeczywistości jednak matka odesłała maleństwo do Paryża, gdzie wychowało się pod nazwiskiem Władysława Jabłonowskiego. Doszedłszy do lat, uzyskał młodzieńiec za staraniem księżny wstęp do szkoły wojskowej w Brienne, gdzie na jednej z Bonapartem zasiadał ławie. Niesympatyzowali wszakże z sobą i gdy razu pewnego Napoleon jał drzwi z murzyńskiej twarzy Jabłonowskiego, odparł tenże w gniewie:

— Lepiej być murzynem z białą duszą, niż białym z duszą czarną...

Słów tych, według świadectwa St. Cyra, nie miał pierwszy konsul zapomnieć dawnemu towarzyszowi do śmierci.

Opuściwszy zakład w Brienne w stopniu porucznika powrócił następnie do kraju i brał żywy udział w organizacji formowanych przy współdziale galicyjskiego ziemiaństwa legionów na Wołoszczyźnie, by po ich rozwiązaniu pospieszyć do Włoch. Służył zrazu w armii Rzeczypospolitej Rzymskiej, a następnie po Kniaziewiczu pełnił przez czas jakiś obowiązki komendanta legii naddunańskiej, z którego to stanowiska rozkaz pierwszego konsula odwołał go za morze. Podobny z twarzy do czarnych, odczuwał żywo Jabłonowski ich smutną dolę i przydzielony do sztabu Leclerc'a, oddał legionistom tę znaczną przysługę, iż nie wcielano ich po wylądowaniu na wyspę do rozmaitych oddziałów francuskich — jak tego sobie życzył minister wojny, Berthier, jeno pozwolono im walczyć

pod dotychczasową komendą. Słusznie bowiem zauważył nasz generał, iż legioniści wtedy tylko bić się będą z dotychczasowym zapałem na sprawę Francji, jeżeli zachowają odrębną organizację i darowane im przez Rzeczpospolitą sztandary. — Znam najlepiej moich ziomków — raportował, zapytany przez naczelnego wodza o zdanie Jabłonowski — i wiem najlepiej, co na podtrzymanie ich męstwa wpłynąć, a co ich zniechęcić może...

Wystąpienie murzynka w obronie ziomków nie było bynajmniej przedwczesne, gdyż w chwili gdy generał wstępował na niegościnne dla białych wybrzeże wyspy, wydał Berthier z polecenia pierwszego konsula Muratowi rozkaz wywiezienia legionistów na Santo Domingo. Pierwsza wyruszyć miała dawna legia naddunajska, sformowana z niemałym trudem przez Kniaziewiczza nad Renem, a przeobrażona po przeniesieniu jej do Włoch w trzecią półbrigadę cudzoziemską. Dekret ministeryalny polecał dowodzącemu we Włoszech generałowi skoncentrowanie legii polskiej w Livorno i wsadzenie jej na wielkie okręty z żywnością na dwa miesiące. Odjazd miał nastąpić już w ostatnich dniach kwietnia kosztem rządu królestwa Etrurji, który w ten sposób miał się uwolnić — słowa rozporządzenia — od legionistów..... Trudno o bardziej upokarzającą odprawę dla ludzi, którzy od lat pięciu krew przelewali za sprawę Francji oraz Włoch, wyjarzmianych z pod panowania obcych władców. Niedziw przeto, iż jeszcze przed ogłoszeniem urzędowem w mowie będącego rozkazu wielu oficerów legii zażądało uwolnienia od służby. Napróżno Dąbrowski, pozostawiony jako generał dywizji w służbie Rzeczypospolitej cisalpińskiej, starał się uratować był legionu, choćby pod zmienioną nazwą i dopraszał się, by mu wolno było z chorych i z rannych legionistów, pozostałych w rozmaitych zakładach włoskich, tworzyć świeże zaciągi dla Rzeczypospolitej, w której służbie się liczył. Ale i temu żądaniu sprzeciwił się rząd francuski, który po zawarciu traktatu w Amiens chciał się co rychlej pozbyć polskiego żołnierza

z Włoch. Na tyle wszakże zaufał Bonaparte legionistom, iż nie dodał im eskorty z wojsk francuskich, towarzyszącej innym oddziałom, wysyłanym pod groźą ognia działawego oraz bagnatów na tę wyprawę. Co prawda, oddziały owe składały się z wyrzutek armii republikańskiej, ze zbiegów i z aresztantów wojskowych, internowanych na wyspie Ré, wreszcie z bretońskich gardkotów, gwałtem chwytyanych pod karabin.

Smutny los tych nieszczęsnych przyszło dzielić legionistom, którym ogłoszono w rozkazie dziennym, iż w nagrodę znakomych usług wojennych, oddanych Rzeczypospolitej, »trzecia półbrygada zostaje przydzielona do wojska francuskiego z zastrzeżeniem równych zaszczytów, praw i korzyści, przybierając odtąd nazwę setnej trzynastej półbrygady armii«. W kilka dni później dano wojsku rozkaz ambarkowania na przygotowane już w porcie statki przewozowe a równocześnie przybyła z Tulonu korweta wojenna, mająca towarzyszyć odpływającym okrętom. Skorzystał z tego ordynator miejscowy, Michaux i rozpuścił między legionistami pogłoskę, iż celem ich podróży jest Tulon, gdzie dalej służbę będą pełnili. Komendantem ekspedycyi wyznaczono generała brygady, Fortunata Bernarda, sztabowca, nieznanego ani służby frontowej, ani też języka swych podkomendnych. Co gorsza, Bernard nie tylko nie starał się o pozyskanie zaufania legionistów, lecz nadto krzywdził ich na każdym kroku do tego stopnia, iż tytuł dla żołnierzy przeznaczony sprzedawał na własny rachunek w Kadyksie. Wsadzona na okręty półbrygada składała się z trzech batalionów, dowodzonych przez majorów Zagórskiego, Bolestę i Wierzbickiego. W ogóle korpus oficerski tworzyło stu ośmnastu oficerów różnych stopni, pozostających w czynnej służbie, bądź też na reformie, (to jest na połowie żołdu), podczas gdy podoficerów i żołnierzy liczone 2.235 oraz 56 osób należących do służby lekarskiej tudzież administracyjnej. Przeprawa odbywać się miała na czternastu statkach rozmaitej objętości, mieszczących po jednej i po dwie

kompanie żołnierzy na pokładzie. Oficerom dano hamaki, sienniki szeregowcom i zaopatrzone ich w świeże mięso na wiele dni. Dowódcy batalionowi otrzymali po trzysta, oficerowie niższych stopni po dwieście franków gratyfikacji, ponieważ kapitanowie statków oświadczyli, iż ich żywić nie mogą.

W największym porządku i bez szemrania wsiedli legioniści w dniu ósmnastym maja na okręty, w obec czego przykre na odjeżdżających sprawić musiało wrażenie skonsygnowanie w porcie dwóch półbrygad francuskich, zarządzone przez komenderującego w Livorno, generała Rivau. Użycie siły zbrojnej było zbędne w obec nawykłych do karności wojskowej legionistów. Natomiast pozwolono dziewiętnastu kobietom, żonom żołnierzy, towarzyszyć mężom w zamorskiej podróży a i czworo dzieci żołnierskich podążało za rodzicami na drugą półkulę. O godzinie czwartej rano eskadra, wioząca legionistów, wypłynęła na pełne morze, lecz szalona burza zapędziła ją z powrotem do portu, zkąd dopiero w trzy dni później wyruszono w ponowną drogę do Tulonu. Ofiarą burzy padł wszakże jeden ze statków przewozowych, płynący pod flagą rosyjską, nazwiskiem »Mikołaj«, rozbity o skały w pobliżu San Vincenzo. Ze stu ośmdziesięciu legionistów, składających załogę »Mikołaja«, ocalało zaledwie sześćdziesięciu a dowodzący nimi kapitan Kaktus zawdzięczał życie tylko odwadze i przytomności swej małżonki. Dzielna ta kobieta uchwyciwszy jedną ręką męża a drugą przywiązawszy się do okiennicy okrętowej, rzuciła się w morze i po kilkugodzinnej walce z rozszalałym żywiołem, znalazła się wraz z małżonkiem na wybrzeżu. Mieszkańcy Livorna zajęli się litośnie losem rozbitków, których wraz z pozostałymi jeszcze w zakładach włoskich legionistami odesłano we wrześniu t. r. na miejsce przeznaczenia. Dalsza żegluga eskadry odbyła się pomyślnie. Po dłuższym postoju w Maladze, gdzie naszych żołnierzy gościnnie podejmował konsul polskiego pochodzenia, udali się legioniści do Kadyksu, zkąd dopiero

w dniu dwunastym sierpnia ruszono w dalszą podróż. Zrazu wiatr wschodni pozwolił okrętom prosto sterować ku Antyllom, ale w połowie sierpnia zapanowała taka cisza na morzu, iż okręty — jak zapisuje w swych wspomnieniach Kazimierz Lux — zdawały się stać na czystym zwierciadle. Nie mogąc odgadnąć, jak długo ta cisza trwać będzie, rozkazano dozorcóm żywności stan zapasów złożyć, pozinniejszono porcey jadła a tem bardziej wody. Ta zaś już się psuć miała. Koloru żółtego, odrażającego zapachu, napelniona robactwem; chcąc jej używać, musiano ją węglami czyścić i pomimo tego nie dawano więcej na osobę, bez różnicy stopnia, jak po jednej kwarcie na dzień. Męczarnia pragnienia przy upałach które do czterdziestu stopni Reaumura dochodziły, spowodowała choroby i śmiertelność na okrętach rozszerzać się zaczęła. Żołnierze w morze wskakując, w pływaniu ochłodzenia szukali, co jednak smutne za sobą nieraz pociągało skutki. Kilku żołnierzy oddaliwszy się zbyt od okrętu, dostało kurczu i mimo rychłego ratunku śmierć w głębinach morskich znalazło; inni znów od rekinów i od wilków morskich, towarzyszących zwykle okrętom, pożarci zostali. Nie mogąc w żaden sposób zabronić kąpania się w morzu, wyznaczono godziny do kąpieli, w czasie których odkomenderowano straż; ta strzelając w fale śrótem, odstraszala potwory...

Tyle kapitan Lux.

Dopiero z dniem pierwszym września powiał znów wiatr od wschodu i po sześciotygodniowej żegludze eskadra, wioząca legionistów, zarzuciła kotwicę pod Cap Français. Jabłonowskiego nie zastali już nasi żołnierze przy życiu. Wysłany z głównej kwatery na czele oddziału, ścigającego bandę powstańczą mulata Belaira, rozbił ją doszczętnie pod Verettes, lecz po skończonej bitwie zachorował obłożnie na żółtą febrę i przeniesiony do najbliższej chaty murzyńskiej zakończył w niej życie po kilkugodzinnych cierpieniach. (d. 30. sierpnia 1802 r.). Zwłoki jego spoczęły na cmentarzu w Verettes.

Nazwisko tego wojownika przekazał potomności Mickiewicz,  
wzmiankując o nim w pierwszej księdze *Pana Tadeusza*:

...Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie,  
Gdzie się cukier wytapia i gdzie w wiecznej wiośnie  
Pachnące kwitną lasy; z legią Dunaju  
Tam wódz murzyny gromi a wzdycha do kraju!



WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI.

Chwila, w której pierwsi legionieści przybyli na Santo Domingo, nie była pomyślną dla Francuzów. Przewagi orężne, odniesione z wiosną, zapewniły wprawdzie Leclerc'owi chwilowe powodzenie, ale o trwałem uspokojeniu wyspiarzy nie było i mowy, jakkolwiek Toussaint, opuszczony przez jednego ze swych najwierniejszych generałów, Dessalina, chcąc nie

chcąc wdać się musiał z Francuzami w układy. Dumny murzyn nie chciał wszakże i słyszeć o kapitulacyi, jeno w listach do generalnego kapitana słanych wspominał o zdaniu dowództwa. Uszanował ten skrupuł Leclerc i solennie przyrzekając staremu wodzowi zachowanie stworzonej przez niego armii, doradzał mu spoczynek, tyle potrzebny po wieloletniej pracy i upraszał, by i na przyszłość zechciał go radami wspierać... Dyplomacya poskutkowała. Ostrożny murzyn zawierzył Francuzom. Znać, nie wiedział o smutnym losie, jaki na krótki czas przedtem stał się udziałem Andrzeja Rigaud. Dawny ów współzawodnik Toussainta powrócił wraz z wyprawą wojsk rzeczypospolitej na wyspę, gdzie ze strony mulatów entuzjastycznego doznał przyjęcia. Ale właśnie popularność stała się przyczyną jego zguby. Zwabiony podstępnie na okręt wojenny, aresztowany został pod zarzutem knowania niebezpiecznych spisków i deportowany do Francyi. Nie przeczuwał zapewne Toussaint, iż w najbliższej przyszłości podobny los stanie się jego udziałem i w pierwszych dniach maja (1802 r.) udał się do głównej kwatery Leclerc'a. Przyjęty z honorami wojskowymi, należnymi jego randze, otoczony sztabem i gwardyą honorową, witany salwami floty, wjeżdżał wódz czarnych do Cap Français nie jako zwyciężony ale gdyby zwycięzca, a Leclerc z radością uściskał pierwszego z murzynów — jak nazwał pompatycznie swego przeciwnika. To też w najlepszej wierze donosił Toussaint pierwszemu konsulowi o pojednaniu się z jego szwagrem. — Rozmawiałem z nim — pisał do Bonaparte'go — z całą szczerością i serdecznością jak z towarzyszem broni, którego się lubi i szanuje. Przyrzekł mi zapewnić protekcję rządu francuskiego, przyznając, że co do przeszłości wina ciąży na nas obydwu zarówno... Słowem, zgoda zapanowała zupełna między obiema stronami walczącemi. Tylko bratu swemu, Pawłowi, nie mógł przebaczyć Toussaint odstępstwa i gdy tenże zabiegł mu drogę w głównej kwaterze, w stolicy, odrzucił sędziwy generał zdając, mówiąc, iż z kapitulacją należało mu się wstrzymać aż do chwili, gdy on pokój zawrze.

— Tyś winien był stosować się do moich postanowień — rzekł do brata Toussaint. — Odejdź! Życzę ci szczęścia wśród Francuzów!... Po załatwieniu koniecznych formalności opuścił czarny wódz stolicę, udając się do swej plantacji Sancey, położonej w dolinie Ennery, gdzie zajął się wyłącznie gospodarstwem, nie mieszając się pozornie do spraw politycznych. Inaczej wszakże zapatrywała się na zawarcie pokoju murzyńska ludność wyspy, która zawarty dopieroco traktat uważała jako przejściowe zawieszenie broni. Czekajmy do sierpnia — powtarzali sobie czarni na ucho — gdyż oto spieszy nam na pomoc straszliwy smok Syamu, dyszący śmiercią i zniszczeniem białych... Tym potworem była żółta febra, zwykły gość na Santo Domingo w porze letnich upałów, epidemia zabójcza dla nieoswojonych z klimatem podzwrotnikowym Europejczyków. Choroba ta, wedle opisu towarzyszącego ekspedycyi lekarza Gilberta, występowała zazwyczaj bez poprzednich zatrważających oznak. Często zabijała na miejscu, lecz niekiedy rozwijała się powolnie i chory konał wśród mąk okropnych. Znamionowały ją: gorączka, kurecze żołądkowe i silne wymioty. Dotknięty chorobą, czuł ogień krążący w żyłach, krew mu uderzała do głowy i zazwyczaj tracił przytomność, choć zdarzały się też wypadki, iż pacjent do chwili skonu zachowywał świadomość oraz mowę. W miarę rozwoju choroby, twarz chorego przybierała barwę żółto-brunatną, niebieskie plamy występowały na całym ciele, z ust cierpiącego toczyła się piana z krwią zapiekłą pomieszana. Śmierć następowała zwykle już trzeciego dnia, ale niekiedy chory pasował się z nią tydzień cały a wyjątkowo silne organizmy dopiero po jedenastu dniach ulegały epidemii, która w roku 1802 wyjątkowo wczesnie, bo już w maju pojawiła się na wyspie. Pierwsze jej objawy zauważano w Cap Français, przypisując je początkowo wyziewom z okolicznych bagien. Skoro jednak epidemia wystąpiła z równą siłą w Port-au-Prince tudzież w innych miejscowościach wyspy, odczuto dopiero rzeczywiste jej rozmiary. Ówczesna sztuka lekarska okazała się bezsilną

wobec straszliwej zarazy. Co jednemu pomagało, szkodziło drugim, a w dodatku brakło w szpitalach wojskowych lekarstw i lekarzy. Musiano więc poprzestać na ogłoszeniu zakazu kąpieli i spożywania owoców przez żołnierzy, co miało ich ustrzedz od epidemii a dla pielęgnowania chorych sprowadzono pewną ilość starych murzynek w drodze przymusowej rekwizycyi. Mimo to, wobec gwałtownego szerzenia się epidemii, chorzy marli w lazaretach dla braku opieki. W pierwszych zaraz tygodniach zmarło na żółtą febrę dziewięciu generałów i kilku wyższych urzędników administracyjnych. Oficerowie i żołnierze, wysłani na posterunki, padali na stanowiskach. Straszliwa demoralizacya ogarnęła całą armię. Smutny i zniechęcony żołnierz, choć jeszcze niedotknięty chorobą, przeczuwał, że ona go nie minie, że daleko od rodzinnej ziemi przyjdzie mu kości złożyć — opowiada w swym pamiętniku Lux. — Jedni oddawali się wyuzdanej swawoli i bezprawiom, drudzy gotowali się na śmierć. Subordynacya wszelka ustała. Szeregowiec równym był generałowi. Nikt już nie marzył o sławie i o wygranych bitwach. Przyjaźń zamilkła, zlodowaciało serce, nie słyszano już ani wojskiej piosenki, ani też szczęku oręża. Nawet odgłos dzwonu nie zwoływał już wiernych na modlitwę, ani godzinę śmierci zwiastował. Każdy podle się lękał, nikt nie śmiał westchnąć do Boga... Jeszcze w połowie czerwca ostrzegał Leclerc rząd republikańskiej, że w razie dłuższego trwania epidemii dalsze posiłki są konieczne, jeżeli kolonia nie ma być dla Francyi stracona. Równocześnie przeniósł generalny kapitan swą rezydencyę na wyspę la Tortue, której klimat miał być zdrowszy. Tam to jego małżonka wśród nieustannych zabaw, uczt i balów starała się zapomnieć o grożącym wszystkim niebezpieczeństwie. Huczna muzyka tłumiła jęki konających. Nie raz wśród balu wynoszono umierającego a tańce przerwane na chwilę rozpoczynano na nowo. Z powodu wielkiej śmiertelności zaniechano zwykłych ceremonij pogrzebowych, lecz z nastaniem nocy wyrzucano zwłoki z domów na ulicę, skąd

je kryty wóz, zwany *tambereau*, zabierał celem wywiezienia za miasto i pogrzebania we wspólnych dołach, przysypywanych niegaszonym wapnem.

Pacyfikacja wyspy postępowała na pozór bez oporu ze strony ludności murzyńskiej, która z nietajonym zadowoleniem spoglądała na spustoszenie, jakie zaraza sprawiała wśród białych. Już w kwietniu t. r. zawezwał Leclerc wszystkich mieszkańców do złożenia broni, grożąc karą śmierci tym, którzyby poważali się dostarczać amunicji powstańcom. Równocześnie zwołał do stolicy wyspy radę obywatelską celem załatwienia najważniejszych spraw administracyjnych, zaś w maju upomniał gwardyę narodową oraz kultywatorów, by powrócili do zwykłych zajęć rolnych, grożąc opornym srogimi karami. Pokojowe owe zarządzenie w dziwnej wszakże pozostawały sprzeczności z prowokacyjnym, drażniącym ambicję murzynów sposobem postępowania władz wojskowych na wyspie. I tak armię kolonialną podzielił Leclerc na drobne oddziały i rozrucił je po rozmaitych garnizonach a stopni oficerskich, nadawanych przez Toussainta, nie uznawał wcale, czem zniechęcił sobie wielu zasłużonych murzynów. Dawni gwardziści Toussainta zażądali uwolnienia od służby i jako robotnicy polni powrócili do dawnego pana. Gorzej jeszcze spisali się mulaci, oficerowie Rigauda, którzy po deportacji ich zwierzchnika do Francji, wręcz podnieśli bunt i połączyli się z bandami murzyńskimi, jakie mimo pościgu Francuzów zdołały się utrzymać w górach. W obec powstańców, schwytych z bronią w rękę, postępowano z całą bezwzględnością. Gdy egzekucje stryczkiem i kulą zbyt wiele zabierały czasu, topiono nieszczęsnych w workach, szczelnie zawiązanych albo też duszono siarką setki jeńców, zamkniętych w ciasnych przegrodach pod górnym pokładem starych okrętów. Ten ostatni sposób tracenia skazańców praktykował z szczególniejszym upodobaniem generał Rochambeau, zwiąc go żartobliwie kąpielą fumigacyjno-siarczaną... Odpowiedzialność za powtarzające się tu i ówdzie rozruchy czarnych, wywołane

okrucieństwem rządów wojskowych i wybrykami żołnierzy, pewnych bezkarności, składało otoczenie Leclerc'a na tajne podlegania Toussainta. Przejmowano jego korespondencję i z poszczególnych wyrażen kuto przeciw autorowi listów zarzuty zbrodni stanu. Że stary wódz nie sprzyjał w głębi duszy nowemu porządkowi rzeczy — to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, lecz również przypuścić trudno, by przebiegły murzyn używał w listach najbardziej nawet poufnych wyrażen, któreby go kompromitować mogły. Frazes »O Opatrzności, przychodzącej mu w pomoc«, użyty w liście do byłego adjutanta Fontaine'a, tłumaczono, wszakże w głównej kwaterze, jako odnoszący się do szpitala stołecznego, noszącego popularne miano, *la Providence*. Jako wręcz obciążające uznano również pytania Toussainta, umieszczone w listach do Fontaine'a, a dotyczące stanu zdrowia Leclerc'a, tudzież ilości jazd nocnych do Fossette, w któremto miejscu grzebano dotkniętych zarazą. Na podstawie tak niedostatecznych oskarżeń postanowił Leclerc usunąć z wyspy groźnego, choć milczącego nieprzyjaciela. Co prawda, do zguby Toussainta przyczynili się również dawni jego podwładni, Krzysztof, Clairvaux, Maurapas i Dessalines, którzy wybadywani przez generalnego kapitana o sposób myślenia generała, wydali mu jak najgorsze świadectwo w obawie, by w razie ponownego dojścia do władzy nie zechciał ich karać za odstęstwo. Charakterystyczną była rozmowa Leclerc'a z Dessalinem, którego, jako najzdolniejszego z murzyńskich generałów, szczególniej starał się pozyskać.

— Przedstawiłem pierwszemu konsulowi wierność i przychyłność twoją dla Francuzów — mówił Leclerc do swego gościa. — Oczekuję co chwila z niecierpliwością stosownego dla ciebie wynagrodzenia i miło mi będzie zadowolenie pierwszego konsula osobicie oznajmić.

— Znam dobrze mą nieudolność — odparł chytry murzyn. — My, czarni, służyć białym winniśmy. Żadnej innej nie żądam nagrody nad tę, ażebyś generale powróciwszy do Francyi, przyjął mnie do usług swoich jako stangreta...

Na drwiącej tej ironii nie poznał się niestety Leclerc i biorąc za dobrą monetę uniżoność murzyna, chętny dał posłuch jego oskarżeniom, wymierzonym przeciw Toussaintowi. Rozciągnął przeto nad nim jak najściślejszy dozór policyjny i zakwaterował w jego plantacji znaczny oddział wojska, które całym zachowaniem się i szkodami wyrządzanymi wręcz prowokowało Toussainta. Skargi generała, zanoszone do głównej kwatery, nie odnosiły żadnego skutku, a gdy doprowadzony do ostateczności starzec oświadczył, iż szukać będzie schronienia w swej posiadłości w głębi gór położonej, wydał Leclerc rozkaz aresztowania go. Polecenie to spełnił generał Brunet z wyrafinowaną brutalnością, zwabiwszy Toussainta do swego wiejskiego mieszkania. Przybyłego w towarzystwie dwóch oficerów rozbrojono przemocą i z założoną na szyję garotą odstawiono na pokład okrętu wojennego, gdzie też nazajutrz znalazła się pod strażą cała jego rodzina, pozbawiona nawet najpotrzebniejszej odzieży. Komendant statku, który niezwłocznie wyruszył ku brzegom Francji, obchodził się z więźniami bardzo surowo, nie pozwalając generałowi widzenia się z najbliższymi. W dniu dwunastym lipca, okręt wojenny «Heros» wiozący jeńców zawinął do Brest, z kąd Toussainta pod silnym konwojem żandarmeryi przewieziono do zamku Joux w górach Jura, dokąd też niebawem udał się generał Cafarelli z poleceniem wybadania więźnia. Długie indagacye nie odniosły wszakże żadnego skutku, zwłaszcza co do skarbów, jakie miał ukryć w niedostępnych górach. Na wszystkie pytania w tej mierze stawiane, odpowiadał Toussaint niezmiennie:

— Straciłem coś więcej, aniżeli skarby...

Osadzony w zimnej i wilgotnej celi, wraz z wiernym służką, Cezarem, otrzymywał więzień na pożywienie odrobinę kartofli i fasoli strączkowej, którą sam w rądelku warzyć musiał. Odziany w stare łachmany i w podarte obuwie żołnierskie, napróżno domagał się lepszej strawy i pomieszczenia, tudzież uwolnienia rodziny, deportowanej na Korsyce. W odpowiedzi na zanesione skargi pozbawiono go towarzystwa

sługi i podczas mroźnej zimy, jaka w roku 1803 panowała, pozostawiono przez cztery dni bez żadnego posiłku. Gdy piątego dnia szef batalionu Baille, nieludzki dozorca więźnia, kazał otworzyć jego kaźnię, zastano generała w siedzącej postawie przed kominem, z rękoma zwieszonymi wzdłuż kolan, z głową zwieszoną ku prawemu ramieniu. Na twarzy malował się ból przedśmiertny, zdradzający popełnioną na więźniu zbrodnię. Spełniono ją mrozem, stryczkiem lub trucizną, lecz Baille oświadczył, że śmierć nieszczęsnego nastąpiła z powodu apopleksy... Dzienniki współczesne podały dzień 27 kwietnia 1803 roku, jako datę zgonu czarnego wodza, którego zwłoki spoczęły na miejscowym cmentarzu. W roku 1898 między rządem rzeczypospolitej Haiotyjskiej a Francją toczyły się rokowania w sprawie wydania zwłok Toussainta, oraz przewiezienia ich do ojczyzny. Wybuch wojny hiszpańsko-amerykańskiej spowodował wszakże przerwę w tych układach.

Podobno na wygnaniu, na wyspie św. Heleny, Napoleon wśród skał Longwoodu widywać miał często prześladowające go widmo murzyna w generalskim mundurze i w białym na głowie zawoju, a powolne konanie wśród mąk okropnych przypominało często — jak świadczą zapiski przybocznego lekarza O'meary — byłemu władcy Francuzów zgon straszny Toussainta w zamku Joux zgotowany!

Toussaint na pokładzie »Herosa« wyrzekł do komendanta statku te pamiętne słowa... »Stracając mnie, powalono tylko pień drzewa wolności czarnych, lecz wolność wykwitnie dla nas z korzeni, te są bowiem głęboko wrosłe w ziemię i liczne!«

Słowa te nie były marną przechwałką, ani też wykrzykiem zbolełego serca, lecz najoczywistszą prawdą. W ciągu ostatniego dziesięciolecia czarna ludność wyspy przyżyła moralnie wiek cały i raz zakosztowawszy wolności, ostatnią krwi kroplą gotowa była ją okupić. Wiarołomne aresztowanie Toussainta tudzież wieści o przywróceniu niewolnictwa

w posiadłościach francuskich na Martynice i Gwadelupie, wywołały silne wzburzenie wśród czarnych na Santo Domingo. Już kwietniowe rozporządzenie Leclerc'a, domagające się wydania broni przez murzynów, dało powód do szemrań i podejrzewania rządu o złą wiarę i zaledwo trzecia część broni palnej, znajdująca się w posiadaniu krajowców, powróciła do magazynów francuskich. Muszkiet stał się dla czarnego symbolem wolności i dlatego niechętnie się z nim rozstawał. Wiele złej krwi sprawiła też europejska biurokracya, która gdyby szarańcza obsiadła całą wyspę, zajmując wszystkie intratniejsze posady. Leclerc wiele sobie obiecywał z jej działalnością. Tymczasem żółta febra nie oszczędzała urzędników cywilnych na równi z żołnierzami. Ginęli gdyby muchy. Epidemia w ciągu lata 1802 roku sprawiła okropne między białymi spustoszenie. W niektórych korpusach brakło zupełnie sztabowych oficerów, w innych znów bataliony stopniały do stanu kilku plutonów a reszta żołnierzy zalegała szpitale lub padła ofiarą zarazy. Z świetnego korpusu ekspedycyjnego już zaledwo siedm tysięcy ludzi zostało pod bronią. Nie dziw przeto, iż Leclerc kołatał w ministerstwie bez przerwy o posiłki. Otrzymywał je wprawdzie, lecz w niedostatecznej ilości i w jakości najgorszej, gdyż pierwszy konsul zatrzymując we Francyi wyborowe pułki, wysyłał za morze szumowiny armii, dezertorów, aresztantów, szpitalników, wyniszczonego szkorbutem lub parchami od stóp do głowy okrytych gardkotów. Leclerc w wściekłość wpadał na widok takiego żołnierza, wprost z okrętu wędrującego do lazaretu i uporcezywie domagał się by, go odwołano.

W końcu głuche wzburzenie umysłów, jakie od roku panowało na wyspie, przerodziło się w formalny rokosz. Już nie murzynskie bandy, bawiące się rabunkiem i umykające za pojawieniem się regularnego żołnierza, lecz całe oddziały wojsk kolonialnych, dobrze wyćwiczone i obyte z klimatem wyspy, wypowiadały Francuzom posłuszeństwo i uderzały na ich posterunki. Początek zrobił w tej mierze mulat

Karol Belair, który na wieść o aresztowaniu Toussainta uszedł w góry ze swą komendą i ogłosiwszy się wodzem naczelnym powstańców srodze dawał się we znaki rządowym wojskom. Pobity uchodził szybko i po jakimś czasie pojawiał się w okolicach, gdzie go się najmniej spodziewano, z świeżymi siłami. Dopiero Dessalines, osobisty wróg Belaira, zdołał pojmać zuchwałego partyzanta i wraz z żoną, dzielącą jego losy, odesłał go Leclercowi, który oboje kazał rozstrzelać w Cap Français, jako bandytów. Egzekucya ta nie wywarła zamierzonego skutku — powstanie szerzyło się w dalszym ciągu.

Z tem większą przeto radością powitał Leclerc wiadomość o przybyciu naszych legionistów, którzy — jak to już wspomniano — w dniu drugim września 1802 roku zawinęli do portu w Cap Français. Otoczony sztabem pospieszył wódz naczelnny na wybrzeże, by powitać przybyłych. Przykre rozczarowanie ogarnęło wszakże Leclerca, gdy miasto wypoczętego żołnierza ujrzał znużonych długą przeprawą i wygłodzonych ludzi, którzy zaopatrzeni w dwuniesięczną żywność z górą trzy miesiące przepędzili na morzu. Obdarcy i wynędzniali legioniści niezbyt dodatnie na wodzu sprawili wrażenie. Wartoż było — pisał Leclerc w dniu 11. t. m. do ministra wojny Decréesa — tych nieszczęśliwych, długimi bojami wycieńczonych wojowników z nad Wisły wsadzać na okręt i aż tutaj wysyłać dlatego tylko, by w zbuntowanych murzynach wzbudzić przekonanie, że Francya na wysłanie lepszych posiłków zdobyć się nie może i ostatecznie to mi tylko wysyła, co pod przymusem osobistym da się schwytać i wyprawić za morze...

Zanim jeszcze legionistów wysadzono na brzeg, już przeszło dwustu żołnierzy i oficerów zapadło na żółtą febrę. Odesłano ich do lazaretów, urządzonych na Żółtwej wyspie dla dotkniętych epidemią. Poszczególne bataliony legii wylądowały w rozmaitych punktach wyspy. I tak pierwszy batalion wysiadł na brzeg w Cap Français i przyłączony do dywizyi generała Clairvaux, złożonej w przeważnej części z murzynów

już w ośm godzin po wstąpieniu na wyspę wyruszył przeciw krążącym w okolicy powstańcom. Aliści po upływie tygodnia cała dywizja wraz generałem przeszła na stronę czarnych, co widząc legioniści schronili się do kościoła i zatarasowały wejście mężny opór stawili nieprzyjacielowi. I zanim jeszcze czarni zdążyli ściągnąć wszystkie swe siły celem uderzenia na oblężonych, dowodzący batalionem, kapitan Wodzyński, zdołał się wycofać ze swego stanowiska i straciwszy stu kilkudziesięciu ludzi w zabitych, w rannych oraz w jeńcach dotarł z powrotem do Cap Français, gdzie w warowni Jeantot znalazł chwilowy punkt oparcia. W ślad za legionistami zjawili się powstańcy, kusząc się o zdobycie fortu, lecz po uporczywej walce zmuszeni zostali do ustąpienia ze znacznymi stratami. W oswobodzonym Cap Français znaleźli nasi wiarusy pożądaną wytchnienie, podejmowani gościnnie przez białą ludność miasta. O szlachetności i o gościnności kreolów nader pochlebne daje świadectwo w swych wspomnieniach Kazimierz Lux, który z szczególniejszym entuzjazmem wyraża się o kreolkach.

— Podziwialiśmy w białych kreolkach tej wyspy — słowa pamiętnika — giętkość członków, zgrabność kibici, wdzięki podstawy, zalety ciała, z których Europejki byłyby dumne; zajmujące powaby skądnej twarzy, skromność oraz ten czar przenikających i czarujących wejrzeń. Gdy jeszcze ze stanowiska miłości bliźniego, którą się głównie odznaczają kreolki, przypatrzmy się tym nadzwyczajnym kobietom, musimy uczuć, pomyśleć i zawołać, że w ich piękne ciało wlał Bóg nierównie piękniejszą duszę. Czułe na głos nieszczęścia, skwapliwe w niesieniu pomocy i ratunku, czyste w miłości, żądają bezzwzględnej dla siebie wzajemności od ukochanych, bo są bardzo zazdrosne. Zdradzone, miejsce ognistej namiętności zajmuje rozpacz a czułość zamienia się u nich w odrętwiałość... Kreolki! Kto w Santo Domingo cnoty wasze mógł widzieć i oceniać, ten nie mógł nie zawołać, że nad złą ma przewagę dobra strona ludzkiej natury, ufać z całą wiarą, że zacho-

wuje was Opatrzność za narzędzie do odrodzenia owych Antylów i amerykańskich krajów, które kiedyś wyludniała fanatyczna, krwi i złota cheiwa wściekłość Hiszpanów! Niżej pod względem moralnym stawia nasz pamiętnikarz mulatki. Gdyby zaś zagadniono — pisze kapitan Lux — co to jest mulatka? odpowiedzielibyśmy: Jest to Wenus, trzymająca całą siłą zalotów swą zdobycz. Mogłoby się zdawać, że mulatka jest istotą jedynie dla rozkoszy stworzoną... W życiu kreolki nie masz okropniejszego udręczenia nad widok tryumfu nad sobą mulatki; jak w życiu znowu mulatki nie masz większego szczęścia jak odniesione nad kreolką zwycięstwo; kiedy z jej rąk przewagą swych powabów wyrwie kochanka lub męża i chwałą marną może się chlubić przed światem... Chcąc zrozumieć ów antagonizm, istniejący na Santo Domingo z początkiem tego wieku między kreolką a mulatką, nadmienić wypadnie, iż wprawdzie ustawa nie zabraniała na wyspie związków małżeńskich między białą i kolorową ludnością, ale silniejszy od niej przesąd towarzyski stał na przeszkodzie małżeństwom mieszanym. Biały, zaślubiający kobietę kolorową, tem samem wyłączał się z lepszego towarzystwa wyspiarzy i z tego powodu szukał on raczej w towarzystwie mulatek chwilowej przyjemności, choćby kosztem znacznej części fortuny. Półświatek na Santo Domingo rekrutował się przeważnie z kolorowych piękności a którykolwiek z legionistów nie zdołał uniknąć jego sideł, ten z pewnością nie miał już oglądać ojczyzny. Każda noc bezsenna, spędzona na zabawie lub hulance, podkopywała w dziwnie zdradziecki sposób zdrowie żołnierzy. Rozpusta lub nadużycie gorących napojów pociągały za sobą fatalne skutki. Niemniej musiano przestrzegać czystości ciała. Kąpiele rzeczne lub morskie nie szkodziły zdrowiu legionistów, zwłaszcza używane po zachodzie słońca. Trudniejsza sprawa była z mrówkami, których roje snuły się po ścianach domostw, niepodobne do wytępienia żadnym sposobem a niszczące każdy pokarm, do którego znalazły przystęp. I na nie wszakże znaleźli środek pomysłowi wiarusy. Zawiesiwszy

na gwoździach w ścianę wbitych chleb lub mięso, obwodzili je rysą z węgla na cal szeroką. Mrówki, spieszące na żer, nie mogły przekroczyć owej rysy, lecz odczepiały się od ściany wraz z pyłem węglowym i zlatywały na podłogę. Oczywiście rysę węglową musiano kilka razy w ciągu dnia odnawiać. Prócz podzwrotnikowych owoców, ryb morskich, raków i ostryg, za pożywienie służyły legionistom: pieczywo, wypiekane z mąki dowożonej z Europy, mięso baranie, drób, wreszcie wino z Bordeaux, ulepszone — jak twierdzono — przeprawą przez morze. Nie brakło im nawet artystycznych rozrywek, gdyż w główniejszych miastach wyspy dawały przedstawienia towarzystwa dramatyczne francuskie, lecz klimat niezdrowy dla synów północy i żółta febra znaczniejsze od kul murzyńskich szerzyły zniszczenie w szeregach legionistów. Po upływie pierwszego miesiąca z batalionu, załogującego w Cap Français a liczącego 984 ludzi, zaledwo dziesiąta część żołnierzy zdolną była do pełnienia służby w szeregach.

Nielepiej powodziło się drugiemu batalionowi, wysadzonemu na ląd w Mole St. Nicolas. Przydzielony do dywizji generała Clausel'a, wysłany został w odsiecz załodze francuskiej, obleganej przez murzynów w porcie Marmelade. Z bagnetem w rękę przerznęli się legioniści pod wodzą kapitana Grotowskiego przez linie oblężnicze i wprowadziwszy świeże zapasy żywności, odpierali gwałtowne ataki czarnych, wiedzione przez srogiego Syllę, murzyna pochodzącego z Kongo, który nikomu nie dawał pardonu. Wybawił oblężonych fortel Grotowskiego. Wyprawił on do Sylli jednego z pojmanyh murzynów z obietnicą, iż jeżeli oblegający cofną się o milę od warowni, wówczas załoga opuści ją, pozostawiając czarnym wszystkie zapasy w twierdzy nagromadzone. Złakomiwszy się na łatwą zdobycz, czarni oddalili się o godzinę drogi, z czego skorzystali Francuzi i zawezwawszy znaczniejsze siły na pomoc, odparli powstańców w góry. Powróciwszy do swej dywizji, zrozumieli rychło legioniści, że generałowie francuzcy uważają ich jako straceńców, wysyłając Polaków na pierwszy

ogień w najcięższych rozprawach. Niezadowolenie poczęło się szerzyć w szeregach polskich, nieprzywykłych do prowadzenia podjazdowej walki i uśmierzenia buntu za pomocą szubienic, całymi rządami okalających każde niemal miasteczko na wyspie. Równocześnie komendanci poszczególnych oddziałów poznawszy bitność naszego żołnierza, starali się o to, by im przydzielono legionistów, oddając słuszne pochwały ich waleczności. Tak więc Leclerc zgodził się na proponowany podział legionu i przeznaczył tysiąc ludzi do dywizji Bruneta a siedmuset pozostawił przy Clauselu. Szef batalionu, Bolesta, odkomenderowany do bezwzględnego Bruneta, wiele musiał znieść przykrości głównie z powodu intryg i denuncyacji, jakimi generała zasypywał żyd flamadzki, Noverres, komendant fortu Borgue. Oficer ten, wielce nieprzychylny Polakom, całą winę niepowodzenia podejmowanych przez Bruneta wypraw zwał na legionistów i doradzał nieustannie, by ich, jako niechętnych i nieudolnych podzielić na drobne oddziały i oddać pod komendę francuskich oficerów. Innego wszakże zdania był szef sztabu głównego, generał Dugua, który przekonawszy się, jak świetny materiał wojenny przedstawiają nasi wiarusy, ściągnął ich do Cap Français celem odpierania band powstańczych, które bezkarnie wałęsały się w pobliżu głównej kwatery. Ale klimat stołeczny szczególnie okazał się szkodliwym dla naszych legionistów. Żółta febra codziennie po kilkadziesiąt ofiar porywała; jej też uległ w połowie października generał Dugua. Przeniesiony następnie do Port-au-Prince, stopniał drugi batalion do liczby stu ludzi. Szef Bolesta, kapitanowie Osękowski i Rembowski zmarli w lazarecie epidemicznym.

Nie uszedł również zagłady trzeci batalion legionistów, który wysadzony na brzeg w Port-au-Prince pozostawał pod rozkazami generała Baudeta i ucierał się przez czas dłuższy z powstańcami w zachodniej części kraju. Zaraza wszakże srożąca się nie tylko w miastach, ale w innych miejscowościach wyspy, nie oszczędziła i tego także oddziału. Przeszło

trzystu ludzi ubyło z jego szeregów. Wojska rzeczywospolitej dziesiątkowane epidemią, cofały się na całej linii ku wybrzeżom, gdzie skoncentrowane, oczekiwać miały na przybycie świeżych posiłków z Europy. Powstanie rosło z każdą chwilą. Całe brygady armii kolonialnej wypowiadały posłuszeństwo Francuzom, zwłaszcza od chwili, gdy na czele ruchu stanął mulat Pétion, dotychczas komendant w Haut-du-Cap. On to dowiedziawszy się o zapadłem na tajnej radzie wojennej postanowieniu rozwiązania armii kolonialnej pociągnął za sobą pół brygadę i połączywszy się z oddziałem starszego Clervaux parł Francuzów aż pod samą stolicę wyspy. Leclerc, chcąc grozą stłumić hydrę buntu, kazał wytopić co do nogi całą półbrygadę murzyńską, która przypadkowo znalazła się w Cap Français, lecz czyn ten okrutny, miasto postrachu, wzbudził tem gorętsze pragnienie odwetu ze strony czarnych. Przeszli na ich stronę waleczny Krzysztof, okrzyknięty naczelnym wodzem powstania i dzielny Geffrard, ongi prawa ręka Rigauda. Leclerc, będący już tylko panem wybrzeża, na próżno starał się pozyskać ufność wyspiarzy, zapewniając solennie wolność byłym niewolnikom. Nikt nie przywiązywał wiary do jego proklamacyi, a liczne aresztowania i egzekucye wykonywane na czarnych, którzy jeszcze pozostawali w służbie francuskiej, dolewały tylko oliwy do ognia. Wówczas to stracony został wraz z całą rodziną generał Maurepas, który pierwszy w swoim czasie poddał się Francuzom, ale zarówno Pétion jak Dessalines, dwaj najgorętsi przeciwnicy rządu, uszli szczęśliwie z zasadzki na nich gotowanej. Dessalines jeszcze trwał pozornie po stronie wojsk rzeczywospolitej i w żelaznym rygorze utrzymywał swych podwładnych. Mimo to postępowanie jego wydawało się Leclerc'owi podejrzanem i polecił aresztować Dessalina. Wykonanie tej trudnej misyi dostało się w udziale majorowi Andrieux, który podstępem zamierzył dostać w swe ręce generała i w tym celu zaprosił go na obiad do pewnej plebanii. Dessalines przybył wprawdzie na schadzkę z nieliczną eskortą, lecz ostrzeżony po

drodze o grożącym mu niebezpieczeństwie, zdołał jeszcze w chwili krytycznej dopaść konia i ująć bez szwanku do swoich. Rozwinąwszy sztandar powstania, zdobył Dessalines na Francuzach Wróbla Grzebień, który ich tyle krwi kosztował i wyrznięwszy w pień białych podstąpił pod Verettes, zkąd Francuzi nie stawiając oporu cofnęli się do St. Marc. Komendantem tej miejscowości był generał Quentin; ten widząc, iż jeden batalion czarnych, przydzielony do jego oddziału, nosi się z zamiarem przejścia na stronę powstańców, kazał murzynom wystąpić bez broni na plac zboru a równocześnie dał polecenie przybyłym z Verettes legionistom, dowodzonym przez majora Wierzbickiego, by rozbrojonych wykłuli co do nogi. Ale Wierzbicki sprzeciwiał się stanowczo tej barbarzyńskiej egzekucyi.

— Zostaliśmy tutaj przysłani przez pierwszego konsula dla obrony Francyi — odpowiedział nasz major nieludzkemu zwierzchnikowi — ale nie dla wykonywania egzekucyj na bezbronych!

Quentin nie nalegał dłużej, jeno przyzwawszy batalion francuski, który miał pod ręką, kazał mu spełnić krwawe polecenie. Francuzi wykonali je bez wahania, czem podniecili jeszcze bardziej zawziętość czarnych, potęgując ich nienawiść wobec kraju macierzystego. Natomiast postępek Wierzbickiego przysporzył imieniowi polskiemu wielu przyjaciół wśród czarnych. Zaraz też Dessalines polecił swym żołnierzom, by podczas walki oszczędzali legionistów, mówiących — jak się wyraził — z kreolska po francusku a najwaleczniejszą brygadę swych wojsk, złożoną z murzynów afrykańskich, Kongosów, nazwał Polakami. — Dziwne zaiste miano nadane dwudziestej brygadzie i dziwna w tem myśl Dessalina — pisze jeden z historyografów tej walki — ale dzięki temu pomysłowi wielu Polaków następnie od rzezi ocalało, a już samem powzięciem tego zamiaru złożył Dessalines świadectwo szacunku i współczucia dla nieszczęśliwych wojowników z nad Wisły... Teraz dopiero wzięci do niewoli legioniści dowiadywali się od czar-

nych, iż Francuzi straszili ich Polakami, gdyby ludożercami, twierdząc, iż żywią się oni najchętniej mięsem ludzkim. Dlatego też murzyni obchodzili się zrazu z pojmanymi Polakami w sposób najbardziej okrutny, tracąc ich wśród okropnych męczarni... Tak zginął między innymi porucznik Madeyski, który wpadłszy w moc murzynów, wtłoczony został między dwie deski i żywcem wzdłuż ciała przepiłowany... Od pamiętnej rzezi czarnych w St. Marc usposobienie powstańców zmieniło się stanowczo na korzyść legionistów tak dalece, iż Paweł Louverture, który po uwięzieniu brata ponownie znalazł się wśród dowódców powstańczych, zgromadził jeńców polskich, pozostających u niego w niewoli i ofiarowywał im wolność, byle tylko zechcieli na stałe osiedlić się na wyspie. Mimo to, żaden z jeńców nie przyjął zaofiarowanej łaski i nie opuścił sztandarów, którym wierność poprzysiął. Wierność owa dla sprawy rzeczypospolitej na tem większe zasługiwała uznanie, że powstańcy z każdym dniem niemał świeże nad Francuzami odnosili przewagi.

Przodował między czarnymi zdolnościami strategicznymi i szaloną odwagą Dessalines, który teraz już nie krył szalonej nienawiści, żywionej ku białym i na poufne listy Quentina, odpowiadał z całą bezwzględnością:

— Podniosłem sztandar buntu, gdyż czas już pokazać Francuzom, że są pótworami, których na nieszczęście ludzkości za długo już ziemia dźwiga!

Ciągłe kłeski, choroba dziesiątkująca białych i brak należytego poparcia ze strony rządu centralnego, podkopały w końcu zahartowany trudami wojennymi organizm Leclerca, który już w drugiej połowie października t. r. zaniemógł obłożnie. Troskliwa opieka naczelnego lekarza wojskowego, Peyre'a, postawiła go zrazu na nogi, ale już po upływie tygodnia nieszczęśliwy wódz zachorował ponownie. Objawy żółtej febry wystąpiły u chorego tym razem z przerażającą gwałtownością i po czterdziestu ośmiu godzinach cierpień Leclerc zakończył życie w nocy z pierwszego na drugi listopada 1802 r. —

Tak skończył Leclerc — słowa pamiątnika Luxa — wódz nie wielkich zdolności, polityk nie znający serca ludzkiego. Nie odgadł charakteru murzynów, zjednać ich sobie nie potrafił. W czasie wojny obok największej czynności wahający się, nie mający własnego zdania, nadto niewolniczo podległy był woli pierwszego konsula, nadto ufał drugim a mało sobie!

Sąd to surowy, ale sprawiedliwy, zwłaszcza pod względem politycznej działalności generalnego kapitana, który bezwzględnością i srogością postępowania z czarnymi sam ich niejako popychał w objęcia buntu. Pod tym względem Leclerc był ślepym wykonawcą instrukcyi pierwszego konsula, który po latach przyszedł do przekonania, że ponowny podbój oreżny był błędem, oraz, że należało raczej pozostawić Santo Domingo w pośredniej od Francyi zależności a pod rządami Toussainta. Uznał Napoleon błąd popełniony zbyt późno — jako więzień na wyspie Świętej Heleny.

Leclerc umierając, zdał dowództwo naczelne generałowi Rochambeau i upraszał o najrychlejsze odesłanie żony swej Pauliny, wraz z nowonarodzonym dziećciem do Francyi. Życzeniu jego stało się zadość. Gdy młoda wdowa wraz z zwłokami męża przybyła do Marsylii, na widok siostry pierwszego konsula, postępującej za trumną w grubej żałobie i z małym dziećciem na ręku, całe miasto okryło się kirem. Z niemiejszą okazałością, odbył się pogrzeb Leclerca w Paryżu, a w rok niespełna później piękna Paulina zaślubiła księcia Borghese...

Zanim przebywający w Port-au-Prince generał Rochambeau przybył do Cap Français celem objęcia naczelnego dowództwa, starał się prefekt wyspy, Daure, zaprowadzić ład w administracyi wyspy, grożącej zupełnem bankructwem. Skarb kolonii świecił pustkami, żołd dla wojska zalegał od sześciu miesięcy, gdyż rzeczpospolita miasto gotowizny, przyselała na pokrycie bieżących wydatków weksle, które dopiero w drodze przymusowej mogły być w obieg puszczane. W stolicy wyspy dawał się odczuwać brak żywności. Powstańcy

przecięli wszystkie komunikacje na lądzie, a uzbroiwszy okręty kupieckie w sporządzane na miejscu armaty, zagrażali nawet flocie rządowej. W skutek tego musiano usunąć wszystkich chorych bez różnicy stopnia i broni na wyspę Żółtą i z największym wysiłkiem zdołano w końcu tyle zebrać pieniędzy, by odpływającej do Europy wdowie po generalnym kapitanie zapłacić żołąd zaległy po jej mężu.

W końcu przybył do Cap Français generał dywizyi Rochambeau, któremu, jako najstarszemu rangą, zdał umierający Leclerc komendę. Rochambeau, był to okrutnik i rozpustnik w całym tych pojęć znaczeniu. W ogniu odważny aż do zapamiętałości, nie posiadał prócz brawury zgoła żadnych przymiotów, odpowiednich dla wielkorządcy oraz dla naczelnego wodza. Opowiadano sobie, iż pierwszy konsul zanim potwierdził generała w godności naczelnego wodza, miał zawezwać do siebie jego ojca, towarzysza i przyjaciela Waszyngtona, by mu o synu wyraził własne zdanie. Zapytany oświadczył, iż kto był złym synem, złym mężem i ojcem, temu nie należy powierzać tak odpowiedzialnego stanowiska, gdyż bez cnót rodzinnych niepodobna posiadać publicznych... Mimo to Bonaparte zatwierdził generała Rochambeau w jego nowej godności, spodziewając się zapewne, że swą bezwzględnością poskromi on w krótkim czasie czarnych buntowników. Jakoż ów dygnitarz usprawiedliwił pod tym względem pokładane w nim zaufanie, gdyż z miejsca pozbył się wszystkich więźniów stanu, trzymany na okrętach z rozkazu jego poprzednika. Kazał ich zaszyć w worki i potopić w morzu a gdy rząd rzeczypospolitej wzbronił mu tej barbarzyńskiej egzekucyi, deportował do Francyi bez sądu i wyroku każdego murzyna lub mulata, którego zdołał pojmać. W ten sposób galery na Elbie i Korsyceapełniły się w ciągu krótkiego czasu skazańcami, wśród których nie brakło też osobistości, wybitniejszą w kolonii odgrywających rolę. Pociągany do odpowiedzialności, tłumaczył Rochambeau swe okrucieństwo chęcią pomśzczenia śmierci licznych generałów

francuskich. którzy na wyspie zgon znaleźli. — Między poległymi wymieniał też Jabłonowskiego, nazywając go walecznym, polskim generałem, który niezaprzeczenie znaczne oddał Francyci zasługi... Do walki z murzynami zamierzył użyć Rochambeau psów, sprowadzonych z Kuby, a wprawionych do tropienia zbiegłych niewolników murzyńskich. Psy te nieco większe od zwykłych kundlów, zwęszywszy uciekającego, osadzały go na miejscu, a w razie oporu, żywcem rozdzierały swą ofiarę. Przed wyruszeniem w pole, zapragnął generał doświadczyć dzielności swej psiarni i w dziedzińcu pałacu rządowego, otoczonym wysokim murem, kazał urządzić z nią próbę. W tym celu wybrano między jeńcami najsilniejszego murzyna i puszczono na niego psy, które w mgnieniu oka rozszarpały nieszczęsnego. Ohydnemu temu widowisku przyglądał się z najzimniejszą krwią Rochambeau w otoczeniu sztabu, poczem zabrawszy psie sfory, uderzył na powstańców, broniących pozycyi pod Grave. Czarni stawili dzielny opór. Podeszawszy do Rochambeau poszczuć przeciwnika psami. Ale skutek nie dopisał. Psy, poczuwszy krew, miasto skoczyć na murzynów, rzuciły się na rannych Francuzów i zagryzły na śmierć porzuconego na polu bitwy dobosza, zanim zdołano pospieszyć mu z pomocą. Po tak niefortunnym doświadczeniu przestano psów używać do walki. Starcie pod Grave zakończyło się przegraną Francuzów, czem ośmieleni czarni, opanowali Leogane, wyciąwszy w pień tamtejszą załogę, w liczbie której znalazło się też kilkudziesięciu legionistów. Mimo tej porażki pozycja Rochambeau była znacznie pomyślniejsza, aniżeli jego poprzednika. Epidemia żółtej febry gasła stopniowo z nadejściem jesieni, a nadto otrzymał on w połowie listopada t. r. świeże posiłki, z wybornego złożone wojska. Sukurs ten, w sile sześciu tysięcy żołnierza, chwilowo ożywił słabnące męstwo wojsk republikańskich. Przystąpili znów Francuzi do zaczepnego działania. Odebrano murzynom górską warownię Bombarde, tudzież fort Delfina w pobliżu Port de Paix. Natomiast powstańcy, odparci od Port-au-Prince,

opanowali silne fortyfikacje: Bineau, oraz Ca-ira, a załogę ich wyrznęli co do nogi. I tym razem ofiarą rzezi padło stu dwudziestu legionistów wraz oficerami: Krzyckim, Lambalem, Sadowskim i Wodzinowskim. W kilka tygodni później znów stu legionistów dało gardło podczas rzezi, sprawionej przez czarnych w lazaretach na Żółwiej wyspie, a w połowie stycznia 1802 r. generał murzyński Geffrard opanował Anse-a-Veaux, gdzie garstka legionistów, opuszczona przez Francuzów zmuszoną została do złożenia broni. Geffrard, usłyszawszy naszych wołających o pardon, nie pozwolił ich tknąć wśród ogólnej rzezi i odesłał ich do dyspozycji Dessalina, przebywającego w Michel. Po raz to pierwszy Dessalines spotkał się oko w oko z legionistami i wysłuchawszy komendanta ich porucznika Kowalskiego, odesłał jeńców w głąb Czarnych Gór, gdzie aż do końca kampanii przebywali. Był to pierwszy i ostatni wypadek, w którym wódz powstańczy powodował się wspaniałomyślnością wobec zwyciężonego przeciwnika.

Mimoto legioniści dzielnie stawali wobec rozzuchwalonych rosnącym powrotem murzynów i w połowie marca t. r. dobrze się zasłużyli armii republikańskiej, osłaniając pod Tiburon odwrót pobitego przez czarnych generała Sarina. Za ten czyn waleczny kapitan drugiego batalionu legionistów, Konstanty Fighetti, otrzymał od rządu rzeczypospolitej szablę honorową. Powstanie rosło mimo represyi i wzmożenia siły armii rządowej. Drażniące i nietaktowne postępowanie naczelnego wodza świeżych buntowi jednało prozelitów w postaci mulatów, którzy z usposobienia niechętni czarnym, łatwi byli do pozyskania dla Francuzów. Ale Rochambeau oraz jego podkomendni dokładali wszelkich starań, by zniechęcić tych nawet kolorowych, których Leclerc w armii lub w służbie cywilnej umieścić. Wykwitem brutalności generalnego kapitana był wyprawiony przez niego w marcu 1803 roku w Port-au-Prince bal, słusznie w pamiętnikach Boisrons-Tonnere'a nazwany pogrzebowym, (*bal de funérailles*). Udział w zabawie brały także rodziny znakomitszych mulatów w tem

mieście zamieszkałych i gdy tańczono w najlepsze, nagle uniosła się w górę draperya, dzieląca salę balową od sąsiedniej komnaty. Niespodziewany widok przedstawił się rozochocionym gościom: W komnacie, wybitej kirem i ozdobionej kilkoma rzędami trupich czaszek, rozwieszonymi po ścianach, widniał szereg próżnych trumien, nad którymi zakapturzeni śpiewacy zawodzili *de profundis*...

— Moje piękne panie — ozwał się z teatralną emfazą Rochambeau do strwożonych mulatek — jesteście na przyszłym pogrzebie waszych mężów i braci!...

Nie poprzestawał wszakże gubernator na tak fanastycznych efektach, ale pobił bezgranicznie swym podwładnym, znęcającym się na każdym kroku nad mulatami. Najlżejszy pozór wystarczał do więzienia kolorowych pod zarzutem sprzyjania powstaniu. Od więźniów wymuszano wszelkimi sposobami grosz ostatni a następnie sprowadzonych na okręty, pod pozorem przewiezienia do Cap Français, topiono w morzu. Głośnym na całej wyspie był wypadek, gdy w Jerémie generał d'Arbois aresztował bogatego mulata, Bardeta i wyzuwszy go z mienia, utopić kazał w morzu, jako przestępcę stanu. Zdziercy uszła bezkarnie popełniona pod płaszczykiem sprawiedliwości zbrodnia, czem zachęcony komendant w Cayes uwięził kilkudziesięciu mulatów, należących do miejscowej żandamery i nie odwołując się do wyższej władzy, kazał więźniów potopić... Teraz już najbardziej lojalnym, kolorowym, brakło cierpliwości. Mulaci powstali tłumnie i pod wodzą zamożnego plantatora Ferrou połączyli się z czarnymi, by uderzyć na Cayes. Przybycie generała Rochambeau, który na czele dwóch tysięcy wyborowego wojska pojawił się w zagrożonej okolicy, zażegnało na razie niebezpieczeństwo ale nie przeszkodziło dalszemu szerzeniu się powstania... W takim stanie rzeczy przybycie świeżych posiłków na wyspę było wielce pożądane. Z wiosną 1803 r. powitało Santo Domingo okręty francuskie, wiozące drugi transport legionistów polskich, czyli tak zwaną brygadę setną czternastą. Stwo-

rzony przez Dąbrowskiego na ziemi włoskiej legiony pozostały po wyprawieniu legii naddunajskiej za morze w służbie rzeczywospolitej cisalpińskiej. Rząd tamtejszy okazywał dla legionistów wiele przychylności, więc też gdyby grom z jasnego spadł na wiarusów, załogujących w Reggio, wydany przez pierwszego konsula rozkaz gotowania się do wymarszu o którym to rozporządzeniu rząd cisalpiński wcale nie został uprzedzony. W trzy dni później legionieści gotowi byli do pochodu a równocześnie przysłany z ramienia Murata generał Ottavio odbył przegląd legionistów. Pod bronią stanęło trzydziestu siedmiu oficerów i 2.750 podoficerów, tudzież szeregowców. Już podczas owego przeglądu rozeszła się wiadomość o ich przeznaczeniu na Santo Domingo, a zarazem uprzedzono ich, iż wódz naczelny odbędzie w dniu dziesiątym grudnia t. r. w Parmie ponowny popis korpusu. W paradnym orydku weszli legionieści w dniu oznaczonym do tego miasta, lecz Murat, uprzedzony o możliwości rokoshu wśród naszego żołnierza, uznał za stosowne opuścić już przed tem Parmę i zostawił jednego ze swych adjutantów, celem oznajmienia przybyłym rozporządzenia pierwszego konsula. Ledwo więc legionieści stanęli na placu broni, gdy zjawił się wysłannik naczelnego wodza i otoczony wywołanymi z szeregu oficerami, odczytał im rozporządzenie następującej treści: »Pierwszy konsul nagradzając zasługi i waleczne czyny drugiej półbrygady włoskiej — taką była urzędowa legionu począwszy od grudnia 1801 roku — wciela ją do armii republikańskiej, nadając jej numer setny czternasty, a chcąc ją do dalszych, podobnych czynów zachęcić, przeznacza ją na Santo Domingo, gdzie zawsze wyborowe pułki w nagrodę wysyłane bywały. Skoro tylko brygada setna czternasta stanie na miejscu swego przeznaczenia, oficerowie żołnierze i otrzymają naturalizację francuską z używalnością wszystkich praw i przywilejów obywateli rzeczywospolitej«.

— Niech żyje Francya! Niech żyje pierwszy konsul! —  
odkrzyknęli legionieści i w tej chwili puste ulice miasta zaroily

się tłumem mieszkańców. W oknach i na balkonach zasiadły strojne panie, witające radośnie powiewaniem chustek i okrzykami podążające do koszar wojska. Teraz dopiero okazało się, że ludność Parmy, zaniepokojona pogłoskami o rokoszu legionistów, zamknęła się podczas ich wejścia do miasta w swych domostwach i dopiero później, przekonawszy się o spokojnej postawie wojska, wyruszyła tłumnie na jego przyjęcie. Nazajutrz już opuścili Polacy miasto. Aliście przyłączył się do nich francuski pułk strzelców konnych, który otwierając i zamykając pochód, tworzył tem samem eskortę legionistów. Postępek ten Murata dotknął wszystkich do żywego, będąc oznaką niedowierzania, na które nasz żołnierz żadną miarą nie zasłużył. Smutne święta Bożego Narodzenia przepełnili legioniści w Novi, gdzie zatrzymano ich tak długo, dopóki w porcie geneueńskim nie ukończono przygotowań do przeprawy. Berthier, jako minister wojny, naglił o jak najszybsze wysłanie Polaków. Szyto dla nich dniem i nocą drelichowe mundury i kolorowe koszule, do której to roboty, prócz więźniów, zazwyczaj szyjących mundury, zarekwirowano cywilnych krawców. »Wszystko się szybko robiło — opowiada w swym pamiętniczku czcigodny Kazimierz Małachowski. — W sam dzień Nowego Roku 1803 weszliśmy do Genuy, odbywając marsze najporządniej i z pewnym rodzajem zapału, chociaż przywidywaliśmy nasz koniec tak z niektórych korespondencyj od naszych, wprzód tam wysłanych, jako i z dzieł opisujących najgorszy tej wyspy klimat i jej zabójczą, żółtą febrę. Obojętność na widoczną naszą zagładę pochodziła ztąd żeśmy zupełnie stracili nadzieję i wszystko nam jedno było, czy stracić życie we Włoszech, czy gdzie indziej«.

Mimo tak smutnych widoków na przyszłość, najżywsza solidarność łączyła wiarusów w jedną wielką rodzinę. Nie tylko nikt z oficerów, lecz żaden z podoficerów ani też z szeregowców-legionistów, nie chciał pozostać we Francyi, postanowiwszy dzielić z bracią dobre i złe losy. Nawet chorzy i ranni opuszczali lazarety i zgłaszali się do czynnej służby,

oświadczając gotowość do udania się na Santo Domingo. Dowództwo półbrygady objął najstarszy rangą szef batalionu Zagórski, lecz niebawem oddał je przysłanemu umyślnie do Genuy generałowi brygady Spitalowi. W połowie stycznia t. r. zawinęła do genueńskiego portu eskadra kontradmirała Bedouta, złożona z pięciu okrętów i zaraz też poczęła się przygotowywać do dalekiej podróży, jaka ją czekała. Zwożono więc nieustannie na owe statki zapasy żywności, słodkiej wody oraz paki z bronią i z mundurami legionistów, którzy przybrani na drogę w kaftany z szarego płótna, po części pracowali nad załadowaniem okrętów lub też sposobili się do pełnienia służby majtków, gdyż dla zyskania większej ilości miejsca uszczuplono dotychczasową załogę statków. W nocy z trzeciego na czwarty lutego weszli na pokłady okrętów legionieści, wiedzeni przez Jasińskiego, Małachowskiego, Tyssona i Zagórskiego. Komendant brygady, generał Spital, zajął miejsce na admirałskim statku »Argonaucie« i nazajutrz, o godzinie czwartej po południu eskadra opuściła port. Tysiące ludu, zgromadzonego w przystani, były świadkami, jak Polacy opuszczali ziemię, którą mała ich tylko liczba ponownie oglądać miała.

Zaledwo eskadra wypłynęła na pełne morze, gdy uporczywa, przez pięć dni z rzędu szalejąca burza rozprószyła ją w przeróżne strony, tak, iż wiozący pierwszy batalion legionistów okręt »Fougeux«, posiadający największą chyżość, zawinął do portu w Cap Français już z początkiem marca, podczas gdy reszta statków przybyła tamże w trzy tygodnie później. Stolica wyspy, zniszczona częstymi pożarami, smutne sprawiała wrażenie na legionistach, na których powitanie wypłynął kapitan Przebendowski, pełniący obowiązki adjutanta przy naczelnym wodzu. Małachowski, jako szef batalionu, zaproszony przez generała Rochambeau na obiad i zapytany, jak uważa teren wyspy? — odpowiedział, iż wydaje mu się dość górzystym.

— Znam ja was z Włoch — rzekł na to Rochambeau —

lud wasz jest za ciężki do działania w górach. Dla tego poszłem was na równiny, do części południowej wyspy, bynajmniej nie zniszczonej, gdzie powinno wam być dobrze!

Jakoż batalion dnia następnego otrzymał rozkaz wyłączenia pod Cap-Tibouron i oddany pod komendę generała d'Arbois wziął udział w wyprawie jego na Cayes. Zrazu ekspedycja zapowiadała się pomyślnie. Legioniści z łatwością zdobyli bronioną przez czarnych warowną pozycję Cavarahanac i zaraz następnej nocy zapuścili się w góry, spiętrzone amfiteatralnie nad doliną Aux Anglais. Aliście z pierwszym brzaskiem dnia zatrzymani zostali nasi w dalszym pochodzie przez liczne oddziały murzyńskie, które obsadziwszy wykuta w skałach drogę, zabezpieczyły się licznymi rowami oraz parapetami, zaś wznoszące się na szczycie góry trzy reduty powstańcze zasypywały atakujących gradem pocisków. Legioniści usiłowali sobie bagnetem utorować drogę, lecz po stracie kilku dzielnych oficerów, w liczbie których znaleźli się kapitan Mesonge, adjutant-major Królikiewicz i podporucznik Wajgel, musieli się rzucić w okoliczne lasy, zamierzając obejść stanowiska nieprzyjacielskie. I ten zamiar nie powiódł się legionistom, gdyż liany rozbijały wśród dziewiczych lasów, tudzież olbrzymie rozpadliny, powstałe skutkiem wstrząśnień wulkanicznych, czyniły niemożliwym dalszy pochód. Nakazano więc odwrót, który odbywał się we wzorowym porządku, gdyby na mustrze. Murzyni nie ważyli się ścigać ustępujących, krocząc za nimi w przyzwoitej odległości wśród przeraźliwego wycia. Legioniści, pozostawieni w opuszczonej warowni Cavarahanac, przebyli w niej dwie doby, nie otrzymując żadnej żywności, ani też rozkazów. Szczęściem, zabłąkana wśród lasów nierogacizna zastąpiła wiarusom racye, wydzielane żołnierzom. Dopiero po dwóch dniach przypomniał sobie d'Arbois o pozostawionym na straconym posterunku batalionie a myśląc, że go już czarni osaczyli, wysłał naszym w pomoc kompanię grenadyerów. Przybywająca odsiecz z największą trwogą zbliżała się do warowni i dopiero wywieszony

na wałach sztandar trójkolorowy ośmielił ostrożnych Francuzów do wychylenia się z okalających ów fort lasów. Bez szwanku powrócili legionieści do Tiburon, z kąd morzem odesłano ich do Cayes. W czasie tej przeprawy zmarł nagle podporucznik Bergonzoni, który sam przybył do Małachowskieao ze służbowym raportem, donosząc mu, iż umiera... Napróżno, zdziwiony tak niezwykle doniesieniem, szef starał się uspokoić młodszego kolegę prośbą, by się szanował a żyć będzie. Bergonzoni nie wyrzekł już ani słowa i wyszedłszy z kajuty, padł za progiem martwy. W kilka godzin później zwłoki młodzieńca, włożone w wór, obciążony przywiązaną do niego kulą działową, spuszczone na wieczny odpoczynek w toń Oceanu. Za przybyciem do Cayes biała ludność miasta witała radośnie legionistów, jako spodziewanych obrońców przeciw częstym napadom murzyńskim, trapiącym ową miejscowość. Komendant tamtejszy, murzyn Laplume, szczerze służył Francuzom i korzystając z przybycia Polaków, codziennie niemal urządzał wycieczki przeciw oddziałom powstańczym, krążącym po okolicy. Stawał on zazwyczaj na czele kolumny, przybrany w paradny, generalski, uniform. To też kula go nie minęła. Zmarł później w Kadyksie skutkiem postrzału w piersi, z której nie zdołano pocisku wydobyć. Zaczepne działanie Laplume'a rozbudziło ducha wojowniczego wśród mieszkańców Cayes. Rzucili się do fortyfikowania miasta. Wznoszono zrazu w miejscach przystępniejszych szańczyki z przysypanych ziemią beczek oraz z wypróznionych pak kupieckich, lecz później wzięto się do prawidłowego wzmocnienia warowni miejskich. Sypano wały, kopano rowy, wznoszono baterye, na które zaciągnięto pięćdziesiąt armat. Roboty fortyfikacyjne, oraz żmudna służba garnizonowa w mieście, narażonem każdej chwili na atak powstańców, przyczyniły się niepomiernie do wzrostu śmiertelności wśród naszych żołnierzy. Legionieści padali gęsto ofiarą żółtej febry i nierzadko zdarzały się wypadki, iż sierżant rozprowadzający warty, zastawał poprzedniego sztyd-wacha martwym.

Pierwszy batalion oddawna był już w ogniu, gdy w ostatnich dniach marca eskadra Boudeta, wioząca dalsze dwa bataliony legionistów, pojawiła się pod Cap Français. I te oddziały skierowano do Tibouron, gdzie zaraz dnia następnego po wylądowaniu padli ofiarą epidemii komendant pół brygady, generał Spital, kapitan Petrykowski i znaczna ilość żołnierzy. Co rychlej przeto wyprawiono legionistów przeciw powstańcom, usadowionym w górach nad doliną Aux Anglais, lecz ponowna ta ekspedycja, mimo kilkakrotnie ponawianych ataków, nie była pomyślniejszą od podjętej poprzednio przez generała d'Arbois wyprawy. Legioniści powrócili z niczem do Tibouron, z kąd drugi batalion z podpułkownikiem Jasińskim wysłany został do Jérémie, podczas gdy Zagórskiego wraz z batalionem trzecim przewieziono morzem do Cayes. Niefortunny wynik ekspedycji, przypisywawu niesłusznie legionistom, przyspieszył prawdopodobnie zgon Zagórskiego, który pierwszej zaraz nocy po przybyciu do Cayes życie zakończył i pochowany został z honorami należnymi jego randze. Pozostała po nim wdowa, włoszka z pochodzenia, kobieta niezwykłej urody, odziedziczywszy po zmarłym znaczny majątek, jaki w kraju posiadał, pocieszyła się rychło w gronie wesołych sztabowców, rezydujących w stolicy wyspy. Smutnym też był koniec szefa Jasińskiego, który wystrzałem z pistoletu sobie życie odebrał. Tymczasem legioniści, zamknięci w Cayes, nie ustawali w dawaniu dzielnego oporu powstańcom i celem szachowania baterij murzyńskich, umieszczonych na pobliskich górach, wzniesli przed miastem warowny fort, zwany »Camp Bourdet« od imienia właściciela plantacji, na której gruncie się znajdował.

Zerwanie traktatu w Amiens zawartego przyspieszyło ostateczny pogrom Francuzów. Już w kwietniu 1803 roku ostrzegł rząd centralny generała Rochambeau przed Anglikami, których okręty poczęły krążyć dokoła wyspy. W odpowiedzi minister wojny wzywał generalnego kapitana do energicznej obrony, przyrzekał mu świeże posiłki, choć o ich

wyprawieniu za morze nikt nie myślał. W końcu Rochambeau, łudzący do tej pory ministerstwo doniesieniami o pomyslnym przebiegu kampanii, zdecydował się na wyznaczenie nagiej prawdy. W ostatnich dniach maja odpłynął do Francji szef sztabu głównego, Boyer, z relacją, przedstawiającą rozpaczliwy stan rzeczy na Santo-Domingo. — »Tutaj potrzebowaliśmy naraz co najmniej dwudziestu pięciu tysięcy wojska — czytano w owym doniesieniu — a jeszcze rezultat pozostałby wątpliwym. Lepiejby już było użyć tej siły na organizację nowych osad na Madagaskarze lub w Luizyanie. Anglicy na Santo-Domingo nigdy nas nie pozostawią w spokoju i ta perła Antylów zawsze im będzie solą w oku. Obecne nasze położenie jest gorsze nad wszelki wyraz. Liczba buntowników jawnych i skrytych dochodzi już do stu tysięcy głów i wzrasta ciągle w zadziwiający sposób. Należałoby więc co rychlej zwrócić uwagę pierwszego konsula, iż w takiej sytuacji rozsądek zaleca przeprowadzenie rychłe jakiegokolwiek ugody z powstańcami, by następnie wspólnie z nimi uderzyć na Anglików, albo też usadowiwszy się na Jamaice wyczekiwać dalszych wypadków«... Gdy wojskowość uznała za stosowne przyznać się do porażki, nie tał też smutnego położenia w swem sprawozdaniu prefekt wyspy, Daure, który zaznaczywszy ciągłe szerzenie się żółtej febry, oraz brak odpowiednich urządzeń sanitarnych, skarżył się w obec centralnego rządu na paraliżowanie rozporządzeń administracyjnych przez władze wojskowe i piętnując generała Rochambeau mianem człowieka bez charakteru oraz bez zdolności, upraszał o odwołanie go z wyspy. Oba te sprawozdania wpadły w ręce marynarzy angielskich, którzy pojмали Boyera w oddaleniu kilkunastu mil od brzegu. Boyer, internowany w Plymouth, słusznie biadał, iż po zabraniu jego papierów przez Anglików, Santo-Domingo przepadło dla Francji bezpowrotnie!

Na razie nic się na wyspie nie zmieniło. W rozmaitych punktach walczone z nieubłaganą zawziętością. W maju t. r. położona pod Tibouron pozycya warowna powstańców, zwana

Karatas, stała się widownią krwawego boju, którego wynik pozostał wprawdzie nierozstrzygnięty, lecz w ataku na murzyńskie baterie poległ dowódca setnej trzynastej brygady, generał Bernard. Teraz już nic nie stało na przeszkodzie formalnemu rozwiązaniu tego oddziału. Rochambeau, który lubował się w zwijaniu oddzielnych korpusów i w tworzeniu z nich nowych oddziałów, czem niemałe wywoływał zamieszanie, zamierzał setną trzynastą pół brygadę wcielić do jednej z półbrygad francuskich, to znów chciał ją połączyć z półbrygadą setną czternastą pod komendą Małachowskiego, zamianowanego równocześnie pułkownikiem. Oba te zarządzenia pozostały wszakże na papierze, wobec rozrzucenia legionistów na całym obszarze wyspy. Toż samo mianowania Małachowskiego nie uznał rząd francuski po upadku kolonii. Za przykładem zamożniejszych wospiarzy, którzy unosząc ruchome mienie, szukali przytułku na Kubie, poczęli i nasi oficerowie zwłaszcza nadliczbowi, podawać się do dymisji, oraz o pozwolenie na powrót do Francji. Ponieważ wielu oficerów w przeredzonych walką oraz epidemią batalionach pozostawało bez komendy, przeto wydawano im zrazu pasporthy bez żadnej trudności. Skoro jednak liczba podań o dymisję coraz to bardziej wzrastała, zabronił Rochambeau wojskowym wyjazdu z wyjątkiem okaleczonych a skutkiem tego niezdolnych do czynnej służby.

Na domiar złego i w łonie samejże armii okupacyjnej poczęła się karność rozprzegać. Podwładni generałowie obwiniali wręcz naczelnego wodza o nieudolność, której jaskrawym dowodem było opuszczenie przez tegoż stolicy wyspy i przeniesienie głównej kwatery do Port-au-Prince, skutkiem czego powstanie rozwieliło się szybko w zachodnio-północnej części wyspy. Widząc to powrócił Rochambeau do Cap Français, ale nie zdołał już zapobiedz fatalnym następstwom popełnionego błędu. Od strony lądu został zupełnie odcięty przez powstańców. To też, gdy w dniu 31 maja oznajmiono generałowi pojawienie się okrętu, który zmierzał do stołecznego portu, klasnął Rochambeau w dłonie i zawołał:

— Przybywa nareszcie flota, aby nas z tego murzyńskiego piekła wyzwolić!

Ale radość Francuzów trwała krótko. Skoro bowiem okręt zbliżył się do lądu, poznano w nim angielską korwetę »Surinam« wiozącą broń oraz amunicję dla powstańców, a w ślad za nią nadpłynęła potężna flota pod flagą Wielkiej Brytanii. Na razie skończyło się na krótkiej demonstracji poczem okręty angielskie odpłynęły ku Jamajce, lecz już sama groźba blokady spotęgowała zuchwałość powstańczych wodzów, których weale nie przerażał ogłoszony przez generalnego kapitana stan oblężenia na wyspie. Dessalines niszczył plantacje, puszczał z dymem całe osady i wyrzynał białych bez litości dla ubłagania — jak się wyrażał — pomocy Bożej. W otwartym polu nikt nie ważył się stawić mu oporu, a na zamkniętych w nadbrzeżnych warowniach Francuzów straszliwa padła trwoga, gdy w pierwszych dniach lipca pod Cap Français i pod Cayes przybyły krążowniki angielskie, zamykające wszelką komunikację od strony morza. Wprawdzie Rochambeau zapewniał żołnierzy, że poczynił stosowne zarządzenia, aby zabezpieczyć im dostateczną żywność, ale wojsko przyjmowało obojętnie zapewnienia naczelnego wodza wobec widma głodu, jakie już w najbliższej przyszłości nawiedził francuskie garnizony. Ponieważ o założeniu magazynów prowiantowych nikt przedtem nie pomyślał, przeto ratowano się zapasami żywności, zabieranej od mieszkańców, nie przepuszczając przytem mułom, osłom, psom, kotom i szczirom... Stan śmiertelności wzrastał, choroby szerzyły się epidemicznie pod wpływem upałów i niedostatecznego pożywienia żołnierzy. Z początkiem lipca 1803 r. już zaledwo dwanaście tysięcy ludzi liczył Rochambeau pod bronią i z obu półbrygad, sformowanych z legionistów, pozostało 1 200 szeregowców, reszta padła ofiarą zabójczego klimatu, trudów i kul murzyńskich. Wśród ogólnego pogromu, niezaradność naczelnego wodza ujawniła się w całej okazałości. Powolny radom najgorszych awanturników oraz szarlatatów, jakich nigdy nie brakło w głównej

kwaterze, wpadał z jednej ostateczności w drugą, zniechęcając do reszty ludność nadmiernymi kontrybucjami oraz innymi środkami gwałtownymi. Skutkiem takiego postępowania generałowie Clausel i Thouvenot zamierzali uwięzić niefortunego zwierzchnika, ale spisek odkryto i sprzyśiężeni musieli opuścić wyspę. Bezład i anarchia zniewoliły w końcu podwładnych komendantów do działania na własną rękę. Osaczonym od strony morza i lądu pozostawała tylko kapitulacja. Pierwszy poddał się powstańcom dowodzący w Jéremie generał Fressinet, zastrzegłszy dla załogi wolne wyjście z warowni i pozostawiając czarnym działa wraz z amunicją, usiłował wymknąć się z portu na kupieckim statku wraz z oddziałem, liczącym około trzydziestu ludzi. Schwytały wszakże uciekających krążowniki angielskie i jako jeńców odwiozły na Jamajkę. Reszta załogi, wśród której znalazło się dwustu czterdziestu legionistów, wyszła z miasta i po złożeniu broni odpłynęła na statku amerykańskim do Stanów Zjednoczonych. Garść atoli legionistów, licząca około czterdziestu ludzi, zawróciła się z przystani pod komendą porucznika Jaźwińskiego do obozu powstańczego, oświadczając, iż mniej się obawia murzynów, aniżeli Francuzów i dlatego z nimi nie wyruszy w drogę... To zapewne zdarzenie dało powód nieprzyjaźnie dla Polaków usposobionym dziennikom paryskim do obwinienia legionistów o przechodzenie na stronę czarnych oraz o przyczynienie się w ten sposób do upadku kolonii. Po Jerémie poddała się warownia św. Marka, w której załogował batalion legionistów, zaś w październiku t. r. kapitulowały Port-au-Prince tudzież Cayes. Komendant tej ostatniej miejscowości generał Brunet zamierzał pierwotnie przemknąć się na statkach kupieckich do Kartageny. Wobec czujności Anglików, blokujących port w Cayes, zamiar ten spełził na niczem, więc ułożył się Brunet z komandorem Cumberland, iż w zamian za działa, amunicję oraz materiały wojenny, pozostawiony w warowni, przewiezie jego korpus na Jamajkę, zkad oficerom wolno będzie odpłynąć do Francji podczas gdy szeregowcy,

jako jeńcy wojenni mają pozostać na wyspie, aż do dalszego zarządzenia. W dniu oznaczonym załoga wyszła z Cayes i wsia-  
dła na przygotowane okręty, które tuż opodal od brzegu za-  
rzuciły kotwicę, poczem Cumberland wraz ze swą siostrą po-  
wrócił do portu, by oddać miasto naciągającym wojskom  
Dessalina. »Huczne natychmiast usłyszeliśmy okrzyki« — za-  
pisuje w swym pamiętniku Małachowski, którego batalion  
załogował między innymi w Cayes, — »Całe miasto rzęsiście  
oświetlono. Spiewy i nieustanne strzelania dowodziły powsze-  
chnej radości, wśród której odbywała się uczta dla Anglików  
wyprawiona. Ta się przeciągnęła aż do następnej nocy i nie  
wróciła nam Anglików na okręty aż trzeciego dnia rano, znu-  
żonych biesiadami, ale dobrze obładowanych złotem za sprze-  
danie murzynom tego miasta. Naród przemysłny wszędzie  
znajdzie dla siebie korzyści. I u nas ona chociaż w niego-  
dziwym sposobie dla Anglików się wydarzyła«...

Los chciał, iż ofiarą chciwości angielskiej padł generał  
d'Arbois. On to w najniegodziwszy sposób wzbogacił się na  
Santo-Domingo, zabierając grosz ostatni mulatom i murzynom,  
których kazał więzić i topić jako przestępców stanu. Teraz  
odwróciła się karta. Obwiniony o buntowanie legionistów  
i osadzony pod strażą na dnie statku, uwięziony został ge-  
nerał za przybyciem na Jamajkę i pozbawiony całej goto-  
wizny, jaka się przy nim znalazła. Co gorsza, aresztowanie  
generała d'Arbois dostarczyło Anglikom pożądanego pozoru  
do zerwania kapitulacyi. Wszystkich przybyłych oficerów jęli  
traktować jako jeńców wojennych i podawszy ich ściślej re-  
wizyi, pozostawili każdemu po dwadzieścia pięć talarów,  
oświadczając poszkodowanym, iż w ten sposób pragną usza-  
nować istniejącą we Francyi zasadę równości republikańskiej..  
Po upływie kilkunastu dni oznajmiono internowanym w Spa-  
nishtown oficerom, iż wolno im częściowo i o własnym ko-  
szcie odpłynąć do Stanów Zjednoczonych, zkąd konsulowie  
francuscy wyprawią ich do Europy. O wydaniu szeregowców  
i słyszeć wszakże nie chcieli Anglicy. Gdy Małachowski, opu-

szczając Spanishtown, domagał się uwolnienia własnego służącego, który nie będąc wcale żołnierzem, nie mógł być uważany za jeńca, odmówiono stanowczo jego żądaniu.

— Mogliście służyć Francuzom; przelewać krew w ich sprawie i ginąć — mówił naszemu szefowi angielski komisarz — to żołnierze wasi mogą służyć Wielkiej Brytanii, a będą lepiej odziani, zapłaćeni i zaszanowani. Jeżeli chcesz mieć służącego wybierz sobie między Francuzami, kogo ci się podoba, a będzie wydany...

Wszelkie argumentacye na nic się nie zdały. Biedny sługus dzielić musiał smutną dolę legionistów, zamkniętych na starych pontonach.

Szczęśliwszym był komendant w Môle St Nicolas, generał Noailles, który wraz z całą załogą — znajdowało się wśród niej kilkuset legionistów — zdołał przedostać się na Kubę. Za przykładem starszych generałów kapitulowali też dowódcy pomniejszych warowni, tak, iż w połowie listopada 1803 roku, powstańcy, posiłkowani przez Anglików, byli panami całej wyspy z wyjątkiem Cap Français i Santo Domingo, w których to miastach bronili się jeszcze Francuzi, trapieni głodem, zdemoralizowani i pozbawieni wiary w wodza. Stolica trzymała się niemal cudem. Blokowana od strony morza przez flotę angielską, musiała odpierać ciągłe ataki Dessalina, z którego rozkazu zniszczono z gruntu w okręgu kilkumilowym wszystkie pola uprawne i plantacye, by wygłodzona załoga nawet podczas wycieczki nie zdołała sobie znaleźć pożywienia. W dniu piętnastym listopada powstańcy, liczący 27.000 żołnierza, rozpoczęli bombardowanie Cap Français. — Miasto, zabudowane przeważnie drewnianymi domostwami, poczęło płonąć w kilku miejscach i niemal całe padło ofiarą pożogi. Nazajutrz przypuścili czarni szturm do zewnętrznych fortów i mimo walecznego oporu Francuzów zdobyli je po krwawej walce. Przeszło trzy tysiące murzynów legło w dniu owym, lecz pod wieczór już tylko forty Vertières i Estaing pozostawały w ręku wojsk rządowych. Na Vertières, która

ta pozycja była kluczem warowni stołecznych, zwrócił się główny atak powstańcy. Wały fortu grzmiąły nieustanną salwą działową i z ręcznej broni. Czarni biegli ławą i niedoszedłszy do szaniec padali pod ogniem załogi, zagrzewanej do boju przez naczelnego wodza, który wraz z sztabem śledził bacznie przebieg walki. Francuzi bili się jak lwy, nie mając już nic do stracenia a pomagała im dzielnie garść legionistów, grenadyerów, dowodzonych przez kapitana Kościakiewicza. — Wiarusy, którzy sławę żołnierską zdobyli nad Adygą pod wodzą Dąbrowskiego, czuli, że już ojczystych stron nie ujrzą, więc też drogo postanowili sprzedać swe życie. Szturm przemienił się w szaloną jakowąś orgię. Murzyni z karabinami w ręku darli się wśród szalonego wycia na okopy i rozrywani kartaczami na sztuki, spychani kolbą i bagnetem padali w forteczne rowy, zapelniając je rannymi i trupami. Dessalines osobiście kierował atakiem i z niezachwianym spokojem słał w ogień jedną półbrygadę po drugiej. W końcu widząc, że czarni nacierają z mniejszą furją, pchnął do szturmowania korpus, który wiódł słynny z odwagi i okrucieństwa Capois, zwany przez swoich Capois la mort. Oddział ten, złożony z trzech półbrygad, poprowadził sam Capois do ataku, lecz zanim zbliżyli się czarni do okopów, już połowa ich legła od pocisków działowych. Pozostałych wiedzie nieustraszony wódz po raz wtóry na nieprzyjaciela i znów znaczna część żołnierza pada pod gradem kul obłożonych, które dziwnym trafem omijają stojącego na czele kolumny generała. Wówczas Capois, wściekły niemal z gniewu, żąda posiłków i na ich czele ponawia atak po raz trzeci i czwarty. Pada pod nim koń, ugodzony kartaczem, lecz zapamiętały murzyn przesiada się spieszenie na innego rumaka i głosem potężnym, głuszącym piekielną wrzawę bojową, woła na swoich:

— Naprzód! Naprzód! Przy nas zwycięstwo!

Gruchnęła świeża palba z szaniec. Pocisk armatni zrywa generałowi z głowy strojny w pióropusz kapelusz, lecz

Capois, nie zważając na nic, krwią ociekający gdyby rzeźnik, szpadą wskazuje okopy, krzycząc z całej piersi:

— Naprzód!

W tej chwili huczne oklaski i okrzyki: *brawo! vivat!* rozlegają się z fortu. To Rochambeau wraz ze swym sztabem oklaskuje brawurę czarnego generała przy odgłosie trąb i bębnow. Działa milkną. Z bramy warowni wyjeżdża na dzielnym biegunie parlamentarz. Stanąwszy przed frontem oddziału, gotującego się do ponownego uderzenia, oddaje generałowi ukłon wojskowy i wśród ogólnej ciszy oświadcza podniesionym głosem:

— Generalny gubernator Rochambeau, oraz cała armia francuska wyrażają przez moje usta generałowi Capois najwyższy podziw!

To rzekłszy zawraca konia, a w chwili, gdy parlamentarz zniknął za bramą fortu, działa poczęły grać na nowo, bój wnowił się z straszliwą zaciekłością. Francuzi i czarni, podnieceni iście homerycznym epizodem, walczyli na śmierć i życie. Wieczorem sztandary powstańcze powiewały już z bastionów Vertières, a legionistom przypadło znów w udziale trudne zadanie osłaniania odwrotu Francuzów do nadbrzeżnych warowni. Czarni nie omieszkali dokonać zwycięstwa. W dniu ósmym listopada opanowali fort Estaing i wówczas Rochambeau, któremu prócz wybrzeża pozostawała jako jedyny punkt oparcia wyspa Żółwia, wysłał do Dessalina adjutanta z warunkami ewakuacji wyspy. Parlamentarz przywiódł z sobą trzy przepyszne ogiery arabskie, przeznaczone w darze dla wodza czarnych, oraz dla generała Capois i kapitana Benze, który pierwszy na zdobytym okopie w Vertières zatknął powstańczą chorągiew. Dessalines, ujęty rycerskością Francuzów, zgodził się chętnie na wolny odwrót wojsk Rzeczypospolitej do Europy, zostawiając im dziesięć dni czasu na ewakuację stolicy. W dniu trzydziestym listopada 1803 roku opuścili Francuzi wyspę, która ich tyle krwi kosztowała, nie przyczyniwszy wcale chwały armii Rzeczypospolitej. Od-

płynęli na statkach angielskich, które ich jako jeńców wojennych odstawić miały do Francji. Ale i tym razem komendant floty angielskiej, Loryng, bez najmniejszego skrupułu złamał zawarty z Francuzami układ i cały korpus bez różnicy stopnia zatrzymał w niewoli.

Na wyspie już tylko w mieście Santo-Domingo pozostała francuska załoga pod wodzą generała Ferranda i Dessalines, który w ostatnim dniu listopada wjechał jako zwycięzca do Cap-Français, stanął u kresu swych życzeń. Ogłoszona przez niego wspólnie z generałami Clervaux, oraz z Krzysztofem proklamacja orzekała niepodległość wyspy i zapowiadała ogólną amnestję. »Dziś, gdy jutrzienka pokoju zwiastuje nam dobę mniej burzliwą« — słowa proklamacyi — i zwycięski pokój nastąpi po rozruchach straszliwej walki, dziś Santo-Domingo przybierze nową postać, a rządy jej będą odtąd rządami sprawiedliwości«.

Piękne te obietnice pozostały frazesem. Skoro tylko flota, uwożąca Francuzów, wypłynęła na pełne morze, nakazał bezzwłocznie Dessalines potopić w morzu wszystkich rannych i chorych, pozostawionych na jego słowo i dobrą wiarę w szpitalach na Żółwiej wyspie. Czynem tym barbarzyńskim zainaugurował czarny dyktator swe rządy na Haiti, która to nazwa miała odtąd pozostać urzędowym mianem wyspy. Dessalines, okrzyknięty dożywotnim wielkorządcą wyspy z prawem stanowienia o wojnie i o pokoju, tudzież z wyłączną władzą prawodawczą, nie był mężem opatrnościowym, zdolnym do zapewnienia swej ojczyźnie, skołatanej długoletnią wojną, trwałej pomyślności. Szczęśliwy wojownik, administrator, nie pozbawiony zalet, nie zdołał się wznieść ponad przywary swej rasy. Nienawiść bezgraniczna przeciw białym stała się znamienną cechą jego rządów i ona to spowodowała namiętnego murzyna, iż nie poprzestając na wytraceniu jeńców, postanowił w drodze gwałtownej pozbyć się wszystkich Francuzów, którzy korzystając z amnestyi, pozostali jeszcze na wyspie. W lutym 1804 roku wydał on rozkaz ścigania w dro-

dze sądowej wszystkich moralnych sprawców oraz współwinnych w rzeziach czarnych, dokonywanych za rządów Leclerc'a i Rochambeau. Miał to być odwet za stracenie sześćdziesięciu tysięcy czarnych, którzy, wedle manifestu Dessalina, zgon znaleźli przez stryżek, kulę lub utopienie. »Wydaliśmy owo rozporządzenie, — tłumaczył się krwi żądny dyktator — by dowieść wszystkim narodom, iż nie naruszając praw opieki, użyzionej tym, którzy w obec czarnych lojalnie postępują, nic nas nie zdoła powstrzymać od ukarania morderców, pławiących się z rozkoszą w krwi synów Haiti!«...

Bezstronność każe przyznać, iż mimo tak wyraźnej zachęty do ponownej rzezi białych, ludność murzyńska wcale nie objawiała gotowości do krwi rozlewu i sam dyktator przy pomocy wojska podjąć się musiał roli kata. Począwszy od Cap Français, gdzie rzeź wszystkich, władających językiem francuskim, odbyła się w nocy dwudziestego kwietnia, ciągnął Dessalines od miasta do miasta, wyrzynając Francuzów bez różnicy płci i wieku. Domów białych innej narodowości strzegły straże od napadu siepaczy, którzy nocną porą spełniali z całą bezwzględnością dane im polecenie. Od rzezi wyjęci byli: duchowni, lekarze, artyści i rzemieślnicy, których brak dawał się odczuwać na wyspie. Oszczędził również srogi Dessalines legionistów polskich, których Rochambeau, opuszczając wyspę, pozostawił w niewoli murzyńskiej. Było ich około czterystu i wszystkim kazał Dessalines przyznać prawo obywatelstwa, któreto certyfikaty ocaliły naszych ziomków wśród ogólnej rzezi białych. Pochłonęła ona około ośm tysięcy ofiar.

Względność czarnych, okazana Polakom, nie zdołała w nich stłumić tęsknoty do ojczyzny i już po roku zwrócili się do wielkorządcy z prośbą, by ich odesłał do Europy. Nie mając innych środków transportowych, wyprawił Dessalines stu sześćdziesięciu legionistów na angielskiej fregacie »Le Tartare« do Jamaiki, sądząc, iż gubernator tamtejszy, Nugent, wyszle ich w dalszą do Europy drogę. Ale gubernator

angielski okazał się bardziej bezwzględny dla Polaków od barbarzyńskiego murzyna. Skoro bowiem legionieści, namawiani przez werbowników do służby w wojsku angielskim, wręcz temu żądaniu odmówili, oświadczając, iż przeciw Francyi broni nie podniosą, odstawił ich Nugent z powrotem na Haiti, wzywając równocześnie Dessalina, by biednym wychodźcom wypowiedział gościnność. Zawstydził wszakże murzyn egoistycznego wyspiarza i oświadczył mu, iż jako naczelnik wolnego ludu nie może wydalać z ojezyny naturalizowanych jej obywateli, a popierając szlachetne słowa czynem, wynajął własnym kosztem amerykańską fregatę i nią odesłał legionistów do Nowego Jorku, zkąd na Kopenhagę i Gdańsk powrócili dzielni wojownicy do ojezyny pod koniec 1805 roku.

W liczbie tych szczęśliwych wybrańców losu znajdowali się między innymi: Mojżesz Bernard, Stanisław Bogusławski, Michał Borejsza, Józef Bujalski, Lubomir Chojnacki, Aloizy Dąbrowski, Antoni Domżański, Ryszard Draheim, Piotr Dziurbas, Stanisław Gutowski, Gerwazy Hulaniczyński, Feliks Jarkiewicz, Jan Karwosiecki, Gracyan Kempa, January Kowański, Ksawery Królikiewicz, Stanisław Larecki, Jan Liberkiwicz, Stefan Mielżycki, Stefan Mikołaszewski, Kryspin Nytkiewicz, Józef Otwicki, Józef Paszkowski, Rafał Pstrokoński, Iwan Szczerba, Grzegorz Sieleźniewicz, Piotr Sołodygowski, Paweł Stelmasiwicz, Adam Straszewski, Jan Stysiewicz, Jan Świerczewski, Franciszek Szeptycki, Michał Talkor, Fortunat Wąsowicz, Karol Wienert, Rafał Żaboklicki, Roch Zaewilichowski, Michał Zadora, Konrad Zbylina i Kasper Zdorny.

Z tych wszystkich o jednym tylko jedynym Franciszku Szeptyckim posiadamy bliższe wiadomości. Urodzony w Siedliskach, w dawnej ziemi lwowskiej, bił się pod Kościuszką w roku 1794 a następnie w legionach włoskich. Po powrocie z Santo-Domingo, osiadł Szeptycki w odziedziczonej po bracie włości, w Samborskiem, w Kawsku i zamieniwszy szablę na lemiesz, jako ziemianin spędził resztę żywota. Obroną nie

mniej ręką wyszli z zamorskiej wyprawy ci legionieści, którzy wraz z załogą warowni Môle St. Nicolas dostali się na Kubę. Wprawdzie za wszystko kazano sobie płacić złotem, lecz gubernator wyspy, margrabia Sommeruelos, obchodził się z wychodźcami po ludzku i wyjazdowi ich na przysłanych przez rząd francuski okrętach żadnych nie stawiał przeszkód. Podzieleni na dwie partye powrócili w maju i w sierpniu 1804 r. legionieści do Francyi, gdzie już przedtem znalazł się przybyły z Jamaiki szef Małachowski. On to wyczytawszy w prasie paryskiej hańbiące legionistów oskarżenie, jakoby Polacy podczas kampanii przechodzili na stronę murzynów i w ten sposób przyczynili się do ogólnej klęski, pospieszył do przebywającego w Neuilly Murata, upraszając go, jako ostatni komendant setnej cztertnastej półbrygady, o wyznaczenie w tej sprawie sądu wojennego. Murat przyjął naszego szefa w obecności licznego grona generałów i na jego żądanie odparł krótko o wężłowato:

— Zamilez pan! Cesarz o wszystkim się przekonał i wie co to znaczyło. Jest nawet niezadowolony z powodu, iż sprawa ta dostała się do pism. Więcej ani słowa o tem...

Na tem skończyło się posłuchanie. Jak się później okazało, pogłoska o tłumnej dezercyi legionistów na stronę powstańców powstała skutkiem nieprawidłowego postępowania kapitanów setnej trzynastej półbrygady, którzy zwyczajem, ogólnie zresztą praktykowanym w ówczesnej armii francuskiej, wykazywali w stanie swych kompanij szeregowców oddawna już poległych lub zmarłych w lazarecie, pobierając za nich żołd i żywność. Ktoś zwrócił uwagę na tę niewłaściwość. Zarządzono ścisłą lustracyę i wówczas komendanci, chcąc zwalić z siebie wszelką winę, wykazali odrazu kilkuset nieobecnych, jako rzekomych zbiegów.. Berthier, jako minister wojny, puścił przykrą tę sprawę w niepamięć a pozostałe dwa sztandary obu półbrygad kazał wręczyć Dąbrowskiemu, który je testamentem zapisał warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk.

Trudniejsze o wiele było wyzwolenie z niewoli angielskiej legionistów, którzy wraz z korpusami Bruneta i Rochambeau kapitulowali. Anglicy postępowali z jeńcami wojennymi gorzej aniżeli z bydłem. Trzymano ich w ścisłym zamknięciu na pontonach, gdzie skutkiem braku powietrza, wilgoci i brudu szerzyły się wśród jeńców: ospa, szkorbut i najprzeróżniejsze choroby skórne. Karmiono ich, gdyby pospolitych zbrodniarzy, strawą zgniłą i cuchnącą, skutkiem czego wielu żołnierzy przekładało śmierć głodową nad okropne to jadlo. Nawet w nocy nie mogli nieszczęśni zaznać spoczynku, gdyż zakłócały go harce szczurów i miliardy robactwa, gnieźdzącego się w zbutwiałych na poły okrętach. Przeszło cztery tysiące jeńców — w tej liczbie ośmiuset legionistów — cierpiało owe katusze przez całych lat pięć. W tym czasie rząd francuski, nie mogąc inaczej wyswobodzić swych jeńców, kazał marynarce chwycić statki angielskie wraz z osadą i dopiero w styczniu 1809 roku nastąpiła na Jamaice wzajemna wymiana pojmanych. Ilu naszych zakończyło życie w niewoli angielskiej — niewiadomo, lecz śmierć tych bezimiennych męczenników wieczystą haubą okryła kartę dziejów kramarskiego narodu, dybiącego z barbarzyńską srogością na zagładę wiernych ojczystemu sztandarowi żołnierzy, którzy nigdy do tej pory nie podnieśli oręża przeciwko Wielkiej Brytanii.

Powróćmy na Santo Domingo.

Rzeź kwietniowa ośmsetnego czwartego roku nie zjednała Dessalinowi przyjaciół nawet wśród czarnych, którzy wręcz potępiali okrucieństwo ich wodza. W liczbie malkontentów znalazł się między innymi generał Krzysztof. Oświadczył on w kółku zaufanych, że gromadne egzekucyje białych uważa jako zbyt uczynne, lecz tak on, jak inni generałowie nie wazyli się otwarcie sprzeciwić bezwzględnemu despotce, biorącemu na siebie całą odpowiedzialność za czyn popełniony. Upojony ciągłym powodzeniem, postanowił Dessalines wyrugować Francuzów i z ostatniego posterunku, jaki im pozostał

na wyspie i w tym celu wyruszył na miasto Santo Domingo. Pozoru do walki dostarczyło mu postąpienie generała Ferranda, który dowiedziawszy się dokonanej przez Dessalina rzezi obywateli francuskich, wzywał ludność wschodniej części wyspy do chwytania czarnych, celem zaprzedenia ich w niewolę na archipelagu antylskim. Wódz murzyński groził srogim odwetem Francuzom, ale szczęście nie dopisało tym razem jego orężowi. Kreolscy plantatorowie stanęli bowiem po stronie białych i w chwili, gdy Dessalines, podstąpiwszy pod Santo Domingo, zagroził miastu regularnem oblężeniem, rozpoczęli wieść z nim wojnę podjazdową, przyprawiając czarnych o tak dotkliwe straty, iż murzyni musieli co rychlej cofnąć się ku własnym siedzibom.

Mimo tak niepomyślnego rezultatu wyprawy, postanowił Dessalines, idąc za przykładem pierwszego konsula, uwięzić swe skronie cesarskim dyademem. W październiku 1804 roku odbyła się w Port-au-Prince koronacja nowego władcy oraz uroczystość nadania wyspie konstytucyi, opartej na zasadzie militaryzmu, a przyznającej cesarzowi nader obszerne atrybucye. Rządy Jana Jakóba trwały zaledwo dwa lata. Podejrzliwy okrutnik, zazdrosny o władzę najwyższą, a przytem śmieszny naśladowca samowładców europejskich pod względem ceremoniału i etykiety dworskiej, dał się srodze we znaki ów samozwańczy monarcha zarówno czarnym, jak mulatom. Na czele tych ostatnich stanął Petion, mulat, znany z dzielności już z czasów walki o niepodległość i w porozumieniu z zaufanym ministrem cesarskim, Gérinem, przygotował rewolucyę pałacową, która w październiku 1806 r. pozabawiła Dessalina korony i życia.

Na gruzach cesarstwa powstała rzeczpospolita haityjska z Krzysztofem jako prezydentem na czele. Ale odwieczny antagonizm, dzielący mulatów od murzynów, zaostriżył się jeszcze bardziej z chwilą, gdy młodej republice przestało grozić niebezpieczeństwo ze strony Francuzów. Przez cztery lata z rządu toczyła się zawzięta walka między czarnymi, władą

jącymi na północy a kolorowymi, który pod wodzą Petiona dzierżyli zachodnio południową część wyspy w swem posiadaniu. Wojna, wiedzona ze straszliwą zawziętością przez obie strony walczące, zakończyła się klęską mulatów, zamkniętych w Môle St. Nicolas, która to twierdza musiała się poddać Krzysztofowi. Zwycięzca, powróciwszy w tryumfie do Cap Français, postanowił nieograniczoną władzę, jaką faktycznie posiadał, usankcjonować królewską koroną. Oddani mu ślepo generałowie chętnie zgodzili się na przeobrażenie Rzeczypospolitej w monarchię i w marcu 1811 roku Krzysztof obwołany został królem, jako Henryk I. Zaraz też zaprowadził szlachectwo rodowe, nadawane wszystkim znacniejszym oficerom, urzędnikom i uczonym, oraz otoczył się dworem, złożonym z mianowanych świeżo książąt, hrabiów i baronów murzyńskich. Między innymi figurowali na dworze króla Henryka książęta Limonade i Marmelade, co wywołało szyderskie komentarze wśród Paryżan. Ale czarny władca nie pozostał dowcipnisiom dłużnym w odpowiedzi i trafnie zauważył, że Francuzi mogą słusznie cieszyć się posiadając wśród swej arystokracji książąt de Poix i de Bouillon...

Stolica wyspy otrzymała teraz nową nazwę urzędową Cap Henri. Ustanowiono też order Świętego Henryka, liczący spory zastęp komandorów oraz kawalerów, a ceremoniał dworski wzorował się ściśle wedle dworu pierwszego cesarstwa we Francji. Podobnie jak Napoleon koronował się król Henryk własnoręcznie, a pod względem despotyzmu i samowoli nie ustępował bynajmniej swemu pierwowzorowi. Na opędzenie znacznych wydatków dworu i państwa czarni musieli pracować w plantacjach z tym samym co za dawnych czasów wysiłkiem, z tą jedynie różnicą, że bał dozorey zastąpiła kara więzienia, stosowana w wypadkach najłżejszego przestępstwa. Żołnierze musieli sami starać się o odzież i o konie. Srogie kary groziły niedbałym, którzyby podczas przeglądu ważyli się pojawić w zniszczonym mundurze, lub na rumaku złe odżywionym.

— Konie mej kawaleryi — dowcipkował król Henryk w chwilach dobrego humoru — zmieniają często maść, ale są nieśmiertelne...

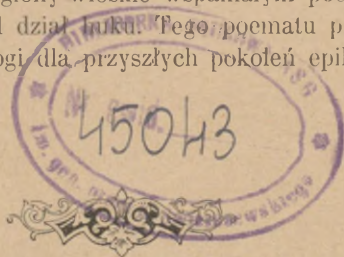
Raz jeszcze, (w marcu 1812 r.), usiłowali czarni podbić południową część wyspy, gdzie pod rządami Petiona rozwijała się wcale pomyślnie rzeczypospolita mulacka. I tym razem sprzyjało zrazu szczęście murzynom. Po wygranej bitwie pod Santos podstąpili oni pod Port au Prince, stolicę kolorowych i rozpoczęli oblężnicze roboty. Tymczasem dwaj wyżsi oficerowie mulaccy, korzystając z chwilowej nieobecności króla Henryka, przeszli wraz ze swymi oddziałami na stronę oblężonych. Lękając się wybuchu wojkowego rokoszu, spiesznie cofnął się strwożony monarcha aż do St. Marc, gdzie dając folgę okrutnej zemście kazał wymordować wszystkich kolorowych mieszkańców. I znalazł się w najbliższem jego otoczeniu niejaki generał Richè, mulat, który chcąc dać niewątpliwą dowód swej lojalności zgładził własnoręcznie swą żonę i dzieci. Nędznika spotkała zasłużona nagroda. Gdy pospieszył do króla z doniesieniem o swem bezgranicznem poświęceniu, oburzony nieludzką jego podłością władca, poczęstował generała tak silnie bambusem po czacze, iż przy tej sposobności wybił mu oko...

Odtąd przez następnych lat sześć panował pokój na wyspie, jakkolwiek nie zawierano formalnego traktatu i dopiero śmierć Petiona, (w marcu 1818 r.), skłoniła ambitnego Henryka I. do podjęcia trzeciej z rzędu wyprawy przeciw republikanom. Ale następca Petiona, Royer, odparł zapędy czarnych i w dwa lata później, gdy znenawidzony przez własnych ziomków król skończył samobójstwem, połączył obie części wyspy w jedną rzeczypospolitą. Przyłączyła się do niej w roku 1822 dawna kolonia hiszpańska, którą Hiszpanie po opuszczeniu w roku 1809 miasta Santo Domingo przez załogę francuską, w swoje zajęli posiadanie, ale nienawiść szczepowa, dzieląca kreola i mulata od murzyna, nie wygasła na wyspie, mimo krwawych i bolesnych doświadczeń. Petion po dwu-

dziestu latach wzorowych rządów musiał uchodzić, ustępując miejsca innym pretendantom, których rządy zmieniały się gdyby w kalejdoskopie. Był nawet czas, gdy murzyn Faustyn Soulouque, obaliwszy republikę, przez całe dziesięciolecie, (1849—1859), władał wyspą jako cesarz, by znów ustąpić miejsca mulatowi Geffrardowi, przywracającemu republikę. W ostatnich lat dziesiątkach rzeczpospolita Haitijska podziela smutny los drobnych republik południowo amerykańskich, trawionych peryodycznymi rewolucjami militarzemi, wywołanemi przez chciwych władzy generałów. Zawisę rasowa nie przestaje w tych zamieszkach odgrywać rolę decydującego czynnika.

Mimo częstych zmian rządu i wojen domowych zachowało się na Santo Domingo do naszych czasów, około pięćdziesiąt rodzin, noszących polskie nazwiska a cieszących się znacznym stosunkowo dobrobytem. Są to potomkowie legionistów, naturalizowanych w roku 1804. Opuszczeni przez Francuzów, znaleźli nasi wiarusy gościnność wśród murzynów lecz odcięci od kraju, poddani obcym wpływom, wynarodowili się zupełnie i prócz nazwiska nie przekazali potomkom w spadku nic, coby im oddaloną o tysiące mil ojczyznę przypominać mogło.

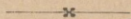
Nazwał ktoś legiony włoskie wspaniałym poematem, pisanym krwią, wśród dzieł roku. Jego poematu prozaicznym, lecz pełnym przestrogi dla przyszłych pokoleń epilogiem stało się Santo Domingo!



497

T R E Ś Ć.

I. Pierwszy legionista . . . . .	3
II. Niezłomny . . . . .	33
III. Rycerz-poeta . . . . .	119
IV. Santo Domingo . . . . .	141



227

104

BIBLIOTEKA

ASG

NAUKOWA

19364